

Dlaczego wieś, o której mowa, nazywała się Szczęśliwa, trudno odgadnąć, bo chyba niełatwo znaleźć w całej Polsce miejscowość, która by mniej na tę nazwę zasługiwała! Ktokolwiek pierwszy raz przez ową wieś Szczęśliwą przejeżdżał, musiał, chciał czy nie chciał, wykrzyknąć:

— A cóż to za wieś — nieszczęśliwa!

Szczególniej jeżeli znalazł się tam podczas roztopów wiosennych lub pluchy jesiennej! Panie, zmiłuj się! Co się działo wówczas na drodze, ciągnącej się wzdłuż długiej i gęsto zabudowanej wsi!

Zaprawdę, gdy się zdołało przebyć ją szczęśliwie, należało podziękować Panu Bogu, że się nie zatoneło lub co najmniej nie ugrzęzło w błocie.

A co za niespodzianki kryły się pod tą szarobrunatną lepką ciecżą! Toteż każdy Bogu dziękował, gdy tę drogę przebył, nie połamawszy wozu.

Do tej drogi pasowały i domostwa, i ludzie. Domy biedne, odrapane, walące się, brudne... ani przy nich drzewek, ani ogródków!

Ludzie swarliwi, nieprzyjaźni. O byle co do oczu sobie skakali; chętnie jedni drugich obgadywali; jeden drugiemu w niczym nie pomógł, a nieraz i zaszkodził; nawet — aż wstyd powiedzieć! — czasem coś zniknęło z jednej chaty, a znajdowało się w innej!

Tacy byli ludzie we wsi Szczęśliwej.

5

A dzieci? No, dzieci, jak to dzieci! Skądże mogły być inne niż starsi? Nie znaczy to, żeby były złe, o nie! Dzieci rzadko, bardzo rzadko bywają złe, takie zupełnie złe! Ale mogą być — niedobre. Takie były właśnie dzieci we wsi Szczęśliwej. Jak ten ogród, o którym wszyscy zapomnieli, a ręka ogrodnika nie dotykała go dawno! Co lepsze rośliny i krzewy zagłuszone całkowicie przez chwasty i dzikie pędy, młodzieńskie zaś powyginane, pokrzywione lub połamane — aż przykro patrzeć! Ale niech no umiejętna, troskliwa ręka rozpocznie pracę nad takim zapuszczonym ogrodem, natychmiast dobre ziarna kiełkować zaczną, a chwasty i dzikie zielska precz gdzieś znikną!

Zdawałoby się więc, że wieś Szczęśliwa z radością przyjmie wieść, że oto taki dobry ogrodnik zacznie pracę wśród zapuszczonego ogrodu dusz i serduszek dziecięcych! Tymczasem stało się

zupełnie odwrotnie.

Wieś Szczęśliwa nie miała szkoły i dzieci szczęśliwieckie musiały biegać po kilka kilometrów do najbliższego gmachu szkolnego. Ale że dzieci, jak to dzieci, nie bardzo się kwapiły z chodzeniem do szkoły, a rodzice nie bardzo mieli czas, by się troszczyć o to, co one robią, więc rosły sobie jak te dziczki w zapuszczonym ogrodzie.

Aż tu gruchnęła wieść, że pan wójt nakazał wynaleźć pomieszczenie na szkołę i że we wrześniu ma przyjechać nauczycielka.

Zdawałoby się, że wieś Szczęśliwa ucieszy się z tej nowiny, a tymczasem wszystkim nie w smak była ta nauczycielka. Bo to i chałupę trzeba było jako tako przygotować na tę „niby szkołę”, i o pomieszczeniu dla nauczycielki pomyśleć, no i dzieciaki już koniecznie do szkoły posyłać, a przecież we wrześniu największa robota w polu!

Zbierały się więc gospodynie wieczorem przed chałupami i rajcowały" zawzięcie, nie szczędząc żalów i lamentów. A znów dniami na polach i łąkach rajcowały dzieciaki.

\* rajcować - rozprawiać o czymś, gadać, paplać.

6

— O... wielka rzecz szkoła! — rezolutnie prawiła Kaźmirka sołty-sówna, spora dziewczuszka, bardzo wygadana i lubiąca rej wodzić. — Chodziliśmy do Wólki i niczego się nie nauczyliśmy, to i tu niczego się nie nauczymy!

— A jakże! Taka daleka szkoła, to nie to, co taka w samej wsi! Tu trzeba będzie harować! — narzekał Jasiek Gręzak, największy leń ze wszystkich.

— I nie to najgorsze, ale co innego! — zawyrokował Petrek Ślęzak, najważniejszy między dziećmi szczęśliwieckimi, nie tylko dla swego wzrostu i siły, lecz dla sprytu, z jakim wszędzie swoją wolę przeprowadzał. — Więc najgorsze, że to nauczycielka!

— Ale! Ale? — zabrzmiały głosy, jedne z góry przytakujące Petrкови, inne znów pytające.

— A tak! Wszędzie po innych wsiach są nauczyciele. I w Wodyniach, i w Ozorowie, i w Skórcu... Co my gorszego od nich? Dlaczego mamy być poniżeni?

— A dlaczego to ma być poniżenie, że nauczycielka będzie w naszej wsi? — rozległ się cienki głosik spoza pleców rozmawiających dzieci.

— O... Krysia Bajczarka! — rozległy się okrzyki i gromadka rozproszyła się, dzieląc się na dwie jakby partie.

Jedna, z Petrkim na czele, odstąpiła nieco i zbiła się w kupkę, druga, znacznie liczniejsza, złożona przeważnie z młodszych dzieci, otoczyła niedużą dziewczuszkę, drobną, z chudą, zbiedzoną buzią, biednie ubraną, tak jak inne dzieci, i tak jak wszystkie — bosą.

Mimo to jednak, że dziewczynka pozornie niczym się nie różniła od reszty dzieci, było w niej coś, co ją czyniło niepodobną do nich. Sukienka jej pocerowana, przykrótka, różnokolorowa z powodu łat z najrozmaitszych kawałków — była bardzo czysta. Również czyste były ręce i szczupła buzia, nawet bosa nóżki, a obfite, jasne włosy uczesane były gładko i związane starannie tasiemeczkami. Ale najbardziej

zwracały uwagę jej oczy, tak duże, iż zajmowały niemal połowę małej twarzyczki, i ocienione długimi, ciemnymi

7

rzęsami. Oczy te patrzyły rozumnie, śmiało, prawie nakazująco. Koło dziewczynki stał pies, pręgowaty, o sterczących uszach i mądrych, wiernych oczach. Był tak duży, iż prawie przewyższał wzrostem dziewczynkę, lecz z pełnego oddania się, niemal pokornego wzroku widać było, iż uważa ją za swą panią i ślepo jej służy.

— Powiedz, Petрку, dlaczego nauczycielka ma być gorsza od nauczyciela? — zapytała znów dziewczynka, patrząc przeciągle na chłopaka, który pod tym wejrzeniem czuł się dziwnie nieswojo.

Że jednak trzeba było coś odpowiedzieć, więc burknął niechętnie:

— Co tam tobie tłumaczyć! Mała jesteś i głupia! A przy tym dziewczyna! Nie zrozumiesz!

— O... o!... — zaprotestowała gromadka, skupiona koło dziewczynki z psem. — Krysia nie jest głupia! O... nie! I rozumie wszystko lepiej niż niejeden stary.

Ale dziewczynka, zwana Krysią nie potrzebowała adwokatów. Przybrała od razu wojowniczą postawę i wysuwając się w stronę Petrka, zawołała czupurnie:

— Kiedyś taki mądry, a ja głupia, to mi wytłumacz... No... niech ja wiem i inne dzieci też! Chyba że sam nie wiesz.

— Co mam nie wiedzieć! Wiem i powiem ci, żebyś nie myślała, że się twojego ptasiego rozumu przelęknę. Więc wstyd to, żeby nauczycielka, taka sama baba jak wszystkie inne, uczyła nas, chłopaków, i nad nami przewodziła! Prawda, chłopaki?

— Prawda! prawda! — rozległy się głosy z gromadki Petrka.

— Dobra by była może dla was, coście jeszcze od ziemi nie odrosły i do trzech zliczyć nie potraficie! Nad wami to byle kto zapanuje... Ale my, jeżeli już nam niewola uczyć się, chcemy takiego, który by poważanie miał i siłę. Takiego to by można jeszcze znieść! — prawił Petrek, zachęcony uznaniem swojej gromadki.

— Choćbyś nawet miał rację, to i co z tego, kiedy nam nauczycielkę wyznaczylimy! — rezolutnie upierała się przy swoim Krysia.

— A jak jej nie zechcemy?

8

— Jak nie zechcicie? Dużo sobie kto będzie robił z waszej woli! Toć jej nie wyrzucicie?

— O... właśnie, że wyrzucimy! — zapalał się coraz bardziej

Petrek.

Wszystkie oczy zwróciły się na Petrka ciekawie, pytająco. Wiadomo, że chłopak śmiały był i do wszystkich psot pierwszy. Wiadomo, że na wiele się ważył... Ale to była już bardzo poważna sprawa!

— Gadaj zdrów! — zaśmiała się ironicznie Krysia. — Tyle tylko, że przez twoje głupie gadanie baty na nas wszystkich ściągniesz i tyle.

— A właśnie, że nie! Nikt we wsi nie chce tej nauczycielki. Kłopot z nią tylko i niewygodą. Gospodarze radzi by, żeby jej nie było! — mówił gorąco Petrek, czując, że ma za sobą większość; prawie wszystkich.

Nie o to nawet chodziło, że to nauczycielka, ale o tę naukę! Co za przyjemność ślęczyć nad abecadłem, zamiast uganiać się po polach i lasach!

— Prawdę mówi! Prawdę mówi! — przytakiwali mu jedni głośno, inni w duchu.

Krysia czuła, że w tej chwili nic nie wskóra, że Petrek jest górą więc starała się jakoś wykręcić, nie dając poznać, że przegrała.

— I... Zawsze pan wójt silniejszy będzie od was... Zresztą co się tam kłócić o to! Jeszcze daleko do tej nauczycielki! — mówiła, chcąc zyskać na czasie.

— O, nie! Zaraz trzeba coś uradzić. Toć już koniec sierpnia, a we wrześniu szkoła będzie gotowa.

— A to sobie radźcie, kiedy chcecie! Ja idę do lasu na jagody!

— I ja! i ja! A bajkę opowiesz? O królewnie, dobrze? Nie, nie! O czarownicy! Nie, o zbójach! O rycerzu i smoku!

Otoczono Krysię ze wszystkich stron, ciągnąc za ręce, za sukienkę, starając się przekrzyczeć jedno drugie, by właśnie jego żądanie zostało spełnione.

9

O, bo Krysia umiała opowiadać tak cudne bajki, jak nikt na świecie! Ale! Gdzie tam starej Kuklisze do bajek Krysinych! Nawet te, które czasami niektóre dzieci słyszały, gdy chodziły do szkoły w sąsiedniej wsi, ani się umywały do tych ślicznych historii, które opowiadała Krysia. A ile ich umiała! Coraz to nowe przychodziły jej do głowy, coraz to ciekawsze, coraz to piękniejsze.

Dlatego to właśnie otrzymała przezwisko „Bajczarka” — i może dla tych właśnie bajek mała, niewiadomego pochodzenia dziewczynka miała posłuch u dzieci we wsi Szczęśliwej większy nawet niż sam Petrek. Bo zresztą nikt za nianie stał, nie miała nikogo.

— Znajda jakaś! — złościł się nieraz Petrek, gdy mu Krysia popsuka jakąś psotę. — Wszystkimi chciałaby rządzić, wszystkich rozumu uczyć, a sama z łaski ludzkiej żyje.

I prawda to była. Krysia znalazła się we wsi Szczęśliwej nie wiadomo skąd i nikt nic o niej nie wiedział.

Pewnego mroźnego wieczora, w straszną zawieruchę śnieżną, rozległo się natarczywe stukanie do drzwi chałupy Agnieszki Królaczki. Była to najbiedniejsza chałupa z całej wsi.

Do tej właśnie chałupinki ktoś się dobijał w śnieżną zawieruchę, a jakiś jęczący, rozpaczliwy głos przebijał przez świst wichru i docierał do Agnieszki, gotującej postną kartoflanę.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — przeżegnała się pobożnie Agnieszka. — Chyba źle tak pospołu z wichrem skowyczy\*!

Ale gdy nie pomógł krzyż święty i modlitwa, Agnieszka ociągając się zbliżyła się do drzwi i początkowo starała się przez zamknięte dowiedzieć, kto się dobija i kto tak jęczy. Gdy jednak nikt nie odpowiadał, zdecydowała się otworzyć, ale w tej chwili omal nie została przewrócona przez jakieś wielkie stworzenie, które wpadło do izby wraz z kłębem śniegu, wniesionym przez potężny podmuch wichru.

— Czort, ani chybi! — zadygotała Agnieszka, odskakując w kąt i nie przestając się żegnać.

\* skowyczeć - wydawać urywane, żałosne dźwięki; skomleć, piskliwie ujadać. -

10

Ale po chwili znieruchomiała, ogarnięta nowym przerażeniem: przed nią stał wielki wilk!

— Jezu Najmilszy! Już po mnie! — zajęczała. Tymczasem wilk, nie zdradzając żadnych złośliwych zamiarów,

skowyczał z cicha, potrząsając zawiniątkiem, które mocno trzymał w zębach, jakby prosił o pomoc.

Agnieszka już oprzytomniała. Przyjrawszy się spokojnie poznała, iż jej gość nie był wilkiem, lecz wielkim, bardzo pięknym psem. Mądre oczy patrzyły na nią błagalnie, a cichy skowyt brzmiał jak prośba.

Kobiecina zbliżyła się do psa i wzięła od niego zawiniątko.

— Panienko Najświętsza! Toż to dziecko!

Dziecina, owinięta szczelnie w ciepłą chustkę, dawała słabe oznaki życia. Agnieszka wzięła się energicznie do ratowania maleństwa...

Pies stał przy niej, wodząc badawczymi oczami za każdym jej ruchem, zda się gotów w każdej chwili rzucić się, gdyby chciała zrobić dziecku krzywdę.

Gdy maleństwo otworzyło oczka, pies zaszczekał radośnie i wielkim, mokrym językiem oblizał całą buzię, a potem takim samym liźnięciem ręki Agnieszki starał się wyrazić jej wdzięczność.

W taki to sposób Kryśka dostała się do wsi Szczęśliwej. I już w niej została.

Wprawdzie mieszkańcy wsi, w obawie, by koszty utrzymania dziecka nie obarczyły ich, chcieli odesłać dziecko do gminy, ale Agnieszka poty zabiegała, poty tłumaczyła, aż zdecydowano, że dziecko zostanie u niej, a wieś będzie pomagała w wyżywieniu go. Zresztą pomoc ta była bardzo niewielka i właściwie

najbiedniejsza z całej wsi wyrobница\* z trudem największym, nie wiadomo wprost jakim sposobem, wyżywiła dziecko.

Gorzej jeszcze było z psem. Wyżywić takie wielkie psisko — toć prawie to samo, co wykarmić prosiaka! Gdyby nawet samymi

" wyrobница - dawniej: uboga kobieta wynajmująca się do pracy fizycznej.

11

kartoflami żył, to i tak koszt byłby duży. Chciano więc psa zabić. Ale Agnieszka stanęła w jego obronie:

— Toć to drogi pies! Taki pies nazywa się dog! Nie byle jaki kundel! Można dobry grosz za niego otrzymać!

Wtedy postanowiono psa sprzedać. Ale znowu Agnieszka wytłumaczyła, że zanadto zabiedzony, że trzeba go trochę podpaść — no i został! A potem już jakoś wszyscy się przyzwyczaili i do psa, i do dziecka.

Dziewczynka została nazwana Krysią, pies zatrzymał nazwę swej rasy, tylko trochę przekreconą. Wołano na niego Dug.

Zresztą nikt nic nie wiedział o nich i nikt, co prawda, bardzo się tym nie interesował. Skoro zostali we wsi, no to i byli, a co za jedni — to nikogo nie obchodziło.

Tak płynęły lata; Krysia wyrastała, pies się starzał. Nie rozstawali się z sobą nigdy. Dug opiekował się dzieckiem jak najlepsza opiekunka i biada temu, kto by małej chciał zrobić krzywdę. Więc życie upływało dziewczynce biednie wprawdzie, w ciągłym niedostatku, ale względnie spokojnie i pogodnie. Zresztą Krysia była żywa, wesoła i zupełnie się nie przejmowała, gdy przypomniano jej sieroctwo i niewiadome pochodzenie.

\_\_O... mam Duga! — wesoło odpowiadała.

A gdy zaczęła opowiadać bajki, od razu przyciągnęła do siebie większość dzieci i jakby nad nimi zapanowała. Niejedno też umiała przeprowadzić, gdy coś jej do głowy wpadło.

I teraz, siedząc na piaszczystym wzgórkę porośłym krzakami jałowca, z nieodłącznym Dugiem przy boku, otoczona zasłuchanymi dziećmi, opowiadała im bajkę za bajką, ale bezustannie wracała myślą do słów Petrka.

A jeżeli mu się uda wypędzić nauczycielkę? On jest chytry i śmiały. A chłopaki i niektóre dziewczyny idą za nim.

A Krysia tak bardzo się cieszyła, że wreszcie będzie się mogła uczyć! Agnieszka opowiadała jej nieraz o tym, co za śliczności są w książkach. A i ludzie podobno lepsi, gdy trochę nauki do

12

głowy im wejdzie! O... przydałoby się trochę dobroci we wsi Szczęśliwej!

— Lotka! Nie wiesz ty, gdzie chłopaki radzą? — zapytała w pewnej chwili.

— Nad stawem. Jak jest coś ważnego, to zawsze nad staw idą, bo ich tam nikt nie przyłapie — odpowiedziała zapytana.

— Lotka! — po pewnej chwili zagadnęła znów Krysia. — Myślisz, że co uradzą?

— O, pewno! Jak się Petrek zawężmie, to zawsze swoje zrobi. Krysia podparła bródkę rękami i zamyśliła się głęboko. Mała

jej, dziecinna buzia nabrała wyrazu dziwnie poważnego i stanowczego.

— To nie może być! — szepnęła po chwili na pół do siebie, na pół do Lotki, która słuchała pilnie.

Lotka była dziewczynką najbliższą Krysi. Nie można powiedzieć

— przyjaciółką, bo Krysia przyjaciółek nie miała. Dzieci lubiły ją, nawet więcej — szanowały, ale trzymały się od niej z daleka.

Jedna tylko Lotka była przywiązana do Krysi i w ogień by za nią skoczyła.

— Lotka! Jak pójść nad ten staw, żeby chłopaki nie zobaczyły?

— po chwili milczenia zapytała Krysia przyciszonym głosem.

— Aha! Chcesz wiedzieć, co uradzą? Krysia potwierdziła skinieniem głowy.

— Czekaj. Tylko żeby inne dzieci nie wiedziały, bo zaraz wygadają. I Dug musi zostać, bo wyda.

1 dziewczynki kołując, żeby reszta dzieci nie spostrzegła, w którą stronę odchodzą, powoli się oddaliły.

Trzeba było obejść staw od strony lasu i dopiero przez błotniste, pokryte kępami krzaków łąki zejść chłopców od tyłu.

Kawał to był drogi, lecz cóż to znaczyło dla dziewczynek, przyzwyczajonych do biegania po całych dniach. Toteż po niedługim czasie obie brodziły już po łące, brnąc czasami powyżej kolan w czarnym, grząskim błocie.

13

Nie bardzo to była wygodna droga, to ciągłe skakanie z kępki na kępkę, od drzewa do drzewa. Ale za to dziewczynki mogą być pewne, że niedostrzeżone dotrą do stawu...

Już były tuż, tuż! Nawet słysząc głosy.

— O... pod Wierzbą Czarownicy usiedli! — rzekła Lotka. — Już słysząc, co mówią!

— Jeszcze nie! Trzeba bliżej podejść!

— Ej! Trudno! Tu duże błoto! — mówiła Lotka. — Wpadniemy.

— Trzeba! Inaczej nic nie usłyszymy! — nalegała Krysia, a Lotka, jak zawsze spełniająca jej wolę, po chwilowym namyśle skoczyła na następną kępkę i — buch! — prościusieńko w błoto!

Zanim Krysia do niej dobiegła, już się podniosła, ale — o Boże! — jak wyglądała!

Caluteńka twarz w błocie, błoto spływało z kosmyków włosów, z palców u rąk, z sukienki!

Jakieś błotne straszdyło!

Krysia z początku przestraszona spojrzała raz i drugi i — nie mogła wytrzymać! Wybuchnęła długim, głośnym śmiechem.

— Straszdyło! O, jakie straszdyło! — wołała między wybuchami śmiechu.

Lotka tymczasem prychała, kichała, bo błoto dostało jej się do ust i do nosa, ocierała twarz rękami, ale że te też pełne były błota, więc tylko je jeszcze lepiej rozmazywała.

— Oj! Oj! Cha! Cha! Cha! — zanosila się od śmiechu Krysia.

— A to co takiego?! — huknął jakiś głos.

To Petrek, a za nim i inni chłopcy wychylili się zza krzaków.

Petrek bystrym spojrzeniem ogarnął obie dziewczynki i podczas gdy inni chłopcy śmieli się wesoło, ujrawszy umorusaną błotem Lotkę, zagadnął ostro, zwracając się do Krysi:

— A ty co tu robisz?

Dziewczynka zmieszana się nieco, lecz odpowiedziała rezolutnie:

— Widzisz przecie — stoję!

— Po coś tu przyszła? — coraz groźniej pytał Petrek, zbliżając się coraz bardziej.

Krysia odstąpiła nieco; nie miała zwykłej pewności siebie, bo troszkę nieładnie wyszło! Wszystko jedno z jakiego powodu, ale przyszła podsłuchiwać.

Jednak starała się nadrabiać miną.

— Przyszłam, bo mi się podobało!

— Przyszłaś na przespiegi, ty — znajdo?! — pinił się Petrek. Szczerze nie lubił Krysi, która nieraz psuła jego zamiary, nie



dopuszczając do złośliwych figlów lub stając w obronie słabszych. Nienawidził jej i za to, że nigdy nie udało mu się jej pokonać: zawsze ona, ta mała znajda, drobna dziewczynina, zwyciężała!

Jakim się to działo sposobem?

Ot, po prostu nie miał do niej dostępu, gdyż bronił j ej zawsze Dug! Groźny, wielki Dug, z którym niebezpiecznie było zaczynać!

Ale w tej chwili nie było psa. Widać Krysia zostawiła go w domu, by swobodniej mogła podejść chłopców. O, co za doskonała okazja!

Krysia nie miała zwykłej, pewnej siebie miny i to podniecało chłopaka jeszcze więcej.

— Co? Szpiegowałaś nas?! No, przyznaj się! — wrzeszczał Petrek.

Krysia cofała się, niepewna, zmieszana. Co robić? Kłamać nie umiała, a znów przyznać się do podsłuchiwania nie bardzo było miło.

A jednak jakiś instynkt podszeptał dziewczynce, by się na to właśnie zdecydowała.

— O... nie krzycz tak! Wcale się ciebie nie boję! No i co z tego, że chciałam wiedzieć, co radzicie? Przecież głośno mówiliście, że to o tę nauczycielkę chodzi i żadnego sekretu w tym nie ma! — mówiła rezolutnie.

— Jaka mi mądra teraz! A jak złodziej się podkradała! — drwił Petrek.

15

— No! Tylko ty mi od złodziei me wymyślaj! — zaperzyła się

^—A właśnie, że będę! I co mi zrobisz? Właśnie! Jak złodziej się zakradałaś! - wołał Petrek rad, że mu się nadarza sposobność pogwałcenia znienawidzonej dziewczynki.

— Ty, przestań, bo...

I Krysia z zaciśniętymi piąstkami doskoczyła do chłopaka, który

na to tylko czekał.

— Co? grozisz mi? Ty figo! Ty znajdo!

Cała złość, z musu tłumiona, wybuchła. Dużymi, brudnymi rękami chwycił dziewczynkę za ramiona, uniósł w górę, jakby zamierzał rzucić ją w błoto, gdy nagle poczuł jakiś gorący oddech na twarzy, ciężar na plecach, szarpnięcie gwałtowne -1 puszczając Krysię, runął jak długi!

Krysia upadła też, lecz zerwała się, usłyszawszy groźne warczenie i krzyk chłopców:

— Dug! Dug!

Więc to on, wierny, kochany Dug wyratował ją! Lecz skąd się tu wziął i \_ o Boże! - toć on zamorduje Petrka!

Rzeczywiście, pies wpadł w jakiś szal! Przewróciwszy chłopaka, wciągnął go w błoto, szarpał, targał i miotał nim. Dobrze, rozumne oczy nabiegły krwią, białe kły błyszcząły groźnie, a z gardła wydobywało się wściekłe, zduszone warczenie.

— Dug' Dug' Puść go! — wołała Krysia przestraszona.

— Wściekł się, wściekł! - krzyczały dzieci. Dziewczynka podbiegła do psa.

— Dug' Leżeć' Dug! Puść! — rozkazywała, a jednocześnie małymi rączkami chwyciła głowę rozwścieczonego psa, odciągając ją z całych sił od leżącego.

— Dug! Puść go w tej chwili!

Pies usłuchał wreszcie i ciężko dysząc, puścił Petrka. Chwilę jeszcze warczał i poszczekiwał groźnie, chwilę jeszcze błyskał gniewnymi oczami, lecz już mu wściekłość mijała, już spojrzenie,

16

jakim obejmował swoją matę panią, stawało się miękkie, spokojne, mądre... a gdy wreszcie szerokim, czerwonym językiem zdołał liźnąć dziewczynkę po twarzy, uspokoił się zupełnie.

Petrek leżał wciąż w błocie, twarzą do ziemi. Strach, jaki go ogarnął w pierwszej chwili, gdy poczuł gorący oddech psa na twarzy, minął zupełnie. Natomiast jakiś huragan wściekłości rozpierał mu piersi, a wstyd — palący, nieznośny gryzł serce.

Jeszcze raz znajda triumfowała! Naraziła go na wstyd wobec wszystkich, a teraz drwi z niego!

Ale Krysia ani triumfowała, ani drwiła! Przeciwnie, widząc, iż Petrek nie rusza się, zląkła się, czy czasem Dug nie zrobił mu krzywdy i podczas gdy inne dzieci obojętnie spoglądały na leżącego, a niektóre nawet odczuwały złośliwą radość, że silny, nieustępliwy chłopak, którego ciężką pięść niejeden poznał na swoim grzbiecie, leży w takim poniżeniu, dziewczynka podbiegła do niego i nachyliwszy się, zapytała niespokojnie:

— Petrek! Dlaczego nie wstajesz? Czy cię co boli? Czy Dug nie zrobił ci krzywdy?

Chłopaka aż podrzuciło z wściekłości; miły, dobry głosik Krysi nie tylko go nie uspokoił, lecz przeciwnie, podrażnił jeszcze więcej.

— Idź precz, słyszysz? Pókim dobry, bo jak... Dziewczynka próbowała jeszcze ułagodzić wściekłego chłopaka.

— Nie złość się, Petrku. Ja naprawdę nie chciałam, żeby Dug... — zaczęła łagodnie, ale w tej chwili Lotka, która jako tako doprowadziła do porządku swój wygląd, pociągnęła ją za rękaw.

— Chodź, zostaw go! Dobrze mu tak! Żeby nie Dug, byłby cię zakatował. Chodź prędzej, bo jak się podniesie, gotów się na ciebie rzucić! Chodź, chodź! — nagliła, a Krysia, ociągając się nieco, usłuchała.

Było jej nieprzyjemnie, że tak się stało, bo nie lubiła nikomu dokuczyć, a przy tym czuła, że Petrek jej tego nie przebaczy i jeszcze większym wrogiem się staje.

Vicś Szczęśliwa

17

— Prędzej, prędzej! Może w nas jeszcze czym rzucić! — ostrzegała przewidująca Lotka, ciągnąc Krysę za sobą.

Dug biegł za nimi, rzucając wokoło bystre spojrzenia.

Reszta dzieci też się rozeszła. Nikt się nie zatroszczył o leżącego w błocie Petrka, nikt mu nie podał ręki, nikt nie przyszedł z pomocą...

Taki to już był zwyczaj we wsi Szczęśliwej: póki dobrze, to dobrze, a jak ci bieda, to sam sobie radź!

Gdy wszyscy odeszli, Petrek uniósł się nieco, spojrzał dokoła, a widząc, że jest sam, zazgrzytał zębami i wyciągając zaciśniętą pięść za odchodzącymi, syknął:

— Poczekaj! Już ja ci odpłacę, tobie, twojemu psu i tej — nauczycielce!

Do takiej to wsi, do takich to dzieci wybierała się młodziutka nauczycielka, panna Józefina, zwana w dzieciństwie Fifinką\*. Była to jej pierwsza posada i trochę, troszeczkę się bała. Nie dlatego, by przeczuwała, że jej trudno będzie poradzić sobie z dziećmi szczęśliwieckimi. Sama ze wsi, znała doskonale dzieci wiejskie i wiedziała, że takich prawdziwie złych między nimi mało i byle wiedzieć, z której strony przystąpić, to miękkie są jak wosk trochę nagrzanym.

Ale panna Józefina chciała dzieciom, do których jechała, dać dużo, dużo dobrego! Chciała ich tyle nauczyć, tyle pokazać pięknych rzeczy, zrobić z nich takich dzielnych ludzi. Marzyła, by szkoła, do której jechała, stała się pięknym ogrodem, w którym ona jako umiętna ogrodniczka hodować będzie przepiękne kwiaty serc i dusz dziecięcych.

I trochę się bała, czy potrafi to zrobić!

" Fifinka - o tym, jak dzika, niechętna do nauki dziewczynka o tym imieniu, przez liczne niespodziewane i przykre przygody przekonała się, że wiedza jest ważna w życiu, postanowiła zdobyć wykształcenie i zostać nauczycielką, opowiada powieść M. Buyno-Arctowej „Fifinka". Z tej to właśnie dziewczynki wyrosła panna Józefina, która podjęła pracę we wsi Szczęśliwej.

18

— Bo wy nawet nie przypuszczacie, jak piękna może być dusza dziecka! Ile w niej zalet ukrytych się mieści! Byle tylko umieć je wydobyć na jaw! — mówiła panna Józefina do swej mlecznej siostry, Marysieńki, i jej brata.

Marysieńka podzielała zapał swej przyjaciółki, ale pan Władysław trochę ironicznie przyjmował te zachwyty i objaśniał niezbyt zachęcająco:

— No! No! Zobaczymy! Wieś Szczęśliwa, do której jedziesz, jest podobno jakimś zapadłym kątem, a ludzie w niej nie odznaczają się wielką kulturą! Podobno właśnie tam notują największą ilość koniokradów, a statystyka złodziejstw jest wprost imponująca!

— Nie strasz Fifinki! — rzekła pani Górską, która w tej chwili weszła do pokoju. — Nie odbieraj jej ducha w chwili, gdy jej jest tak potrzebny spokój i równowaga.

— O, ja się wcale nie boję! — energicznie zawołała panna Józefina, którą w domu państwa Górskich nie przestano nazywać Fifinką. — Pamiętam moje dzieciństwo i moje „awantury arabskie”. Wybrnęłam z nich szczęśliwie, więc i we wsi Szczęśliwej dam sobie radę, chociażby nawet Władek miał prawdziwe informacje!

— Moja ty dzielna osóbkko! — pieszczotliwie gładząc czarne, niesforne włosy, mówiła pani Górską, szczerze przywiązana do swojej wychowanki. — Wierzę, że zawsze dopniesz swego. I miejmy nadzieję, że nie będziesz potrzebowała zbyt wielkich wysiłków, by sobie zdobyć serduszka dzieciaków, które będziesz uczyła.

— O, jestem pewna, że w krótkim czasie wszystkie będą przepadały za Fifinką! — zawołała z przekonaniem Marysieńka.

— Hm, hm! Niech tak będzie! — zgodził się pan Władysław. — Ale teraz pozwolę sobie przypomnieć, że pociąg nie będzie na nas czekać!

— Tak! Tak! Zbierajcie się panienki! Już czas! — potwierdziła pani Górską.

Przyjaciółki pobiegły na chwilę do swego pokoju, by tam pożegnać się bez świadków. Miały sobie jeszcze dużo, bardzo dużo

19

do powiedzenia. Lecz gdy się znalazły w ślicznym, białym pokoiku, w którym przeżyły kilka szczęśliwych lat, słowa ugrzęzły im w gardle, jakiś bolesny skurcz ścisnął serca! Rzuciły się sobie w objęcia i zdaje się, że obie miały mokre twarze, ale nie przyznałyby się do tego za żadne skarby, szczególnie Fifinka!

Marysieńka, wyswobodziwszy się z objęć przyjaciółki, pobiegła do szafy i z chwilowym wahaniem wyciągnęła z niej — lalkę!

iczną dużą lalę, o wielkiej, kędzierzawej czuprynie i filuternych oczkach.

— Niteczka!

' słuchaj, Fifinko! Chciałabym, żebyś miała przy sobie kogoś bliskiego. Więc weź Niteczkę. Nie śmieję się ze mnie, że traktuję lalkę jak jakąś istotę żywą, ale widzisz, Niteczka jest naprawdę niezwykła! ez JA z sobą! — mówiła Marysieńka, podając lalkę przyjaciółce.

Ł dziękuję! I naprawdę niczym nie potrafiłabyś zrobić mi większej przyjemności — zawołała Fifinka. A ująwszy w obie ręce a ŁŁ, Podniosła ją wysoko, mówiąc wzruszonym głosem:

~ ~ Pamiętaj, Niteczko, jak to kilka lat temu obłąskawiłaś wiejskiego dzikuska?! Pamiętaj, jak potem przechodziłaś z głupiutką Fifinkąprzeróżne „awantury arabskie”? No i teraz znowu ze mną jedziesz, może znowu na różne awantury i tarapaty\*?

7~ może Niteczka pomoże ci w oswojaniu tych dzikusów wiejskich, do których jedziesz? — zauważyła Marysieńka. Może!... Kto to wie? Jeszcze jeden uścisk długi, serdeczny, kilka łez, szybko obtartych, a potem w gorączce przedwyjazdowej wszystko się mieszało, zacierało, na nic nie było czasu, tyle w ostatniej chwili okazało się rzeczy niezafatwionych...

rzeciągfy gwizd, szarpnięcie, trzask, huk — pociąg ruszył i za chwilę znikło wszystko, z czym przez lat kilka tak blisko, tak serdecznie żyła się miodziutka nauczycielka: miła, słodka

tarapaty - niemiłe przygody, kłopoty.

20

twarzyćka Marysieńki, postać przezacnej Dobrej Pani, figlarne oczy towarzysza zabaw... mury miasta, niegdyś tak wrogiego dla dzikiej wieśniaczki, a które potem otworzyło swe skarby przed żądną wiedzy dziewczynką— i cała przeszłość, beztroska, jasna, szczęśliwa...

Wszystko, co się teraz miało zacząć, było nowe, nieznanne...

Jakie niespodzianki czekają na nowej drodze?

\* \* \*

We wsi Szczęśliwej tymczasem niby to jest spokojnie, niby wszystko tak, jak było, a jednak jest coś, co wszystkich nurtuje!

Gospodarze kończą pośpiesznie roboty koło budynku przeznaczonego na szkołę. Gospodynie prowadzą wciąż zacięte spory, która co ma przynieść do mieszkania nauczycielki, no i w rezultacie izdebka stoi pusta, tak jak była.

A dzieci? Dzieci czekają, jedne z niecierpliwością, inne z ciekawością, jeszcze inne z tajoną, ukrywaną złością.

To grupka, niewielka zresztą, z Petrkiem na czele.

Od pamiętnego zajścia na łące Petrek przycichł, umilkł i tylko rzucane ukradkiem złe spojrzenia pozwalały się domyślać, iż coś go nurtuje, coś spokoju nie daje.

Na próżno Krysia chciała wybadać, co zamyśla: ani on, ani jego zwolennicy nie wygadali się z niczym i gdy przyszedł dzień przyjazdu nauczycielki czuła raczej, niż wiedziała, że chłopcy coś zamyślali, a że nie było to nic dobrego, za to Krysia mogła ręczyć!

Widać to było po ich oczach, unikających spotkania się z jej wzrokiem, po ruchach niepewnych i płochliwych, po szeptach tajemniczych...

Więc wysilała głowinę, by w jakiś sposób zapobiec złu, które się miało stać. Ale jakoś nic nie mogła wymyślić.

Widziała, jak Więkoszczak, któremu to przypadło, szykował

21

do powiedzenia. Lecz gdy się znalazły w ślicznym, białym pokoiku, w którym przeżyły kilka szczęśliwych lat, słowa ugrzęzły im w gardle, jakiś bolesny skurcz ścisnął serca! Rzuciły się sobie w objęcia i zdaje się, że obie miały mokre twarze, ale nie przyznałyby się do tego za żadne skarby, szczególnie Fifinka!

Marysieńka, wyswobodziwszy się z objęć przyjaciółki, pobięła do szafy i po chwilowym wahaniu wyciągnęła z niej — lalkę! Śliczną, dużą lalę, o wielkiej, kędzierzawej czuprynie i filuternych oczkach.

— Niteczka!

— Słuchaj, Fifinko! Chciałabym, żebyś miała przy sobie kogoś bliskiego. Więc weź Niteczkę. Nie śmieję się ze mnie, że traktuję lalkę jak jakąś istotę żywą, ale widzisz, Niteczka jest naprawdę niezwykła! Weź ją z sobą! — mówiła Marysieńka, podając lalkę przyjaciółce.

— O, dziękuję! I naprawdę niczym nie potrafiabys zrobić mi większej przyjemności — zawołała Fifinka. A ująwszy w obie ręce lalkę, podniosła ją wysoko, mówiąc wzruszonym głosem:

— Pamiętasz, Niteczko, jak to kilka lat temu obłaskawiłaś wiejskiego dzikuska?! Pamiętasz, jak potem przechodziłaś z głupiutką Fifinka przeróżne „awantury arabskie”? No i teraz znowu ze mną jedziesz, może znowu na różne awantury i tarapaty\*?

— A może Niteczka pomoże ci w oswojaniu tych dzikusów wiejskich, do których jedziesz? — zauważyła Marysieńka.

— Może!... Kto to wie?

Jeszcze jeden uścisk długi, serdeczny, kilka łez, szybko obtartych, a potem w gorączce przedwyjazdowej wszystko się mieszało, zacierało, na nic nie było czasu, tyle w ostatniej chwili okazało się rzeczy niezłałatwionych...

Przeciągły gwizd, szarpnięcie, trzask, huk — pociąg ruszył i za chwilę znikło wszystko, z czym przez lat kilka tak blisko, tak serdecznie żyła się młodziutka nauczycielka: miła, słodka

\* tarapaty - niemiłe przygody, kłopoty.

20

twarzyczka Marysieńki, postać przezacnej Dobrej Pani, figlarne oczy towarzysza zabaw... mury miasta, niegdyś tak wrogiego dla dzikiej wieśniaczki, a które potem otworzyło swe skarby przed żądną wiedzy dziewczynką—i cała przeszłość, beztroska, jasna, szczęśliwa...

Wszystko, co się teraz miało zacząć, było nowe, nieznanne...

Jakie niespodzianki czekają na nowej drodze?

\* \* \*

We wsi Szczęśliwej tymczasem niby to jest spokojnie, niby wszystko tak, jak było, a jednak jest coś, co wszystkich nurtuje!

Gospodarze kończą pośpiesznie roboty koło budynku przeznaczonego na szkołę. Gospodynie prowadzą wciąż zacięte spory, która co ma przynieść do mieszkania nauczycielki, no i w rezultacie izdebka stoi pusta, tak jak była.

A dzieci? Dzieci czekają, jedne z niecierpliwością, inne z ciekawością, jeszcze inne z tajoną, ukrywaną złością.

To grupka, niewielka zresztą, z Petrkiem na czele.

Od pamiętnego zajścia na łące Petrek przycichł, umilkł i tylko rzucane ukradkiem złe spojrzenia pozwalały się domyślać, iż coś go nurtuje, coś spokoju nie daje.

Na próżno Kryśka chciała wybadać, co zamyśla: ani on, ani jego zwolennicy nie wygadali się z niczym i gdy przyszedł dzień przyjazdu nauczycielki czuła raczej, niż wiedziała, że chłopcy coś zamyślali, a że nie było to nic dobrego, za to Kryśka mogła ręczyć!

Widać to było po ich oczach, unikających spotkania się z jej wzrokiem, po ruchach niepewnych i płochliwych, po szeptach tajemniczych...

Więc wysilała głowinę, by w jakiś sposób zapobiec złu, które się miało stać. Ale jakoś nic nie mogła wymyślić.

Widziała, jak Więkoszczak, któremu to przypadło, szykował

wóz, jak niedbale rzucił wiązkę słomy, niby to siedzenie, przykrył japoobdzieranym szmaciakiem\* i pojechał na stację.

Po drodze, bardzo w tym okresie rozmiętej, nieprędko zajędzie i nieprędko wróci... upłynie jakieś kilka godzin... Ale i one wreszcie miną, a wówczas?!...

Dreszcz grozy wstrząsał Krysią. Nie można, nie można dopuścić, by się chłopcom udał złośliwy figiel, który w tajemnicy obmyślili.

Był wprawdzie jeden sposób, do którego już nieraz się uciekała, gdy chciała dzieci szczęśliwieckie odciągnąć od złych pomysłów. Ale czy się tym razem uda?

Chodziło o to, by wciągnąć chłopaków w koło słuchaczy bajek.

Wtedy nawet sam Petrek zaślucha się i o Bożym świecie zapomni! A Krysia obmyśli taką bajkę, żeby ciągnęła się długo, długo... aż Więkoszczak ze stacji przyjedzie!

Tylko jak tu zrobić, żeby zaczęli słuchać?

W tej chwili nadbiegła Lotka, mówiąc tajemniczo:

— Chłopaki na wzgórku przy drodze siedzą!

— Aha! Doskonale! Chodźmy tam. Będę opowiadała bajki! — rzekła Krysia.

Oczy Lotki zabłyśły radośnie.

— Hop! Hop! — zawołała na cały głos. — Krysia będzie opowiadała bajki!

Nie wiadomo, jakim sposobem wiadomość ta natychmiast obiegła wieś całą i ze wszystkich chat wysypała się dzieciarnia, biegnąc ku Krysi z wesołymi okrzykami.

— Bajki! Bajki! Krysia opowiada bajki!

Dziewczynka szła naprzód, swymi mądrymi, wielkimi oczami wybierając miejsce najdogodniejsze do przeprowadzenia swoich planów, a jednocześnie obmyślała sposób, jak by tu przyciągnąć do siebie chłopaków, którzy rozłożywszy się na zboczku wzgórka, coś tajemniczo z sobą szeptali.

' szmaciak - tkanina wykonana przez gospodynię ze szmat - starych, zniszczonych, podartych materiałów.

Krysia z całądzieciarniąusiadła w niedalekiej od nich odległości i zrazu cicho, potem stopniowo podnosząc głos, mówić zaczęła:



„Do pewnej wsi przywędrował kiedyś stary, stary dziaduj. Miał dużą siwa brodę i gęśliki\*, na których sobie przygrywał, idąc powoli przez wieś.

Zaraz go obstąpiły dzieci. Wiedziały, że taki siwy dziaduś umie albo pieśni piękne śpiewać, albo bajki opowiadać. Nuż więc prosić:

— Dziadulu! Opowiedzcie nam co!

Siwy dziaduś nie dał się prosić. Na kamieniu przysiadł i wciąż na gęślikach pobrzękując, opowiadać zaczął:

— Hej! Hej! Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, jak się stała zbrodnia wielka! Trzej mocarze, władzy chciwi, a zdradliwi, zagarnęli ziemię żyzną przejasnej królowej pięknej. A ją samą, nieboraczkę, z tronu zwlekli i uwięzili w kraj daleki i nieznany.

Hej! Hej! Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, gdzie zaś królowę ukryli. A ukryli ją w jaskini, głazem wielkim przytłoczyli, by nikt jej odnaleźć nie mógł! Nikt z przyjaciół najwierniejszych ni z rycerzy, ani z panów o królowie nic nie wiedział, jeno ptak jej najmilszy, srebrnopióry ptak królewski swojej pani dolę dzieli.

W mrocznej ciemni uwięziony dla królowej wciąż pracuje, ostrym dziobem swym mocarnym skałę kuje, kuje, kuje! Aż wykuje otwór wielki i na świat Boży wyfrunie i polecą jak wiatr szybki szukać zbawcy dla królowej. Hej! Hej!"

Krysia miała bardzo miły głosik, a w opowiadaniu nieraz naśladowała różne inne, wywołując to szczere wybuchy śmiechu, to znów cichy zachwyt. Teraz na pół mówiła, na pół śpiewała, do złudzenia naśladowując głos dziadka.

Chłopcy przestali z sobą szeptać i niejeden wbrew woli ucha nastawił, ale Petrek oburknął ich niecierpliwie:

— Co to? Może będziecie słuchali bzdur, które gada ta — Bajczarka? Cóż to? Dzieci jesteście czy co?

\* gęśliki - dawny, prosty, ludowy instrument smyczkowy.

23

— E nie My nie słuchamy... — bronili się chłopcy, odsuwając się nieco, by nie dochodziły ich słowa bajki.

A Krysia mówiła dalej już swoim zwykłym głosem: „Skończył dziaduś, podniósł się z kamienia i powędrował dalej,

razem ze swymi gęślikami.

Chciałyby się dzieci dowiedzieć, co się stało z królową i jej

ptakiem, ale jakoś nie było czasu pytać, bo dziaduś odszedł me

wiadomo kiedy.

Tylko jedna dziewczynka, sierotka, która za bajkami przepadała, me pożałowała nóg i pobiegła za siwym dziaduniem, aż go dopadła już na skraju lasu..."

— To Krysia! To Krysia! — szeptem udzielały sobie uwag dzieci. Chwyliła staruszka za rękaw i nuż prosić:

— Powiedźcie, co się dalej z królowną stało?

Dziaduś spojrział na nią dziwnymi jakimiś oczami i rzekł:

— To ci tylko powiem, że biały ptak już wolny i duży szmat ziemi przeleciał, szukając zbawcy dla królowny. Może i do was przyleci Wiec uważaj! Nad czyją głową zakrąży, ten będzie wybrany A to sobie zapamiętaj: musi to być człowiek rozumny, silny i \_ dobrego serca. Jeżeli wybrany przez białego ptaka złość będzie miał w sercu — biada królownie!

Chciała sierotka jeszcze dziadusia pytać, lecz ten zniknął nagle, jakby się we mgle rozpułnął.

Wiec zawróciła z wolna, wielce się dziwiąc temu, co usłyszała, gdy nagle — coś zaszumiało nad nią, załopotało...

Podniosła głowę. Panienko Najświętsza! — toć biały ptak leci prosto nad łąki, gdzie gromady chłopców za końmi uganiają...

Biegnie za nim sierotka, ledwie jej tchu starczy... Czy zatrzyma się nad kim biały ptak? Czy kogo wybierze?

Serce jej bije mocno, mocno... Ledwie, ledwie z piersi me

wyskoczy.

Jezu Najmilejszy! Zatrzymał się... I nad kim to?

24

O Boże! Nad najgorszym chłopcem z całej wsi!

Prawda, że był silny i mądry, ale serce miał okrutne i złe!"

— O... to Petrek... To Petrek... — podniósł się gwar między

dziećmi.

A wśród chłopców siedzących na wzgórku wszczął się jakiś niepokój. Krysia głośno i dobitnie wypowiedziała ostatnie słowa. Ani chybi — do Petrka kroila!

Chłopiec zaczerwienił się, potem zbladł. Chwilę się namyślał, po czym podniósł się powoli i podszedł do Krysi.

— Hej, ty! Za dużo sobie nie pozwalaj! — zamruczał złowrogo.

— A niby co? — jakby nie domyślając się niczego, z niewinnym uśmiechem zapytała Krysia.

— Ty sobie ze mnie żartów nie strój! Powiedz no, jak się nazywał ten twój najgorszy we wsi chłopak?

— Petrek! Petrek! — podpowiadały szeptem dzieci.

— Ach! Ten z bajki. Aha! Nazywał się — Jędrak!

Petrek zgrzytnął zębami, Jędrzej miał na drugie imię, ale o tym

mało kto wiedział.

— No!... Już ja zobaczę, jak twoja bajka wygląda. A jeżeli wymyśliłaś ją sobie, żeby mnie poniżyć — popamiętasz! No, gadaj dalej! Będę słuchał.

To mówiąc Petrek usadowił się naprzeciwko Krysi, reszta chłopców za nim.

Dziewczynka ledwie, ledwie zdołała powstrzymać okrzyk radości! Tego tylko chciała! Już teraz Petrek nie odejdzie, póki

ona go nie puści.

Przy tym sam los jej dopomógł, gdyż chłopcy usiedli tyłem do drogi i nie widzieli, co się na niej dzieje, gdy ona miała ją całą przed sobą. Ale nie dając nic poznać po sobie, rzekła obojętnym tonem:

— Ani mi w myśli o tobie opowiadać! A zresztą, słuchaj sobie! Mnie to nie przeszkadza.

I zwróciwszy się do dzieci, ciągnęła:

25

- Na czym to ja stanęłam?... Aha!... „Gdy sierotka zobaczyła, iż ptak zatrzymał się nad Jędrkiem, jęknęła żałościwie:

— Nieszczęście! Nieszczęście!

A taka ją żałość zdjęła, iż zakrywszy twarz rękami, rzewnie płakać zaczęła. Aż tu rozległ się nad nią głos jakiś dziwny. Rozumie go, jakby ludzki był, a przecież inny niż wszystkie, które dotąd słyszała.

— Wylecz Jędrkowe serce!

Ani się zastanowiła sierotęńka, kto mówi, jeno zapytała:

— Jakże to mam uczynić?

— Czar z Jędrkowego serca odpędzić. Jeżeli ci się uda zatrzymać go w chacie jutro do samego południa, zły czar od serca jego odejdzie!

Zamilkł głos, a sierotka próżno się rozglądała, skąd pochodził: wokół nikogo nie było.

— Anieli święci snąć\* mi pomogli! — pomyślała i co prędzej do wsi pobiegła, mocno zafrasowana.

Jakże tu Jędrka w izbie do południa zatrzymać, kiedy on jak wicher od samego świtu po łąkach i lasach buszuje? Jakże tu do niego mówić, kiedy on nikogo nie słucha? Ani go prosić, ani mu nakazać...

Ale wzięła się sierotka na sposób. Skoro świt do chaty Jędrkowej przyszła. A Jędrak już się gdzieś wybierał. Więc go wstrzymała:

— Czekaj, Jędrak! Matula kazała, by ci klusek kartoflanych zgotować.

Jędrak bardzo lubił kluski, więc czapkę zdjął, na ławie usiadł i czeka."

— Cha... cha... cha... — zaśmiały się dzieci, zerkając ku Petrko-wi, bo wiedzieli wszyscy, że go kluskami kartoflanymi kupić było można.

\* snąć - widocznie.

26

A Petrek namarszczył się gniewnie i rzekł opryskliwie:

— No, i co dalej?

Wyglądało to niby, że ciekaw jest, czy to o nim dalej będzie, ale Krysia po błysku jego oczu wiedziała już, że zasłuchany był na równi z innymi i już go teraz sama tylko bajka obchodzi.

„Sierotka nagotowała wielki gar klusek — opowiadała dalej Krysia — na miskę je wylała, mocno słoniną okrasila i Jędrkowi podała.

Chłopak zasiadł do miski i zajada.

— Chyba w godzinę nie uradzi! — myśli sierotka. Ale chłopak zwinął się nad podziw prędko i już do drzwi sunie.

Znów go zatrzymała:

— Słuchaj, Jędrak! Chłopaki naniósł wierzby i powiedziały, że i do południa nie wyrobisz z niej fujarek.

— Co?! — krzyknął Jędrak. — Powiedz im, że w godzinę to wyrobię!

I zaraz wziął się do roboty, tylko kozik w rękach mu śmigał. Bo Jędrak do każdej roboty prędki był jak nikt!"

— To tak jak Petrek! — pochwały dzieci.

„Ciarki przechodziły sierotkę, gdy na tę robotę patrzyła. Gdzie tam do południa, a wierzby ubywa i ubywa.

Otóż i ostatnia gałązka. Jędrzek pot z czoła otarł, zadowolony z siebie, czapkę na uszy nasunął i do drzwi!

Sierotka widząc, że go już wstrzymać nie może, z żalu wielkiego śpiewać zaczęła.

A już jej Pan Jezus i Paniątka Najświętsza ten wielki dar dali, by jej sieroctwo osłodzić, iż głos miała jak ten skowronek, a piosenek umiała tyle, że ich zliczyć nie było można.

Jędrzek śpiewanie nad wszystko lubił, więc nie myśląc już o wyjściu, o drzwi się oparł i słuchał.

Sierotka wciąż śpiewała. Minęła godzina, druga... do południa jeszcze daleko, a tu już w gardle zasycha, w głowie się kręci... a głos ledwie, ledwie się dobywa...

A przestać ani na chwilę nie może, bo Jędrzek tuż przy drzwiach... Jakby przerwała, poszedłby i po wszystkim!

Na zegarze brak jeszcze godziny do dwunastej.

Nie wytrzyma!

Wzniósł sierotka oczy ku górze i dojrzała obrazy święte z Aniołami śpiewającymi.

— O Anieli! — błagała w duchu — pomóżcie! Wesprzyjcie mnie swoimi głosami. Muszę zły czar z Jędrkowego serca zdjąć... Inaczej biada królownie!

I nagle... cóż się dzieje? Rozlega się piękna muzyka, z obrazów z wolna schodzą Anieli święci, kołem sierotkę otaczają i razem z nią śpiewają.

Sierotka nie czuje już zmęczenia: słodka radość przepełnia jej serce i wylewa się w tonach tak pięknych, jakie nigdy z piersi jej się nie wydobywały!

A przepiękna muzyka wciąż gra i gra...

Jędrzek słuchał, o świecie całym zapominając. Twarz rękami zakrył, by ukryć łzy spływające mu po twarzy.

Jeszcze się ich wstydził, lecz już mu one serce skutecznie leczyły!

I trwała ta muzyka i to śpiewanie długo... długo...

Aż nagle: Bum, bum... bum...

Dwanaście razy wybił zegar.

Umilkła muzyka, ucichło granie... Anieli święci z obrazów spokojnie patrzą...

Ale już z serca Jędrkowego zły czar opadł, a sierotka, szczęśliwa jak nigdy, z głębi rozradowanego serca wydała okrzyk:

— Ocalona!"

Krysia umilkła, ale dzieci domagały się gwałtownie:

— No, i co dalej? Co dalej? Opowiadaj dalej. Co się stało z Jędrkiem? Co się stało z królowną?

Lecz dziewczynka podniosła się z miejsca i wesoło potrząsając główką, odpowiedziała:

28

— Dziś już wam nie powiem nic... późno... Jutro po szkole... Pilno jej było odejść. Coś ją ciągnęło w stronę szkoły, by

zobaczyć nauczycielkę.

Widziała z daleka, jak jechała... A Krysi o to właśnie chodziło, by przyjechała niedostrzeżona przez chłopców, przeczuwała bowiem, że właśnie na przyjazd nauczycielki chcieli chłopcy coś zbroić... Zatrzymała ich... Naumyślnie tę właśnie bajkę wymyśliła... Petrek wiedział, że o nim mówi i z początku został, by szukać zaczepki, gdyby powiedziała wyraźnie coś złego o nim, a później... później... to już słuchał naprawdę!

— Krysia! Opowiadaj! —prosiły jeszcze niektóre z dziewczynek, podczas gdy chłopcy, zdjęci nagle niepokojem, skupili się koło Petrka, czekając na jego rozkazy.

Lecz ten siedział zachmurzony, zły i zdawał się wcale ich nie widzieć.

— Petrek! Co będzie? — zagadnął jeden z najśmielszych chłopaków.

— A co ma być?

— No... niby wedle tego...

— Głupiś! — oburknął Petrek. —Nie widzisz to, że już ciemno i pewnie Więkoszczak dawno wrócił.

— Przegapiliśmy! A wszystko przez tę...

Ale Petrek nie słuchał. Podniósł się ciężko z miejsca i nie rzekłszy ani słowa, poszedł w stronę piaszczystych wzgórków, porośniętych nikłymi, karłowatymi drzewkami.

— Co go ugryzło? — szeptali między sobą chłopcy.

— A kto go tam wie! Trudno go wyrozumieć, jak jest zły! Pogadali jeszcze, postali chwilę i rozeszli się po chatach, bez

prowodyra\* na nic się zdobyć nie mogąc.

A Petrek szedł przed siebie ani wiedząc, co go opętało. Ale że go coś opętało, to pewne! Niektóre słowa Krysi zapadły mu w duszę,

' prowodyr - osoba przewodząca jakiejś grupie, stojąca na jej czele.

niecąc w niej jakiś niepokój. A co, jeżeli naprawdę można rzucić zły czar na serce i wtedy jest ono w mocy tego czaru? Petrek czuje, że w nim serce jest złe, zatwardziałe... wie to i nieraz tak mu z tym źle, a znów innym być nie umie!

A z tą królewną... E... bajka to przecież, wymysł ludzki... Lecz skąd to przychodzi do głowy Krysi? Jakim sposobem to się dzieje, że dziewczynina taka sama jak oni wszyscy, nieuczona, takie rzeczy opowiadać umie?

Czasami, gdy jej słucha, lęk go bierze, jego, Petrka, najsilniejszego chłopaka z całej wsi, którego się boją wszyscy! ;

Dlaczego tak jest? I co to znaczy?

Pytania te, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi, tłoczyły mu się do głowy, nie dając spokoju, i zagłuszyły myśl o tajemniczych projektach, które układał ze swoimi towarzyszami w wielkim sekrecie przed Krysią by ich nie popsua.

A jednak popsua! Tak! W tej chwili to zrozumiał! Toć ona go naumyślnie wciągnęła w to słuchanie, żeby nie mógł swego dokonać...

Taka chytra! I znów się jej udało!

Nagła wściekłość ogarnęła Petrka. Zaklął brzydko, zawrócił gwałtownie i pobiegł pędem ku wsi, mrużąc przez zaciśnięte zęby:

— Poczekaj! Jeszcze ja cię przyłapię! Jeszcze mi kiedyś za wszystko zapłacisz!

Krysią zaś nie zatroszczyła się zupełnie w tej chwili o Petrka. Złości do niego nigdy nie miała, choć jej nieraz porządnie dokuczył, przewagi nad nim nie chciała... Co jej z tego? Niech sobie nad chłopakami przewodzi. Byłe nie robił złych figli.

Och! Jak to dobrze, że mu się nie udało to, co zamyślał. Dalej może już jakoś się ułoży. Trzeba tylko, żeby nauczycielka wiedziała, że musi być ostrożna...

Ale jak to zrobić? Nie można przecież iść skarżyć. Brrr... to byłoby obrzydliwe. No, ale może jakoś się uda bez skarżenia, tak delikatnie.

Z tymi myślami skradała się dziewczynka pod okna małego domku, z którego dobywała się przez małe, brudne szybki wąska smuga nikłego światła.

Krysią wspięła się na palce i nieśmiało, ostrożnie zajrzała do okienka.

To, co zobaczyła, przejęło ją zdumieniem i jakby lękiem.

Panienko Najświętsza! Toć ta nauczycielka to prawie taka jak najstarsza dziewczynka we wsi! Buzia mała, włosy krótkie i takie jakieś nieposłuszne, że ciągle je trzeba przygładzać! Wysoka jest, bo wysoka, ale szczupluteńka i taka strasznie młodziutka!

— Żle — pomyślała. — Nie da rady z chłopakami. Jeszcze żeby była starsza, a tęga i mocna! Ale tak!

Odsunęła się od okienka, mocno zafrasowana, ale zaraz, zdjęta ciekawością wspięła się ponownie do szyby. Tym razem zdumienie jej wzrosło, bo oto spostrzegła, iż nauczycielka trzyma na ręku dziecko! Ślicznie wystrojone, z dużą złotą czupryną takie ze dwa lata!

Omali nie krzyknęła ze zdziwienia, a tak była zaskoczona tym widokiem, iż zapominając o wszelkiej ostrożności, przylepiła buzię do okienka, by lepiej się przyjrzeć.

W tej chwili na szybie padł wzrok nauczycielki, która w pierwszej chwili jakby się przestraszyła, a potem szybko zbliżyła się do okna.

Krysia cofnęła się i przez chwilę miała zamiar uciec. Ale pomyślała sobie, że to wyglądałoby nieładnie. Tak jakby chciała zrobić coś złego. Więc zdecydowawszy się wejść, nieśmiało zapukała do drzwi.

Nauczycielka otworzyła natychmiast.

— Dzień dobry! — od progu dygnęła Krysia.

— Jak się masz, dziecko? To ty zaglądałaś przez okno? — miłym głosem zapytała nauczycielka.

— Ja, proszę pani nauczycielki! — odparła Krysia bardzo zmieszana.

— Chciałaś zobaczyć, jak wyglądam? — zaśmiała się nauczycielka.

31

Krysia skinęła potwierdzająco głową.

— No i cóż? Jak ci się podobam?

Głos nauczycielki brzmiał dziwnie miło, a czarne oczy patrzyły tak jakoś wesoło i dobrze, że serduszko Krysi od razu Ignąc poczęło do niej.

— Mnie to bardzo! — odparła bez namysłu. — Ale...

— No, jakież tam ale!

— Ale dla innych dzieci, to... to...

Krysia zawahała się... Czy można powiedzieć to, co myśli? Czy pani nauczycielka się nie obrazi?

— No, mów śmiało! Jestem bardzo ciekawa.

— Pani nauczycielka do naszej wsi jest za młoda! — zdecydowała się powiedzieć Krysia.



— Ho! Ho! To wasza wieś jest nie taka jak inne? — zaciękała się nauczycielka.

— Niby taka sama, ale inna też... Ludzie są...

I znów Krysia się zawałała. Czy można powtórzyć to, co o wsi Szczęśliwej mówią naokoło? Czy to nie będzie brzydka?

A przy tym dziewczynkę pochłaniało w tej chwili coś innego. Weszła już do izby i bystrymi oczami rozglądała się ciekawie szukając dziecka, które widziała przez szybę, lecz nigdzie go jakoś dostrzec nie mogła.

Gdzie się mogło podziać?

— A czyjaś ty? — zapytała znów nauczycielka.

— Niczyja! Znajda jestem.

Panna Józefina spojrzała z zainteresowaniem na swojego gościa. I ona poczuła sympatię do tego dziecka, nie wiadomo, czy dlatego iż wielkie oczy patrzyły na nią dziwnie rozumnie, czy też że była to pierwsza i jedyna istota, która odezwała się do niej życzliwie.

Krysia rozglądała się tymczasem po izbie przeznaczanej na mieszkanie dla nauczycielki z rosnącym niepokojem.

— To oni nic nie przynieśli dla pani nauczycielki? Ani łóżka, ani stołu, ani — nic?!

32

\_\_Jak widzisz! — nie tracąc humoru odparła panna Józefina.

\_\_I właśnie wybierałam się na wieś, by się wystarać o coś...

— O, nie! Nie trzeba! Teraz ciemno i kto nie zna naszej drogi, ten przez nianie przejdzie! — z lękiem w głosie zawołała Krysia, a potem, po chwilowym namyśle, dodała:

— Najlepiej będzie, jak pójdę po Agnieszkę.

— A któż to jest Agnieszka?

— To ta kobieta, która mnie znalazła, a potem się mną zaopiekowała. Ona jest dobra i mądra!

1 nie czekając na odpowiedź, Krysia wybiegła z izby. Jak wicher, nie zważając na błoto, przebiegła drogą i zadyszana wpadła do chaty, wołając od progu:

— Agnieszko! Chodźcie prędzej do pani nauczycielki!

— A niby co? — odparła stara, przygarbiona kobiecina, podnosząc głowę z nad roboty.

— Trzeba, żebyście pomogli... Tam w tej izbie nic nie ma... żadnego sprzętu... I brudno jest, podłoga nieumyta, okna oblepione...

— No, no, no! — kiwała głową Agnieszka, zdejmując z nosa duże okulary. — Toć przecie gospodynie umawiały się, co która ma dać...

— I nie dały! No, chodźcie prędzej. Trzeba jakoś zaradzić. Dziewczynka podawała kobiecie chustkę, ciągnąc ją za sobą.

— Czekaj! A jak będzie z kolacją? Trza kartofle obrać...

— O... zrobi się! Zawinę się potem — raz, dwa — i będzie gotowe. A wy chodźcie prędzej!

Agnieszka, rada nierada, podreptała za Krysią, która opowiadała jej po drodze o wszystkim, co widziała, tylko o dziecku nic nie wspomniała.

Nasza zaś znajoma, panna Józefina, mimo że nadrabiała miną i starała się nie tracić ducha, wpadała w coraz to większe przygnębienie i chwilami ledwie opanowywała chęć ucieczki.

Jadąc na swoje pierwsze miejsce pracy, gdzie nie było jeszcze nowego gmachu szkolnego, w którym można było znaleźć wszelkie

## 2 Wieś Szczęśliwa

33

urządzenia kulturalne, była przygotowana na różne niemiłe niespodzianki. Lecz to, co zastała we wsi Szczęśliwej, przekraczało jej smutne przewidywania!

Toteż znalazłszy się w pustej izdebce, przeznaczonej na jej mieszkanie, i zapaliwszy świecę, którą przezornie włożyła jej do walizki pani Górską, nie miała odwagi rozpakować rzeczy, nie chciało jej się ruszyć. Wówczas to ogarnęła ją chęć znalezienia się koło czegoś bliskiego, czegoś, co by nie było tak strasznie obce i przypomniała sobie o — Niteczce!

Traf chciał, iż właśnie w tej samej chwili, gdy brała na ręce lalkę, zjawiała się istota ludzka, która się nią zainteresowała.

— Czyżbyś to ty, moja kochana Niteczko, sprowadziła do mnie to miłe dziecko o rozumnych oczach i dobrej, słodkiej buzi?

— mówiła, chowając lalkę do kufra i biorąc się do rozpakowywania rzeczy.

— Jakoś to będzie! Zawsze pierwsze chwile są najgorsze. A może zresztą tylko mi się zdaje? Znadto mnie widać rozpieścili moi dobrzy przyjaciele z miasta.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków...

— O mój Jezusiczku! Toć Krysia prawdę mówiła... Baby nic tu nie przyniosły. Jakże to paniusia może mieszkać w takiej pustce... Ani się na czym przespać, ani coś zagotować... Pożal się, Boże!

— mówiła Agnieszka, załamując ze zgrozą ręce.

— Trudno, moja dobra kobieto! Jakoś trzeba będzie zaradzić! Na dźwięk głosu nauczycielki Agnieszka podniosła oczy

i spojrzawszy uważnie w twarz młodej dziewczyny, aż przysiadła z wrażenia.

— O mój Jezusiczku! Toć paniusia, za przeproszeniem, dzie-ciuch jeszcze prawie! Jakże to? Tak sama w świat? Na ciężką pracę? — dziwiła się.

Panna Józefina, która już odzyskała swój pogodny humor, zaśmiała się wesoło.

34

\_\_Nie jestem znów taka strasznie młoda, żeby pracować nie

mogła. A sama ze wsi jestem, w pracy wychowana... No, ale teraz pomoc mi musicie. Chciałabym coś zjeść... na czymś się przespać... umyć się...

— Zaraz...zaraz! Wszystko się zrobi! Niech się panieneczka nie turbuje\*. Toć ludzie, choćby najgorsi, serca jeszcze w piersiach mają i nie będą chcieli krzywdy takiego...

Chciała powiedzieć: dziecka, ale się powstrzymała. Przecież to nauczycielka, chociaż taka młodziutka, ale zawsze nie byle kto — osoba ważna.

Jakim sposobem się stało, że po godzinie pokój nauczycielki zaopatrzony był jako tako i nabrał schludniejszego wyglądu, to już było tajemnicą Agnieszki. Dość, że panna Józefina miała się na czym przespać i jako tako zaspokoić głód.

Poza tym po poważnych naradach, w których brała udział i Krysia, postanowiono, iż nazajutrz, jako że to był dzień jarmarczny, pani nauczycielka pojedzie do miasteczka i zakupi niezbędne do prowadzenia gospodarstwa przedmioty.

— Skocz no, Krysiu, do Sycha. Wiem, że jedzie jutro do miasta. Powiedz, że pani chce z nim jechać! — rozporządzała.

— Powiedz, że zapłacę... — pośpieszyła zapewnić nauczycielka, ale Agnieszka przerwała gniewnie:

— Ale, właśnie! Zaraz płacić! Za co? Za to, że nie zrobili tego, co się należało?! Ani mi się waż o tym mówić!

— O... wiem sama! — rezolutnie zauważyła Krysia. — Bo to, proszę pani, ludzie wiejskie to zupełnie co innego... Trzeba z nimi umieć mówić!

— Ty, naturalnie, umiesz, moja ty doświadczona osóbk! — zaśmiała się nauczycielka.

— O... trzeba sobie radzić, szczególnie gdy się jest takąniczy-jąbiedotą— odparła Krysia, a w oczach jej przez maleńką chwilkę zagościł smutek.

\* turbować się - martwić się, niepokoić się.

35

—To bardzo mądre dziecko! — zauważyła Agnieszka, gdy Krysia jak wicher wypadła z izdebki. — Czasami aż mnie dziw bierze, skąd się tyle rozumu w tej małej głowinie bierze! Boć przecie, choć nie wiadomo skąd ona, ale wychowana na wsi, razem z innymi, a całkiem inna...

Nauczycielka miała wielką ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o dziecku, które od pierwszej zaraz chwili bardzo ją zainteresowało, ale nie było czasu w tej chwili na to, tyle trzeba było zrobić, by jako tako się urządzić. Zresztą Krysia niedługo bawiła i za chwilę była z powrotem, wołając już od proggu:

—- Pojadą wezmą panią nauczycielkę! Ale — dodała z lekkim wahaniem — i ja też pojedę. Bo to, proszę pani, oni by tam panią oszukali!

Nauczycielka roześmiała się szczerze.

— Więc będziesz się mną opiekowała?! Ale widzę, iż nie masz wielkiego zaufania do ludzi z miasta.

Krysia zaczerwieniła się i zmieszała bardzo, tym bardziej, że Agnieszka dała jej lekkiego kuksańca w bok, mówiąc półgłosem:

—Głupia dziewucho! Toć przecie pani nauczycielka... a ty chciałabyś być od niej mądrzejsza!

Lecz panna Józefina, widząc zmieszanie dziewczynki, do której czuła coraz to większa sympatię, zawołała wesoło:

— Ależ Krysia ma słuszość! Nie dałabym sobie rady w miasteczku, którego zupełnie nie znam. Sama nawet chciałam zaproponować, żeby pojechała ze mną!

Dziewczynka była uszczęśliwiona. Nauczycielka, której broniła tak zawzięcie, nie znając jej i nie widząc, podbiła od razu jej serduszko spragnione kochania. Od chwili, gdy ją zobaczyła, przylgnęła do niej całą duszą i postanowiła sobie uroczyście:

— Nie dam jej skrzywdzić! Będę jej pilnować tak, jak Dug mnie pilnuje!

—- Ale panienka musi wcześniej wstać! — zakłopotana się Agnieszka. — O której wyjadą?

36

\_\_O, wcześniej, bo to kawał drogi, a teraz wszędzie błoto... Ale to

njci —mówiła pośpiesznie Krysia. — Ranki sąchłodne, ale śliczne! O piątej już prawie jasno! Słońce się wznosi hen, zza wzgórków, za łąkami. A na łąkach mgły, że wygląda jak wielka, wielka woda! Potem mgły

się podnoszą... czasem, przez chwilę, jakby w powietrzu wisiały... zobaczy pani nauczycielka... To bardzo ładne!

Panna Józefina patrzyła ze zdumieniem na dziewczynkę, w której oczach błyszczał szczery zachwyt: ależ to dziecko umie patrzeć, ma poczucie piękna i umie to wyrazić!

— Chodź teraz, Krychna! Niech pani nauczycielka wypocznie. Raniutko przybiegniesz i zbudzisz ją! — mówiła Agnieszka, pociągając za sobą dziewczynkę, która wychodziła niechętnie z izdebki nauczycielki, rada bowiem byłaby nie rozstawać się z nią ani na chwilę.

Skoro świt zerwała się Krysia ze swego posłania. Całą noc spała niespokojnie. Bała się zasnąć, a przy tym nie mogła się pozbyć jakiegoś dziwnego niepokoju. Dziś zostawi na straży Duga. Pies jest silny i nieustraszony, tylko że zły człowiek jest zawsze silniejszy. Petrek odgrażał się głośno, że zabije Duga przy pierwszej sposobności. Dug nie da się otruć, bo nie przyjmuje jedzenia podanego mu przez obcą osobę, ale podobno Petrek do spółki z Władkiem targują w przyległej wsi, w Czajkowie — dubeltówkę! Ale teraz nie czas było myśleć o tym! Krysia ubrała się pośpiesznie, pobiegła do Sychów, by się przekonać, czy już szykują wóz, wreszcie skierowała się do mieszkania nauczycielki. Dug biegł przy niej podskakując, gdy Krysia wesoła jak ptaszę kołatała do drzwi nauczycielki.

— Już czas! Sych nie chce tu podjechać. Mówi, iż mu nie po drodze i że tu straszne wyboje! — wyjaśniała nauczycielce już ubranej i spoglądającej z przerażeniem na błotnistą drogę, którą miała przebyć. Wczoraj, przy zapadającym mroku, nie mogła jej się przyjrzeć tak dobrze jak teraz.

— To cały czas po takiej drodze będziemy jechali?!

— E... nie!... Tu we wsi zawsze lepiej się jedzie... Wyboje

37

i dziury, to prawda, ale trochę twardziej... W polu za to wszystko strasznie rozmiękłe... — tłumaczyła dziewczynka.

W tej chwili wzrok nauczycielki padł na stojącego obok Duga.

— Cóż to za śliczny pies! — zawołała nauczycielka. — Skąd on się tu wziął?

— To Dug, mój Dug! On jest nie tylko ładny, ale i bardzo mądry!

— z dumą objaśniała Krysia, a zwracając się do psa, wydawała rozporządzenie:

— Dug zostanie tu i będzie pilnował. Słyszałeś?

Pies zaskomlił jakby w odpowiedzi, że zrozumiał, i wyciągnął się na progu.

— Ależ on jest rzeczywiście nadzwyczajny! Ale dlaczego każesz mu pilnować mojego mieszkania?

— Ach! Tak sobie... Lepiej, żeby tu był, gdy my wyjeżdżamy...

— czerwieniąc się odpowiedziała Krysia.

Nie mogła powiedzieć prawdy z różnych powodów; przede wszystkim nie chciała niepokoić nauczycielki, a następnie przykro by jej było oskarżać chłopców.

Na szczęście uwaga nauczycielki została zwrócona w innym kierunku: oto jedna noga zagłębiła się w grząskim błocie i trzeba było na gwałt wyszukiwać jakiegoś możliwego przejścia.

— Niech pani nauczycielka idzie za mną! — zaproponowała Krysia. — Ja znam tę drogę i umiem wybierać lepsze przejście.

Rzeczywiście, dziewczynka z nadzwyczajną zręcznością przeskakiwała z jednego miejsca na drugie, trafiając zawsze na jakąś możliwą do przejścia drogę do zagrody Sychów, która była niedaleko.

Przed chatą porządniejszą i staranniej utrzymaną od innych stał wóz zaprzężony w dwa tegie konie. Starszy człowiek o pobruźdzonej, spalonej słońcem twarzy krzątał się koło nich, wymyślając im pieszczotliwie. Sych bowiem bardzo lubił konie, nie robił im nigdy krzywdy, ale nie szczędził im wymysłów i różnych niezbyt pochlebnych przezwisk.

Na wóz sadowiła się właśnie dostatnio ubrana kobieta, również

38

dość gwałtownie wykrzykując i dając rozporządzenia przeplatane często gęsto przekleństwami.

Nauczycielka zatrzymała się przestraszona.

— Cóż to? Gdzie miejsce dla pani nauczycielki? — zapytała Krysia głośno, widząc, iż snopek słomy, przykryty kilimem" własnej roboty, został zajęty przez gospodynię i jej córkę, Jadźkę.

— A dyc jest miejsce na tyle wozu! — odparła Sychowa, wskazując za siebie.

— Ale! Na deskach przecie nie siądzie! — wpadając w ton, jakim mówili ludzie we wsi Szczęśliwej, wołała Krysia.

— Patrzcie no, jaka mądra! I jak to się rozporządza! — wtrąciła się Jadźka, siedząca obok matki, ale Sychowa oburknęła ją:

— Cicho bądź! Juści na deskach nikt nie siądzie! A czemuś to, stary, nie naładował drugiego siedzenia?

Sych, mrużąc coś pod nosem, poszedł na podwórze i wrócił niebawem, niosąc mocno związany snopek słomy, który wrzucił na tył wozu.

— Niechże pani nauczycielka siada, bo już czas jechać! — zapraszała Sychowa, siląc się na ton bardziej uprzejmy.

Nauczycielka z pomocą Krysi wdrapała się jakoś na wóz, lecz dziewczynka była niezadowolona i pomrukiwała bezustannie.

— Taki gospodarz porządny, a takie dziadowskie siedzenie! Nawet kilimkiem nieprzykryte!

— Daj pokój, Krysiu! Jakoś dojedziemy! — uspokajała dziewczynkę młodzianka nauczycielka, chociaż nie czuła się zbyt dobrze w tym prymitywnym pojeździe.

— Jestem przecież ze wsi, wychowana w takich samych warunkach — starała się tłumaczyć w myśli. — Powinnam się dostosować do tego życia.

Łatwo to powiedzieć: dostosować się! Ale gdy ruszywszy w drogę, wóz rozpoczął swój nadzwyczajny taniec w błocie, panna

\* kilim - barwny, wzorzysty, wełniany dywan na ścianę lub podłogę.

39

Józefina co chwila kurczowo chwytła się za deski wozu lub za rękę Krysi. Błoto chlapało spod kopyt końskich, bryzgało wysoko spod kół; chwilami wlewało się do wozu przez szpary, błotniste krople padały na ubrania, na twarz nawet...

— Nie! Czegoś podobnego nie spodziewałam się nigdy w odległości kilku godzin jazdy od Warszawy! — myślała panna Józefina, z trwogą zastanawiając się, czym się skończy ta straszna podróż.

Krysią za to czuła się zupełnie dobrze i starała się zabawiać nauczycielkę, objaśniając wszystko, co się znajdowało po obydwóch stronach błotnistej drogi.

— O, tam na prawo są łąki — chociaż to wygląda jak woda. Ale to mgła... Jak słońce będzie wyżej, to zniknie. Te łąki to były dawniej stawy. Są na nich nawet groble. Mówią że gdyby były pieniądze, to można by znów założyć tu stawy i zarabiać duże pieniądze za ryby. Te kępki drzew to resztki wyciętego lasu. Bo tu podobno było dużo, dużo lasów... Całe wzgórki były pokryte drzewami. Ale ludzie wycięli nawet zagajniki...

— O, o! Niech się teraz pani nauczycielka trzyma! — przerwała swoje opowiadanie Krysią. — Zaraz będzie duży dół. Czasami to wóz ugrzęźnie i ani masz go wyciągnąć. Raz to musieli sprowadzać kilka koni ze wsi, bo koń i wóz całkiem się tu zatopiły. Ale potem to już niedaleko do szosy. O, tam pojedziemy.

Rzeczywiście, wóz wjechał wkrótce na szosę, niezbyt co prawda dobrze utrzymaną lecz w każdym razie było to już zupełnie co innego. Trzęsło, bo trzęsło, ale przynajmniej nie tonęło się w błocie!

Panna Józefina nieco odetchnęła i zaczęła swobodniej rozmawiać z Krysią, która starała się uprzyjemnić jej drogę.

— Prawda? Teraz to się jedzie aż miło! Sych ma najlepsze konie w całej wsi. I najlepiej gospodaruje. Nikt tak nie ma obsianego pola jak on. A znów Sychowa ma czysto w chałupie...

— To gdzie indziej nie jest czysto? — zapytała ciekawie panna Józefina.

Krysią zaczerwieniła się i z zakłopotaniem mięła rożek wybla-

kłego fartuszka. Wiedziała doskonale, iż gospodynie ze wsi Szczęśliwej nie utrzymywały swych mieszkań w czystości, ale czy można było mówić o tym pani nauczycielce? Może to będą plotki? Obmowa?

— Widzę z twojej zakłopotanej minki, że z tą czystością różnie bywa — zauważyła z uśmiechem nauczycielka.

— E, nie wszędzie! Agnieszka, choć bardzo biedna, tak ma czysto w izbie, że aż świeci.

— Pewnie jej pomagasz? Krysia zaczerwieniła się znowu.

— Nie! — przyznała się. — Agnieszka nie pozwala. Mówi, że to dla mnie za ciężka praca.

— Więc cóż ty robisz po całych dniach?

— Opowiadam dzieciom bajki.

— Bajki? A ktoś cię ich nauczył?

— Kto by miał uczyć? Toć przecie znajda jestem... Ot, same do głowy przychodzą...

Nauczycielka z rosnącym zajęciem przyglądała się Krysi! Co to za dziecko? Skąd się tu wzięło?

W tej chwili wóz zaczął gwałtownie podskakiwać po fatalnym bruku\*, który wskazywał, że już się zaczyna miasteczko.

— Duszę może wytrząść! — skarżyła się Krysia i zaraz krzyknęła przeraźliwie.

Takiż sam krzyk wyrwał się z piersi nauczycielki, bo oto wóz podskoczył tak gwałtownie, wpadając do głębokiej jamy, iż nie-umocowany snopek zsunął się z wozu, a z nim i obie pasażerki. Nie zrobiły sobie krzywdy, ale obie wraz ze snopkiem wpadły w ową błotnista jamę, z której trudno się było wydobyć.

Sych, jadący szybko, wśród ogólnego turkotu śpieszących na jaraiark wozów nie usłyszał okrzyku i nie spostrzegłszy ubytku swoich pasażerek, pojechał dalej.

' brak - nawierzchnia drogi ułożona z kamienia polnego lub kamienia.

Na drodze rozległ się wesoły gwar.

— Baba z wozu, koniom lżej! — wołał ktoś śmiejąc się.

— A cóż to za towar spadł z wozu?! — podkpiwał ktoś inny.

— Olaboga! Dobrze, że nie jajka, boby się na nic potłukły! Właśnie w tej chwili nadjechała bryczka, zaprzężona w parę



ładnie dobranych kasztanów. Jadący na niej młody człowiek, spostrzegłszy na środku drogi siedzące na snopku słomy dziewczęta, począł się serdecznie śmiać, co do ostatniej złości doprowadziło Krysię, niemogącą się wygramolić z błotnistej dziury.

Że się prości ludzie śmiali, to nie dziwota. Ale żeby pan instruktor ze szkoły rolniczej wyśmiewał się — i to z kogo? Z pani nauczycielki!

Więc ze zwykłą sobie energią zawołała:

— Ma też pan z czego się śmiać! Lepiej by pan pomógł pani nauczycielce!

— Masz słuszność, mała! — rzekł wesoło młody człowiek. — Ale gdzie jest pani nauczycielka?

Stanowczo, pan instruktor był — gapa! Tak zawyrokowała w duszy Krysią, obrzuciwszy pogardliwym spojrzeniem młodego człowieka, po czym nie tając swego oburzenia, zawołała:

— To pan nie widzi? Przecież tu, w błocie, na snopku!

— Co za fatalna przygoda! — myślała tymczasem panna Józefina, usiłując, zresztą zupełnie bezowocnie, wydobyć się z błotnej pułapki.

— Wyobrażam sobie, jaka jestem w tej chwili śmieszna! To mi stanowczo nie doda powagi w mojej wsi!

Ale że była bardzo wesoła i bardzo energiczna, więc zamiast martwić się, wołała roześmiać się wesoło, gdy wydobyta z pomocą pana instruktora z błota zobaczyła, jak wygląda.

— Ależ niepodobna pokazać się tak ludziom! — zawołała, otrząsając z błota spódniczkę i spoglądając z przerażeniem na swe pantofle.

— O... proszę pani nauczycielki! Tu ludzie do błota przyzwyczajeni! — filozoficznie wtrąciła się Krysią.

42

— Ta mała jest nadzwyczajna! — zaśmiał się pan praktykant

i przyglądając się Krysi uważnie, zapytał:

— Czyjaś ty?

Krysią zawahała się, pani nauczycielce bez namysłu odpowiedziała: „Znajda jestem”, ale temu obcemu panu, tak jej się przyglądającemu, nie chciała tego powiedzieć, sama nie wiedziała dlaczego. Więc odwracając głowę, odparła niechętnie:

— Starej Agnieszki!

— Ach, tak! — z pewnym rozczarowaniem w głosie rzekł młody człowiek, a zwracając się do panny Józefiny, przedstawił się:

— Pani pozwoli: jestem Stefan Grabowski... Nauczycielka bąknęła niewyraźnie swoje nazwisko, a podziękowawszy za pomoc, wzięła Krysię za rękę i pociągnęła ją za sobą:

— Idziemy, Krysiu!

Ale dziewczynka oparła się stanowczo:

— Ale! Nie sposób pójść! To jeszcze kawał drogi! A pod miastem błoto takie rozrobione, bo dużo ludzi już przeszło, że pani nauczycielka pantofelki pogubi!

— Zupełnie słuszna uwaga! — wesóło zawołał pan Stefan, który zdawał się szczerze bawić paplaniną Krysi. — Ja panią podwiozę.

— O!.. — wydarł się okrzyk radości z piersi dziewczynki.

Jechać prawdziwymi końmi, prawdziwą bryczką—toż to szczęście, o jakim marzyć nawet nie śmiała! Ale pani nauczycielka najwidoczniej się wahała; czyżby miała zamiar odmówić?

— Paniusiu złota! —jęknęła, a głos jej brzmiał tak błagalnie, iż panna Józefina zmiękła natychmiast.

— Proszę! Niech pani siada! No i ty, naturalnie... Ale nie wiem, jak się nazywasz?

— Krysia, proszę pana! — krzyknęła prawie dziewczynka, wskakując na bryczkę i sadowiąc się koło furmana.

— To są konie! To jest jazda! — zachwycała się głośno, gdy konie ruszyły, opryskując przechodniów błotem.

Pan Stefan tymczasem dowiadywał się od panny Józefiny, od jak

43

dawna jest na wsi i w jakiej mianowicie wiosce ma szkołę, a usłyszawszy, że to właśnie wieś Szczęśliwa jest jej siedzibą, pokiwał ze współczuciem głową.

— Trudno pani tam będzie... Wieś Szczęśliwa uważana jest za najgorszą w całej okolicy... Ludzie... hm... jakby tu powiedzieć...

— O, ja sama pochodzę ze wsi i znam tych ludzi! — zaśmiała się panna Józefina. — I jeżeli się do nich umie trafić...

— Ba... ba! To nie tak łatwo! — rzekł pan Stefan.

— Spotykają się tam typy nadzwyczajne. Weźmy chociażby Krysię...

— Tak! Ta dziewczynka jest zdumiewająca... Rozgarnięta, śmiała... Wprost nie chce mi się wierzyć, by pochodziła z tej osławionej wsi... — mówił pan Stefan.

W tej chwili rozmowa urwała się, gdyż bryczka wjechała na brukowaną ulicę i zaczęła gwałtownie turkotać, podskakując po nierównym, źle utrzymanym bruku.

— Na bok! Na bok! — wołała tymczasem Krysia, wymachując batem, który wzięła z rąk furmana, nie pytając go o pozwolenie. Miała wielką ochotę chwycić i lejce, ale trochę się bała...

Była nieskończenie szczęśliwa. Błękitne oczęta świeciły jak gwiazdeczki, buzia zarumieniła się, a rozwiane, złociste włosy tworzyły jakby aureolę koło małej główki.

— Cóż to za miłe dziecko! — pomyślał pan Stefan, gdy Krysia odwróciła się na chwilę do panny Józefiny, mówiąc radośnie:

— O... Już ludzie widzieli, z jaką paradą jedziemy! To dobrze! Niech wiedzą, że pani nauczycielka to nie byle kto!

— Gdzie mam stanąć? — zapytał woźnica. Pan Stefan spojrzał pytająco na swoją towarzyszkę, ta zaś zwróciła się do Krysi.

— Czy wiesz, gdzie mamy robić zakupy?

— Naturalnie! Agnieszka mówiła, że najlepiej w Spółdzielni... — rezolutnie objaśniała dziewczynka.

Pan Stefan nie spuszczał oczu z zarumienionej, ożywionej twarzyczki. To dziecko pociągało go ku sobie jakimś nieopisanym

44

urokiem i budziło dziwne zainteresowanie. Zaciekawiał go zarówno spryt i pewność siebie dziewczynki jak i jej wygląd. Mimo bowiem połatanej, wyblakłej sukienki, noszonej prawdopodobnie parę lat, i bosych nóżek, Krysia wyglądała nadzwyczaj schludnie i zręcznie.

— Dziękuję panu bardzo! — rzekła nauczycielka, przerywając myśli pana Stefana. — Teraz już damy sobie radę.

— Miło mi było pomóc pani... A jeżeli pani pozwoli, przyjadę kiedy dowiedzieć się, jak się pani powodzi!

— Doskonale! — klasnęła w dłonie Krysia. — Zobaczę znowu te śliczne kasztany!

— I przewiozę cię bryczką! — z uśmiechem obiecał pan Stefan.

— Ach! Naprawdę? Tylko niech pan instruktor nie zapomni — zawołała rozpromieniona dziewczynka.

Przez czas jakiś patrzył pan Stefan za odchodzącymi. Zwinna jak sarenka Krysia prześlizgiwała się między tłumem, torując drogę trochę oszołomionej ruchem jarmarcznym nauczycielce.

W słońcu połyskiwały chwilami wymykające się spod czerwonej chusteczki złote włosy dziewczynki.

— Dziwne dziecko... dziwne dziecko! — myślał pan Stefan i mimo woli jakieś wspomnienia napływały mu do głowy.

— Głupstwo! — szepnął do siebie, siadając na bryczkę i wydając rozkaz: — Olek! Jedziemy na koński targ!

Panna Józefina przekonywała się ze zdziwieniem, iż lata spędzone w mieście zupełnie ją odzwyczyły od życia wiejskiego.

Czuła, że gdyby nie Krysia, nie dałaby sobie rady w tym gwarze i tłoku niby miejskim, bo przecież była w miasteczku, a tak zupełnie innym od ruchu warszawskiego.

Na szczęście Krysia była wprost nieoceniona. Z minką doświadczonej osóбки targowała się, wybierała, radziła...

Wreszcie wszystko było załatwione i trzeba było myśleć o powrocie, bo dzień był już krótki, a wracać po takiej drodze w ciemnościach nie było bezpiecznie.

45

Najwięcej jednak krzątała się, by przyspieszyć wyjazd, Krysia. Od pewnej chwili ogarnął ją dziwny niepokój i chciałyby jak najrychlej być w domu. Nie umiałyby wytłumaczyć, czego się obawiała i dlaczego takiej spieszno, ale przez całą powrotną drogę była milcząca, nieswoja i coraz zagadywała Sycha:

— Panie Walenty! Pana konie potrafią prędko jechać! Ho! ho! Prawda, że my prędej przyjedziemy niż inni?

Sych był bardzo ambitny na punkcie swoich koni. O ich rączo-ści opowiadał często nadzwyczajne rzeczy, więc gdy dziewczynka, która siedziała z nim na przednim siedzeniu, zaczęła opowiadać, jak to niektórzy ludzie ganiają konie, starał się jechać „po kawa-lersku”.

Niech wiedzą jak to pan Walenty umie jeździć!

Panna Józefina tym razem siedziała razem z Sychową, która zręcznie wypytywała młodą nauczycielkę o różne szczegóły.

Jeszcze za dnia zajechali do wsi Szczęśliwej, ale już, już tylko patrzeć, jak zmierzch zapadnie.

Krysia, zeskoczywszy z wozu, pobiegła pędem w stronę szkoły. Coś ją tam gnało, coś — niepokojącego.

— Dug! Dug! — wołała nadbiegając.

Odpowiedziało jej żalosne skomlenie, lecz wiemy pies nie nadbiegł na jej spotkanie.

— Dug! Dug!

Głos Krysi wyrażał najwyższą trwogę... Zobaczyła na progu domku leżącego psa... Skomlał, poruszał ogonem, wyciągał łeb, lecz nie mógł się ruszyć z miejsca.

— Dug! O, Panienko Najświętsza! Dug! Co ci się stało? Krysia dopadła psa, obok którego widać było kałużę krwi!

— Jezus! Mario! Zabili go! Dug! Piesku mój najdroższy! — wołała z rozpaczą Krysia.

Pies liznął parę razy nachylen nad nim buzię, po czym łeb opadł mu bezsilnie.

W tej chwili nadeszła panna Józefina.

46

— Co się stało? — zapytała przerażona, lecz natychmiast zorientowała się w sytuacji i rzuciła się, by obejrzeć, w jaki sposób pies został poraniony.

Okazało się, iż miał przestrzeloną na wylot łapę, a oprócz tego druga kula tkwiła mu w łopatce.

Krysia szlochała głośno, wołając z rozpaczliwą skargą w głosie:

— Dug! Mój piesek ukochany! Mój przyjaciel! Mój opiekun! Dug! Dug!

— Uspokój się, Krysiu! Rany, zdaje się, nie są ciężkie! Pies jest silny, zdrowy. Może się da go uratować! Pomóż mi przenieść go do izby.

— O! Niech go pani uratuje! Moja złociusia! Przecież tylko jego jednego mam na świecie! — skarżyła się żałośnie dziewczynka.

— Dobrze! Dobrze! Ale nie traćmy czasu. Otwórz drzwi, a ja wezmę psa.

Lecz Dug był bardzo ciężki i z wielkim trudem udało im się wnieść go do izby.

Na szczęście nadeszła Agnieszka, która przyniosła zakupy jarmarczne. Z jej pomocą panna Józefina rozpoczęła zabiegi chirurgiczne koło Duga, Krysia bowiem, zwykle tak energiczna i zaradna, tym razem była do niczego. Cała drżąca, ze zbielełą twarzą i oczami zalanyymi łzami, siedziała przy psie, wciąż powtarzając żałośnie:

— Dug! Dug!

Panna Józefina wyjęła swoją apteczkę, w której ją wyjezdny zaopatrzyła Marysieńka, i zaczęła robić opatrunek.

Trzeba było przede wszystkim wyjąć kulę tkwiącą na szczęście, niezbyt głęboko, w łopatce, a gdy to się udało, założyć opatrunek.

— O ... Paniusia ma zręczne paluszki! — chwaliła Agnieszka. — Jak się ludzie o tym zwiędzą będą do paniusi przychodzili po ratunek...

— No, ludziom to już lepiej poradzi doktor — zaśmiała się młoda nauczycielka.

— Doctor? A gdzie by komu do głowy przyszło do doctora? Przecie to trzeba do miasta — i drogo...

— Więc jakżeż tu ludzie się leczą? — ze zdumieniem zapytała panna Józefina.

— A tak, zwyczajnie... Co kto poradzi... Zresztą, jak komu sądzone wyzdrowieć, to wyzdrowieje, a co słabszy to nie przetrzyma!...

— Dug! Dug! Och! Czy on będzie żył? — pytała trwożliwie Krysia, gdy pies, zniósłszy z cierpliwością wszystkie zabiegi, polizał jej ręce i znów bezsilnie opadł na swoje postanie.

— Prawdopodobnie nic mu nie będzie... — uspokajała panna Józefina, ale w gruncie rzeczy nie była tego pewna.

Wprawdzie przeszła kurs pierwszej pomocy w nagłych wypadkach, przeczuwając, że jej się to przyda na wsi, ale pierwszy raz miała do czynienia z psim pacjentem.

— A cóż to za zbrodzień tak skrzywdził biedne stworzenie! — oburzała się Agnieszka. — Nic, jeno ten Petrek!...

— Nie trzeba tak mówić! — obruszyła się Krysia. — Nie wiadomo! Można niewinnego oskarżyć.

— O... Ty byś każdego broniła... A to przecie huncwot\*, jakich mało! Jeszcze inne dzieci buntuje! Co dla niego ubić psa?! Jakby chleba kawałek zjeść!

Mylła się jednak stara Agnieszka! Rzeczywiście Petrek, wyhan-dlowawszy jakąś starą dubeltówkę, strzelił z niej do Duga. Lecz natychmiast po strzale poczuł takie dziwne jakieś uczucie, iż jak oszalały rzucił się w stronę zagajników i biegał po nich parę godzin, nie mogąc sobie dać rady.

Wreszcie wrócił do wsi i ukrywszy się w krzakach, naprzeciwko domku, w którym mieściła się szkoła, widział, jak nadbiegła Krysia, widział jej rozpacz... i sercem jego zatargał straszny ból.

Jak mógł zrobić coś podobnego? Toć przecie sierota była i tylko tego jednego psa miała na świecie!

" huncwot - łobuz, nicpoń.

— A to czemu w drogę mi zawsze laża?! I czemu to wstrętne psisko zawsze na mnie nastawało? — próbował zagłuszyć głos, który w nim krzyczał, budząc żal i ból.

— A tyżeś jakim był dla dziecka i psa? Toż wierne, mądre zwierzę tylko w obronie dziewczynki stawało!

— znów w nim coś wołało.

Ścisnął Petrek w dłoniach upragnioną dubeltówkę, za którą zapłacił wszystkie swoje oszczędności, zdobyte z takim trudem, i wydała mu się nagle dziwnie ciężka i niemiła.

— Przez nią to zrobiłem! — próbował znowu bronić się, ale zaraz szydrczy głos zawołał:

— Właśnie! Ona sama wystrzeliła! Ona celowała! Niby dubeltówka wolę swoją ma!

Petrek nie mógł już dłużej wytrzymać! Rzucił się dróżką wiodącą do lasu i za chwilę zaszył się w gęstwinie, a gdy po jakimś czasie wyszedł stamtąd, był już bez dubeltówki.

A we wsi Szczęśliwej wrzało! Lotem ptaka rozniosła się wieść o poranieniu Duga. Ludzie schodzili się gromadkami i najrozma-ciej komentowali ten wypadek.

— Ano! Należało mu się to od dawna! Psisko złe, dostępu do siebie nie dawało i nikomu nic z niego! — dogadywali jedni.

— I szkodne! Że to zawsze głodne, więc gdzie tylko było można, ściągało, co się da! — dodawali inni.

Ale byli i tacy, którzy stawali w obronie Duga.

— Pies mądry był jak człowiek, nie przymierzając. I dziecka pilnował jak najlepsza matka!

— Szkoda go! Lepiej było sprzedać! Pieniądz ładny by się dostało, że to „rasowaty”.

Na jedno tylko zgadzali się wszyscy: mianowicie, że sprawcą postrzelenia Duga był Petrek!

Między zwolennikami Petrka panowało wielkie poruszenie.

— Ale zawzięty, bo zawzięty! — szeptali między sobą chłopcy z pewnym uznaniem. — Powiedział, że nie ścierpi, i nie ścierpiął.

— Ale jak ustrzelił? Przecie Dug chytry i czujny...

### 3 Wieś Szczęśliwa

49

Sposępniały w tej chwili twarze dzieci... Do Duga przyzwyczajone były, widziały go koło siebie od tylu lat; pies nikomu krzywdy nie robił, byle by Krysi nie zaczepiać...

Więc jakoś nieswojo im było, choć nikt nie śmiał krytykować Petrka.

Może gdyby Petrek był z nimi, gdyby we właściwy mu, przekonujący sposób przemówił do nich, byłoby inaczej, ale chłopak nie zjawiał się i nikt nic o nim nie wiedział.

— Co będzie ze szkołą? — krążyły niespokojne pytania, gdy wieczór zapadł. — Jak z tą nauczycielką? Stawać okoniem czy pogodzić się z losem?

Nikt nie przemawiał ani za jednym, ani za drugim. Petrka nie było, a Krysia, pełna niepokoju, siedziała na ziemi obok Duga, leżącego na miękkim szalu nauczycielki.

Pies nie skarżył się, nie skomlał, tylko smutnymi oczami wodził za krzątającą się po pokoju panną Józefiną lub lizał ręce obejmującej go Krysi. Był bardzo osłabiony, nie chciał nic jeść i widocznie cierpiał.

Przejęta troską o życie swego przyjaciela, Krysia zapomniała o wszystkim i gdy nazajutrz rano, po nocy spędzonej na ziemi obok Duga, otworzyła oczy, nie pomyślała nawet o tym, że to dziś pierwszy dzień, w którym dzieci miały przyjść do szkoły i że w tym momencie właśnie najłatwiej będzie przeciwnikom nauczycielki wystąpić z jakimś figlem.

Dug leżał bezsilnie, ledwie, ledwie unosił łeb i z trudem otwierał oczy, by wiernym, rozmiłowanym wzrokiem spojrzeć na swą małą panią.

Panna Józefina wstała bardzo wcześnie i pocieszając Krysię, robiła jednocześnie przygotowania do pierwszej lekcji. Była bardzo przejęta, wzruszona i zatrzwożona jednocześnie. Czuła, że od tej pierwszej lekcji dużo zależy i pragnęła, by była ona jak najmilsza. Tak bardzo pragnęła pozyskać sobie te młodziutki serduszka,

50

tak szczerze chciała pracować nad ich rozwojem, uczyć je dobra, prowadzić do piękna!

Wprawdzie z pewnych urywanych, niedopowiedzianych słów Krysi mogła wnioskować, że we wsi Szczęśliwej nie wszystko szło tak, jak by tego pragnęła, a ludzie byli raczej źli niż dobrzy; jednak ani przez chwilę nie przeszło jej przez myśl, iż i dzieci mogą być — niedobre. Szła więc ku nim z otwartym sercem, serdeczną życzliwością i nieskończoną dobrocią...

Weszła do izby przeznaczonej na szkołę. Była ona nieprzytulna, zimna jakaś, pusta; kilka ławek, stolik i krzesło — oto wszystko! Smutno tu było i ponuro.

— Zmienimy to z czasem! Trochę kwiatów, wycinanki na ścianach i już będzie inaczej — myślała młoda nauczycielka, trochę zaniepokojona tym, iż dzieci dotąd nie ma.

— Czyżby mój zegarek źle chodził?

Czekała chwil kilka: nikt nie nadchodził. Co to mogło znaczyć?

Wyszła przed chatę i wyjrzała na drogę: było zupełnie pusto.

Wróciła znów do izby, usiadła przy stoliku i czekała. Zrobiło jej się dziwnie smutno, a jakieś trwożne przecucia ścisnęły jej serce.

Pół godziny minęło, a izba szkolna wciąż była pusta.

Może dzieci nie wiedzą, że dziś miały się zacząć lekcje?

Nagle przyszła jej na myśl Krysia... Ona na pewno będzie umiała jej to wytłumaczyć. Tylko biedactwo takie zgnębione chorobą swego wiernego przyjaciela!



Gdy nauczycielka weszła, dziewczynka podniosła na nią zapłakane, zmęczone oczy.

— O, proszę pani, Dug jest bardzo chory! Pewnie nie będzie żył — skarżyła się, pochlipując z cicha.

— Uspokój się! Na razie jest bardzo osłabiony, gdyż stracił dużo krwi. Ale powoli sił mu przybędzie. Zresztą sprowadzimy weterynarza.

— Gdzie tam szukać weterynarza! Tu ludzie umierają bez żadnej

51

pomocy, a cóż dopiero psy! — mówiła Krysia. — Jeżeli sam się z tego nie wyliże, nie ma dla niego ratunku.

— Zobaczymy! Może się znajdzie! — pocieszała dziewczynkę panna Józefina. — Ale powiedz mi, Krysiu, czy dzieci wiedziały, że to dziś mają przyjść do szkoły?

— A wiedziały!

— Więc dlaczego nie przychodzą, nie wiesz? Krysia porwała się z ziemi.

— Panienko Najświętsza! Toć całkiem zapomniałam! — zawołała z widocznym przerażeniem.

— O czym?

— Ano o szkole! A wszystko przez to nieszczęście z Dugiem. No i Petrek przekabacił na swoją stronę wszystkich!

— Nic nie rozumiem! Mów jaśniej! — rzekła panna Józefina, marszcząc brwi.

Może w innych warunkach Krysia nie byłaby opowiedziała wszystkiego, gdyż czuła wstręt do wszelkiego skarżenia i plotek, lecz w tej chwili była tak rozżalona i tak przygnębiona, iż nie umiała ukryć prawdy. Więc w krótkich słowach opowiedziała nauczycielce o tym, co się działo w ostatnich dniach wśród dzieci szczęśliwieckich.

Panna Józefina zamyśliła się głęboko. Radosny nastrój znikł już zupełnie, ale młoda nauczycielka nie należała do istot łatwo się zniechęcających i opuszczających ręce. W tej chwili zastanawiała się nad tym, co robić, by opanować cichy opór dzieci, narzucony zapewne przez kilka bardziej niesfornych jednostek.

— Czy wszystkie dzieci nie chcą się uczyć? — zapytała Krysi.

— Nie, tylko te Petrkowe! Moje by przyszły.

— Któreż to są Petrkowe, a które twoje? — z uśmiechem zapytała panna Józefina.

— Petrkowe — to chłopaki i kilka starszych dziewczyn. Moje — wszystkie młodsze, te, co lubią słuchać bajek.

Panna Józefina zamyśliła się znowu, po czym rzekła:

52

— A czy mogłabyś, Krysiu, sprowadzić do szkoły „twoje” dzieci!

— Naturalnie! Wszystkie miały przyjść... Nie wiem, dlaczego ich nie ma. Chyba żeby chłopaki nie dały? Poszłabym się dowiedzieć, tylko...

Nie dokończyła, patrząc smutnym wzrokiem na chorego psa.

— O Duga możesz być spokojna! Zostanę przy nim — uspokoiła dziewczynkę nauczycielka.

Krysia żywo wyskoczyła z izby. Była mocno zaniepokojona tym, co się stało. Na pewno Petrek, korzystając z jej nieobecności, namówił dzieci, żeby nie szły do szkoły. I czego ten chłopak tak się uwziął na panią nauczycielkę?

— Ot, zawziął się i nic na to nie poradzi! Taki on już jest! — rozmyślała dziewczynka, biegnąc błotnistą drogą wiejską i rozglądając się pilnie dokoła.

Dzieci nigdzie ani śladu! Jakby wymiótł!

Oho! Znać tu robotę Petrka! Zwabił je wszystkie jakąś sztuczką i trzyma! Tylko gdzie?

Krysia namyślała się przez chwilę, po czym pobiegła w stronę na pół rozwalonej stodoły, w której zazwyczaj Petrek zbierał chłopaków na najbardziej tajemnicze obrady.

W miarę jak się zbliżała do stodoły, coraz wyraźniej dobiegał ją przytłumiony gwar, jakby brzęczenie pszczół w ulu.

Przyśpieszyła kroku, już teraz zupełnie pewna, że wykryła kryjówkę.

— Ale że te gąsienki dały się tu zaprowadzić! — dziwiła się w duchu, wiedząc, jak młodsze dzieci boją się Petrka i unikają zetknięcia z nim. — Oho! Kaźmirka stróżuje! O, z nią sprawa gorsza niż z Petrkiem, bo chytra jest i nigdy prawdy nie powie! — myślała Krysia, obrzucając bystrym wzrokiem „obozowisko” Petrka.

— Kaźmirka! A czemu to dzieci do szkoły nie puszczacie! — zawołała, zbliżając się śmiało do dziewczyny, która mierzyła ją gniewnym, niechętnym wzrokiem.

53

— Jakie dzieciaki? Kto ich nie puszcza? — gderliwie pytaniem na pytanie odpowiedziała Kaźmirka, starając się zagrozić sobą przejście.

Krysia wyminęła ją zręcznie, lecz naprzeciw niej wyszło kilku chłopców z groźnymi minami.

— Czego się tu płaczesz? Wynoś się, skądeś przyszła! — ofuknął ja Wojtek.

— Pójdę sobie zaraz, tylko moje dzieci zabiorę! — spokojnie odparła dziewczynka, śmiało patrząc w oczy chłopakom.

— Mówię ci — idź sobie! Nikt cię tu nie prosił i nikt cię nie chce!

— O... To jeszcze zobaczymy! Młodsze dzieci chciały do szkoły i czekają, bym je zabrała! Puśćcie mnie do nich! — stanowczo mówiła Krysia i postąpiła kilka kroków naprzód, lecz zatrzymała ją szarpnięciem za ramię Kaźmirka.

— Wara ci od dzieciaków! — krzyknęła zaciętrzewiona. — Skończyło się twoje panowanie, znajdo jakaś! Nie ma już twojego obrońcy i nikt cię teraz słuchać nie będzie!

— Bo i pewno! — potwierdzili chłopcy. — Pilnuj się lepiej, żebyś nie oberwała czego!

Miny były coraz groźniejsze. Kaźmirka zaczerwieniona, potargana doskakiwała do Krysi jak rozżłoszczony indyk, ale nie śmiała jej uderzyć. Coś jeszcze powstrzymywało wszystkich od napaści na bezbronną, lecz gdyby ktoś jeden podniósł na nią rękę, reszta poszłaby za nim natychmiast.

— Czego chcecie ode mnie?! — zawołała Krysia nie okazując trwogi. — Toć was nie ciągnę do szkoły, jeno moje dzieci!

— Nikt nie pójdzie do szkoły! — zawyrokowała Kaźmirka, — Ucz się sama, ty, lizusie!

Z rozwalonej stodoły, mimo że wejście było strzeżone, wysypała się gromada dzieciaków z okrzykiem:

— Krysia! Krysia Bajczarka!

— Chcecie do szkoły? — zawołała do nich dziewczynka.

54

— A, chcemy! Tylko nie puszczają! — chórem odparły młodsze dzieci.

— Jakim prawem je więzicie? Toć widzicie, że dzieci chcą się uczyć! — z oburzeniem krzyczała Krysia. — Kto nie chce, niech nie idzie, ale niewolić nikogo nie wolno!

— Nie mędrkuj, ale zmykaj, pókiś cała! — groźnie zawołała Kaźmirka.

Lecz Krysia nie ustępowała i zapewne skończyłoby się bójką, gdyby nie zjawił się Petrek.

— O... Petrek! Petrek!

Chłopak, w wymiętym ubraniu, z potarganą, nieokrytą głową, zbliżał się powoli, patrząc spode łba na nadbiegających ku niemu chłopców.

Nie odzywając się do nikogo, szedł prosto ku Krysi. Dzieciom dech w piersiach zamarł. Co to będzie? Pewno rzuci się na Krysię i zbije ją... zemści się za wszystkie czasy; nikt jej przecież bronić nie będzie! Duga nie ma, a ona — chuchro przy Petрку!

Kryśia stała bez ruchu, wpatrując się niespokojnymi oczami w nadchodzącego. Pierwszy może raz w życiu odczuła coś jakby trwogę... Uświadomiła sobie, że nie ma swego obrońcy i nagle straszny żal ścisnął jej serce.

— Dug! Dug! — wyszeptwała, a wielkie łzy wypełniły jej duże niebieskie oczy!

— Wołaj go, wołaj! — drwiła Kaźmirka. — Nic ci to nie pomoże.

Chłopcy zdążyli w pewnej odległości za Petrkim z zaciekawionymi twarzami, pewni niezwykłego widowiska. Młodsze dzieci zbiły się w gromadkę jak stadko strwożonych kurczątek i tylko kilkoro śmielszych rzuciło w stronę Krysi radę:

— Uciekaj! Wpadniesz do chaty jakiej; nie złapie cię!

Ale Kryśia nie myślała o ucieczce, chociaż zdawała sobie dokładnie sprawę z niebezpieczeństwa, które jej groziło. Nikt nie stanie w jej obronie, nie ma przecież jej przyjaciela i obrońcy.

55

I znów żal, połączony z uczuciem osamotnienia i jakiejś strasznej pustki, zatargał gwałtownie jej serduszkami.

— Dug! Mój Dug! — zajęczała.

Petrek stał przed nią z głową spuszczone, chmurny, zły, lecz na razie nie zdradzał wojowniczych zamiarów.

— Czego tu chcesz?! — warkliwym tonem rzucił pytanie.

— Przyszłam po dzieci do szkoły! — niepewnym głosem szepnęła Kryśia.

— A to czemu ich nie bierzesz? Kto ich trzyma? — nie podnosząc oczu, jakby mu je jakiś pałąc wstydu do ziemi przykuł, rzekł Petrek.

— Chłopaki mówią, że ty nie pozwalasz.

— A mnie co do tego! Komu wola, niech sobie idzie! — mruknął ponuro Petrek.

— To mogą te dzieci, co chcą, zabrać do szkoły? — z radością w głosie zapytała Kryśia.

— A zabieraj sobie, ile chcesz!

— O, jakiś ty dobry, Petрку! — zawołała dziewczynka, patrząc z wdzięcznością na chłopaka.

Uczucie niepewności i trwogi minęło zupełnie. Czowała, że nic jej nie grozi ze strony jej największego wroga, lecz nie wiedziała, że i tym razem przyczynił się do jej ocalenia — Dug!

Od chwili, gdy zranił psa, chłopak nie mógł sobie dać rady; coś go gryzło, męczyło, a teraz, gdy usłyszał żaloszny głos Krysi, nawołującej Duga, palący wstyd gniótł go do ziemi i nie pozwalał oczu podnieść; skrzywdził dziecko, sierotę, odebrał jedyne go opiekuna i przyjaciela tej biednej, niczyjej dziewczynce!

I gdy Krysia stała przed nim drżąca, bezsilna, a dzieci wokoło spodziewały się, że Petrek pomści się na znienawidzonej znajdzie, chłopak czuł się jak zbrodniarz przed najbardziej surowym sędzią.

— Chodźcie, chodźcie prędzej! Pani nauczycielka czeka! — wołała uszczęśliwiona Krysia. Ale dzieci z daleka spoglądały niepewnie na Petrka; nie dowierzały mu!

56

— Czego się gapicie?... Jak macie iść, to idźcie! — krzyknął złym głosem Petrek i zawrócił w stronę lasu.

Młodsza dziatwa nie namyślała się już! Gdy Petrek zniknął, hurmem rzuciła się do Krysi, która biegła naprzód, wołając radośnie:

— Do szkoły! Do szkoły!

Coraz więcej dzieci przyłączało się po drodze i w końcu zaledwie garstka starszych chłopców z Kaźmirką pozostała na drodze.

— Już są! — triumfalnie wołała Krysia, stając z rozpromienioną buzią przed panną Józefiną, niecierpliwie chodzącą wzdłuż i wszerz izby szkolnej.

— A czemuż to tak późno, dzieci? — zapytała, obrzucając wzrokiem zbite w gromadkę dzieciaki, onieśmiałe i niepewne siebie.

— Ach! To tak się jakoś stało, nie wiadomo dlaczego! — wymijająco odpowiedziała Krysia, nie chcąc nikogo oskarżać,

— Ale to chyba nie wszystkie? Jest was tu niewiele. I same młodsze. A gdzie starsze? Gdzie chłopcy? — pytała nauczycielka.

Tym razem i Krysia milczała, gdyż nie mogła dać odpowiedzi, nie oskarżając nieobecnych. Ale panna Józefina zrozumiała widocznie, że jej pytania wprowadzają w zakłopotanie dziewczynkę, którą w duchu nazywała swą pomocnicą, gdyż zwróciła się do dzieci, mówiąc wesołym, serdecznym tonem:

— Tymczasem, zanim reszta nadejdzie, powiedzcie mi, jak się nazywacie? Siądnijcie sobie na ławkach, mniejsze na przodzie, większe za nimi...

\* \* \*

Tak się zaczęła pierwsza lekcja. Właściwie nie była to lekcja, raczej jakaś miła, serdeczna rozmowa. Początkowo odpowiadała na pytania głównie Krysia, lecz powoli ośmielały się i inne dzieci, wkrótce zaś mówiły wszystkie na prześcigi, aż pani musiała uspokajać i nakazywać, by mówiły po kolei.

Młoda nauczycielka umiała trafić do dzieci, które przyłgnęły do niej od razu i z całym zaufaniem otworzyły przed nią swe serduszka.

W radosnym nastroju wybiegły dzieci ze szkoły, ani wiedząc, że podczas tych godzin, które spędziły na rozmowie, jak im się zdawało, już się czegoś nauczyły, już coś zyskały.

Najszczęśliwsza ze wszystkich była Krysia.

— A co? Prawda, jaka moja nauczycielka dobra? Jaka miła? Jaka mądra? — mówiła.

Młoda nauczycielka mimo wielkiej sympatii, jaką czuła dla swej „pomocnicy”, pragnęła pozostać sama, by rozważyć spokojnie wszystko, co się stało od chwili jej przyjazdu i rada była, że Krysia pobiegła z innymi dziećmi. Wprawdzie pierwsza lekcja przeszła pomyślnie, czuła jednak, że pobyt jej we wsi Szczęśliwej nie będzie spokojnym życiem, lecz że trzeba będzie toczyć walkę, by wydobyć z ludzi to, co w nich jest dobrego.

Przed wszystkim chodziło jej o dzieci, które miała uczyć. Ba! Czy tylko uczyć? O, panna Józefina chciała więcej: chciała je wychowywać, chciała z nich przygotować dzielnych, pożytecznych obywateli kraju, których tak bardzo potrzebuje Polska. A tymczasem, zamiast zacząć od razu pracę nad kształtowaniem młodych duszyczek, które dotąd rosły jak dzikie płonki\*, będzie musiała łagodzić jakieś zatargi, przewyćczać jakieś nieuzasadnione niechęci, przeciwdziałać złej woli.

Jak wiemy, nauczycielka sama wywodziła się spod wieśniaczej strzechy, więc znała dobrze życie wiejskie i doskonale orientowała się w tych wszystkich drobnych intrygach i wzajemnych niechęciach, tak częstych między ludźmi wiejskimi. Przypuszczała więc, że da sobie z nimi radę z czasem, ale rozumiała, iż czeka ją ciężka praca, bo przez wieś Szczęśliwą najwyraźniej przechodziły jakieś wrogie dla niej prądy.

Obejrawszy starannie Duga, którego stan nie był, niestety, zbyt pocieszający, panna Józefina usiadła na jedynym krześle,

\* płonka -jabłoń o drobnych, zielonych lub żółtych owocach; dzika jabłoń. 58

które nieznanym jej sposobem zdobyła Agnieszka i zadumała się głęboko.

Czuła się bardzo osamotniona i smutna.

W tej chwili wzrok jej padł na duży kufer, stojący w kącie izby. Ach! przecież tam jest Niteczka, dobra, kochana Niteczka, tak ściśle związana z jej życiem!

I panna Józefina, dorosła osoba, zajmująca poważne stanowisko nauczycielki we wsi Szczęśliwej, podbiegła do kufra, wyjęła z niego lalkę i posadziwszy ją sobie na kolanach, rozmawiać z nią zaczęła niby z żywą istotą.

— Nie martw się, Niteczko! Wszystko będzie dobrze! Widzisz, dzieci rzadko kiedy bywają złe. Tu, zdaje mi się, złym duchem całej wsi jest Petrek! Ale może jakoś i do niego trafimy. A reszta to naprawdę przemię dzieciaki.

Niteczka wdzięcznie pochyliła swą jasnowłosą czuprynkę, jakby doskonale rozumiała całą przemowę, a tak przy tym miło i wesoło wyglądała, że panna Józefina roześmiała się, a śmiech ten spędził z jej czoła smutek i troskę.

W tej chwili usłyszała jakiś szelest pod oknem i pośpiesznie złożyła lalkę do kufra. Nie chciała, by ją kto zobaczył, zanim sama nie sprezentuje lalki dzieciom. Wyobrażała sobie, co to będzie za radość, jaki zachwyt wywoła między dziećmi widok ślicznej Niteczki!

Schowawszy lalkę, podeszła do okna, lecz nie było przy nim nikogo.

— Widocznie mi się zdawało! — pomyślała i zajęła się swoim bardzo ubogim gospodarstwem.

A jednak szmer, który usłyszała panna Józefina, nie był złudzeniem i gdyby była cokolwiek wcześniej spojrzęła w okno, zobaczyłaby przylepioną do szyby twarz i patrzące z ciekawością i zdumieniem bladoniebieskie oczy. Była to Kaźmirka, która w tej chwili umykała szybko w stronę wsi.

Kaźmirka od rana nie miała chwili spokoju. Wierna towarzyska

59

wszystkich psot Petrka, oddana mu więcej niż wszyscy chłopcy z jego „partii”, najusilniej namawiała, by nie iść do szkoły i za jej to właśnie namową chłopcy zatrzymali idące dzieci i uwięzili je w rozwalonej stodole.

Potem, gdy sprawa przyjęła nieoczekiwany obrót, biegała na wszystkie strony, szukając Petrka, by się z nim naradzić, co robić dalej, lecz chłopak zniknął jak kamfora.

Więc błąkała się zła, niespokojna, próżno starając się skupić koło siebie chłopców, by z nimi coś umyślić. I oni bowiem oczekiwali rozkazów Petrka, a bez niego nic zacząć nie chcieli.

Gdy lekcje się skończyły i dzieci rozbiegły się po chatach, rozpowiadając dziwy o nowej nauczycielce, Kaźmirka zrozumiała, że już nic nie poradzi, i rozmyślać poczęła nad tym, jak by tu z honorem wyjść z całej sprawy.

Najwięcej w tej chwili gniewało ją i bolało to, że Krysia, której szczerze nie lubiła, wkradła się w łaski nauczycielki.

— Lizus jeden! — mruzczała. — Wszędzie się wkręci. Jaka mi ważna! Chodzi koło nauczycielki jakby sam wójt! I skąd jej to? Ani to duże, ledwie od ziemi odrosłe, ani gospodarskie dziecko!

I że Kaźmirka sprytna była, postanowiła dotrzeć do nauczycielki, wytłumaczyć jakoś na swoją korzyść całe zajście z chłopakami.

— Odsądzę znajdę i sama na jej miejsce wejdę. Zawsze to nie byle co z nauczycielką się zaprzyjaźnić!

Zanim jednak odważyła się wejść do izby, chciała przyjrzeć się, jak ta nauczycielka wygląda i właśnie w tej chwili zobaczyła coś nadzwyczajnego: nauczycielka wrzuciła do kufra dziecko, żywe dziecko, takie pewnie ze dwa lata mające!

Kaźmirka, mimo że nie lubiła Krysi Baj czarki, nasłuchiwała się dosyć jej bajek o czarownicach, złych wiedźmach, potężnych wrózkach i różnych złośliwych duszkach, i wszystkie te przedziwne historie odżyły nagle w jej głowie.

— Musi ta nauczycielka z nieczystą siłą jakieś konszchty\* mieć!

\* konszchty - tajemne układy, spiski. 60

A i Krysia... Skąd niby umiałyby takie historie opowiadać? Toć nieuczona i ksiązek nie czyta... — rozmyślała dziewczyna, pędząc naprzód i rozglądając się pilnie, czy gdzie nie dostrzeże dzieci.

Jakoż za jedną ze stodół dostrzegła gromadkę chłopców, najwidoczniej starających się ukryć przed wzrokiem ludzkim. Natychmiast do nich podbiegła.

— Widzieliście Petrka? — zapytała, ledwo mogąc utrzymać za zębami język, który rwał się, by wypuścić w świat nadzwyczajną nowinę.

— Et! Ani słychu o nim! Nawarzył piwa i zemknął! — mruknął niechętnie jeden z chłopców.

— Już tam nie bez tego, żebyśmy na grzbiecie nie poczuli tych szkolnych brewerii\*! — rozległ się złowróżbny głos.

— O... Nic się nie bójcie! — rezolutnie zawołała Kaźmirka. — Nikt wam złego słowa nie powie. Jeszcze was pochwalą, żeście mądrzy byli.

— Jakże to? — z ciekawością pytali prawie wszyscy.

— Zobaczycie! — rzekła Kaźmirka rada, że stała się nagle ważną osobą. — Nie widzieliście gdzie znajdy?

— A lata z dzieciakami po wsi, dziwy rozpowiadając o tej nauczycielce — rzekł Olek.

— Właśnie! Właśnie! Inaczej być nie może — zaśmiała się zagadkowo Kaźmirka. — Trzeba ją znaleźć! Zobaczycie! Zaraz inaczej śpiewać będzie!

— Wiem, gdzie jest teraz Krysia! — krzyknął Władek.

I cała zaciekawiona gromadka pobiegła za Władkiem, który prowadził w stronę małego wzgórka za chatą kowala.

Rzeczywiście, siedziała tam Krysia otoczona dziećmi, którym coś z zapałem przekładała. Zobaczywszy zbliżających się chłopców z Kaźmirką na czele, zamilkła zaniepokojona, po minach bowiem Poznała, że coś niedobrego z sobą niosą.



\* brewerie - niesforne, hałaśliwe zachowanie się, awantury.

61

Kaźmirka wystąpiła naprzód, z wyzywającą miną stając przed Krysią.

— Udało jej się ściągnąć głupie dzieciaki do szkoły — mówiła ostrym, krzykliwym tonem. — Ale to tylko na raz sztuka! Więcej nikogo nie obałamuczysz\*!

— Co to znaczy? — ze zdumieniem zapytała Krysia.

— A to, że nikt nie pójdzie do szkoły, gdzie się wyprawiają czarodziejskie sztuki — wolno i bardzo głośno odparła Kaźmirka.

— Co ty gadasz, Kaźmirka? Opamiętaj się... — zaczęła Krysia, ale dziewczyna, ze złymi błyskami w oczach, już nie mówiła, lecz krzyczała dalej:

— A tak! Tak! Albow to nie widziała, jak ta twoja nauczycielka dziecko do kufra chowała? A widział to kto, żeby żywe stworzenie bez powietrza w zamknięciu trzymać? I czy może tak człowiek, a choćby dziecko, wytrzymać? Każde zamrze, chyba że ktoś nad nim czary sprawuje!

Przy pierwszych zaraz słowach twarzyczka Krysi pokryła się śmiertelną bledością a oczy zaczęły płochliwie biegać na wszystkie strony.

Dostrzegłszy to dzieci z przerażeniem spoglądały to na wystraszoną dziewczynkę, to na krzyczącą Kaźmirkę. I ona dostrzegła zmieszanie Krysi i już zupełnie pewna zwycięstwa, coraz głośniejsze i pewniej wykrzykiwała:

— Albo i ty? Skąd umiesz te wszystkie bajki? Kto ci je podpowiada? Z czarownicą jakąś jesteś w zмовie! Bo czy to słycha-na rzecz, żeby jakaś tam znajda taki posłuch u wszystkich miała i rządziła się, jak szara gęś. Aniś ty gospodarska córka, ani jakaś królowna, jeno od nieczystych sił pomoc masz! Gadaj! Widziałaś dziecko w kufrze?

— N... nie!... — bąknęła Krysia, ale z jej głosu, z trzęsących się ust i załzawionych oczu widać było, że to „nie" nie od niej wychodzi, nie niesie prawdy i nikogo przekonać nie może.

\* obałamucić - wprowadzać kogoś w błąd, oszukać. 62

— No? Widzicie sami? Z oczu jej kłamstwo patrzy! Już tam Petrek wie, co robi! Jak on mówił: do szkoły nie iść, tę nauczycielkę wykurzyć i o nowego nauczyciela prosić, to już coś wiedział! On mądry jest! — mówiła Kaźmirka, chcąc zupełnie pognać Krysię, a jeszcze bardziej upewnić dzieci, a głównie chłopaków w słuszności tego, co mówiła.

Nie było to zresztą potrzebne, bo dzieciaki natychmiast rozbiegły się we wszystkie strony. Młodsze z krzykiem, nawet z płaczem, starsze zaś z pewnymi minami pośpieszyły do swoich chat i po chwili cała wieś trzęsała się formalnie, poruszona nadzwyczajną nowiną.

Jak się to stać mogło, żeby tak nieprawdopodobna pogłoska mogła znaleźć wiarę u ludzi dorosłych, to jest tajemnicą życia wsi Szczęśliwej! Dość, że znalazło się wiele osób, które potwierdzały słowa Kaźmirki. Dwie plotkarki wiejskie, Dziubkowa i Nowacczy-cha dowodziły, że i one widziały to tajemnicze dziecko w kufrze zamknięte, a już najwięcej przekonywało wszystkich zachowanie się Krysi, o którym rozповідаły szeroko dzieci.

Tymczasem biedna Krysia, zgnębiona, przerażona, opuszczona przez wszystkich, biegła w stronę szkoły, z mocnym postanowieniem opowiedzenia wszystkiego nauczycielce. Nie rozumiała wprawdzie, co się stało z dzieckiem, które również widziała zaraz po przyjeździe nauczycielki, ale była zupełnie pewna, że panna Józefina wyjaśni jej tę zagadkę.

Jednak gdy weszła do pokoju, zastała ją klęczącą przy Dugu, z twarzą zmienioną widocznym niepokojem.

— Jak to dobrze, że przyszaś, Krysiu! Dug jest bardzo chory! Trzeba, żebyś była przy nim... — zawołała panna Józefina, spostrzegłszy wchodzącą dziewczynkę.

— Dug! Dug! O Boże, toż on już ledwo żyje! Dug! Ja nie chcę, ja nie chcę... Nie opuszczaj mnie! — krzyknęła z rozpaczą w głosie Krysia, rzucając się na ziemię koło psa, który ledwie zdołał jękli-

63

wie zaskomleć, wyrażając w ten sposób radość, że jego mała pani jest przy nim.

W tej chwili wszystko znikło z oczu i myśli Krysi. Przekonanie, że lada chwila może na zawsze stracić swego jedynego przyjaciela, napełniło ją taką rozpaczą, że wszystko wokół zupełnie jej zubożyło.

Ująwszy w dłonie głowę wiernego zwierzęcia, położyła się obok niego na ziemi, zalewając się łzami, szlochając i jęcząc.

Panna Józefina próbowała pocieszyć dziewczynkę, lecz nie na wiele się to zdało. Krysia nie słyszała jej słów, nie odpowiadała, zdawała się nie rozumieć, co do niej mówią.

W takim stanie półodrętwienia, przerywanego wybuchami płaczu i rozpacz, przetrwała do późnej nocy, aż wreszcie znużona czuwaniem i łzami zasnęła obok Duga twardym, kamiennym snem.

Panna Józefina przykryła ją swym szalem, podsunęła pod głowę poduszkę i zostawiła w tej pozycji, bojąc się ją obudzić.

Nie budziła jej też nazajutrz rano, gdy sama zaczęła wstawać.

Dug żył jeszcze, lecz widać było, że goni resztkami sił. Może był dla biednego zwierzęcia jakiś ratunek, lecz na to trzeba było fachowej pomocy, o którą w tym zapadłym kącie było tak trudno! Zresztą pana Józefina obiecała sobie, że natychmiast po lekcji postara się o wóz i zaryzykowała straszną drogę, zawiezie Duga do miasta. Może się jeszcze da co zrobić?

Tymczasem szykowała się do lekcji. Była pewna, że dzieci tym razem się nie spóźnią i że będzie ich dziś więcej... Może nawet starsi chłopcy przyjdą? Toteż była mocno zdziwiona, gdy wybiła godzina ósma, a dzieci nie było widać.

Nie nadchodziły, chociaż wskazówki przesunęły się na kwadrans po ósmej i dalej jeszcze.

Czyżby się znów co stało?

Dobiegała dziewiąta, gdy koło drzwi wszczął się jakiś hałas. Nie był to jednak wesoły tupot dziecięcych nóg ani gwar ich głosów!

64

Jakieś stąpania ciężkich butów, pomrukiwania, chrząkania, poka-sływania.

Najwyraźniej zbliżała się gromada ludzi dorosłych.

Drzwi się otworzyły i na progu stanął — sołtys wsi Szczęśliwej.

Był to człowiek niemłody, o pobrużdżonej, na pół zarośniętej twarzy.

Za nim stało kilku chłopów i kobiety.

— Niech będzie pochwalony! — uchylając czapki rzekł zachrypłym głosem sołtys.

— Na wieki wieków...A cóż to pana sołtysa sprowadza do szkoły? — ze zdziwieniem spytała panna Józefina.

— A to, widzi pani, ja jako sołtys, na wszystko względ mieć muszący i różne rzeczy ludziom nakazujący, o wszystkim wiedzieć muszę.

— To doskonale! Lecz o czym to sołtys ode mnie chce się dowiedzieć? — z coraz większym zdziwieniem pytała panna Józefina.

— Ano, wedle tego dziecka...

— Dziecka? Jakiego?

— Ano, wedle tego, przytułek u pani mającego.

Panna Józefina zastanowiła się przez chwilę. Aha! Chodzi o Krysię. Lecz czegoż o niej chce się dowiedzieć sołtys?

Kobiety, wodząc rozciekawionymi oczami, cisnęły się coraz bliżej panny Józefiny, nadstawiając uszu.

— Jak to się dzieje, że pani dzieciaka w kufrze trzyma? Panna Józefina tym razem była już nie zdziwiona, lecz zdumiona.

— Co takiego???

— Ano, tak! Ludzie to widzieli i nie ma co się zapierać! W kufrze pani dziecko zamyka, życie jego ryzykując! — wolno cedząc wyrazy, mówił sołtys.

— Nic nie rozumiem!

Z tłumu kobiet zaczęły się rozlegać głosy:

4 Wieś Szczęśliwa

55

— A jakże! Toć przez okno widzieli! Żywe dziecko! Prawdziwe! Ze dwa lata mające! Do kufra chowała!

— Cicho tam! — z godnością krzyknął sołtys. — Ja tu jestem jako urzędnik porządek robiący, co mówić wiedzący. Więc nakazuję pani powiedzieć, co niby pani z tym dzieckiem robi i jakie czary sprawuje, że dziecko w zamkniętym kufrze może być żyjące?

Panna Józefina jeszcze chwilę stała, biedząc się nad rozwiązaniem zagadki, a kilkanaście par zaciekawionych oczu śledziło pilnie każdy jej ruch, każde spojrzenie, każde ściągnięcie brwi.

Nagle jak błyskawica przyszło zrozumienie i młoda nauczycielka wybuchnęła niespodziewanie serdecznym, głośnym śmiechem, który jak dźwięk srebrzystego dzwonka wpadł w zaciekawioną gromadkę ludzką.

Śmiała się długo, nie mogąc się uspokoić, aż łzy jej w oczach stanęły. Wreszcie, wciąż się śmiejąc, wybiegła z izby szkolnej, wpadła do swego pokoiku i za chwilę powróciła stamtąd, niosąc w rękach... dziecko — Niteczkę!

— Oto, panie sołtysie, na wszystko względ mający, dziecko, w kufrze nieszczęsny żywot prowadzące! — zanosząc się od śmiechu, mówiła panna Józefina, wysoko w górę unosząc wystrojoną lalkę.

Sołtys zrozumiał, że został wystrychnięty na dudka i pragnąc jak najszybciej wycofać się z całej tej historii, spoglądał ku drzwiom, chcąc po prostu dać drapaką, ale mu się to nie udało, gdyż został wepchnięty na środek izby szkolnej przez tłum kobiet, które się pchały jedna przez drugą, chcąc zobaczyć to nadzwyczajne dziecko, o którym tyle się gadało poprzedniego wieczora we wszystkich chatach.

— Olaboga! Toż to lalka!

— A nie mówiłam, że to jakieś bajki być muszą.

— Ale! Kto by tam takim głupstwom wierzył.

Z tymi i tym podobnymi okrzykami tłoczyły się mieszkanki wsi Szczęśliwej, by z bliska obejrzeć dziw-lalkę, tak bardzo przypomi-

66

nającą dziecko. Przy tym każda chciała jak najsilniej zadokumentować, że to nie ona była ową plotkarką, która naopowiadała bredni o dziecku w kufrze.

— Tak! To lalka! — mówiła tymczasem panna Józefina. — I nie można się dziwić dzieciakom zagląającym przez okno, że wzięły ją za dziecko, gdyż rzeczywiście jest bardzo do żywego dziecka podobna. Lecz że sołtys, za wszystkich „rozum mieć muszący”, uwierzył, iż żywe dziecko w kufrze trzymać można i że ja czary czynić mogę — to mnie bardzo dziwi.

— E... Bo widzi paniusia, ja właściwie nie dlatego... ja po co innego... niby że wiedzieć chcący, jak tam w szkole... czy czego nie brak... — jąkał się sołtys, tarmosząc czapkę w rękach.

Ale panna Józefina nie zwracała już na niego uwagi, mówiąc do zebranej gromady kobiet:

— Jak widzicie, jest to lalka. Lecz lalka niezwykła. Nie tylko dlatego, że jest taka ładna i duża, lecz że zrobiła mi kiedyś dużo dobrego! Tak jest! Ona to właśnie przyczyniła się do tego, że dziś jestem między wami jako nauczycielka, by oświecać główki i rozwijać serca waszych dzieci.

Toteż gdy jechałam na moją pierwszą posadę, wzięłam ją z sobą. Myślałam o tych pierwszych dzieciach, które będę uczyła. Myślałam, jaki zachwyt wywoła między nimi piękna lala, jaka to będzie radość, gdy ją będą mogły wziąć do ręki dzieciaki, które nigdy nic podobnego nie widziały... Czyż mogłam przypuszczać, że przez nią będę posądzona o jakieś — czary, jakieś...

— Olaboga! Niech już paniusia nie mówi, bo aż mnie w gardle dusi od żalości! — zawołała Grzesiowa, która miała bardzo czułe serce.

— Moiściewy! O naszych bębnoch myślała, dla nich tyli świat wiozła taką bogatą lalkę... A my co? Jakaśmy się tej dobrej, kochanej pani nauczycielce wywdzięczyli? Jakie to przyjęcie jej zgotowaliśmy? Ani to izby nikt nie wyszykował, ani sprzętów... Oj, ludzie! ludzie! Niedobreście ludzie!

4 ■

67

Rozległy się gdzieśgdzie głośnie chlipania; to czulsze kobieciny, wzruszone przemową Grzesiowej, w ten sposób wyrażały swą skrucę. Inne, energiczniejsze, podchodziły do panny Józefiny, starając się na wszelki sposób naprawić przykrość, jaką zrobiły młodziutkiej nauczycielce.

— Niech tam panienska w niepamięć wszystko puści. Nie ze złej woli my tak... Ot, ludzie my nieuczone, zła od dobra rozróżnić często niemogące! Ale w nas przecie sumienie ludzkie... Już ta więcej takich spraw nie będzie i niech złota paniusia nam odpuści!

Zbliżył się i sołtys bąkając coś, że to niby on inaczej myślał, właściwie wedle porządków w szkole przychodził.

— A jeżeli jakoweś potrzeby są, to, jak mi Bóg miły, spod serca wyjmę, a wszystko będzie! — kończył orację\*, bijąc się kułakiem w piersi.

Kobiety, choć bardzo przejęte całym zdarzeniem, zaczęły się trącać łokciami, przemrużując do siebie filuternie", że to sołtys znany był wszystkim ze skąpstwa i nieuczynności.

W tej chwili z sąsiedniej izby doszło zawodzenie Krysi i panna Józefina, która zapomniała na chwilę o swojej małej przyjaciółce, uprzytomniła sobie jej rozpacz.

— Więc zgoda między nami! — zawołała z uśmiechem, spoglądając na zebraną gromadkę, tak nagle w stosunku do niej odmienioną. — Ale pan sołtys musi mi pewną usługę wyświadczyć!

— Z serca zrobię wszystko, czego paniusia zażąda! — krzyknęła, znów grzmocąc się w piersi na znak, że prawdę mówi.

— A więc musicie mi zawieźć do miasta, do weterynarza — psa... Wiecie, to jedyny opiekun małej Krysi... Zraniony ciężko... gdyby miał pomoc, może mógłby żyć...

— Tak! Tak! Pies piękny. I ponoć „rasowaty". Duże pieniądze za niego można wziąć! — przytakiwały kobiety, ale sołtys, który

\* oracja - ozdobna, kwiecista mowa, przemówienie wygłaszane przy uroczystych okazjach. " filuternie - żartobliwie, figlarnie.

68

przed chwilą skwapliwie obiecywał swe usługi, jakoś zafrasował\* się i już kombinował, jak by tu uchronić się od uciążliwej wycieczki do miasta, gdy nauczycielka zwróciła się znów do niego:

— Tu, widzicie, trzeba człowieka odpowiedzialnego, rozbarniętego. Byle kto tego nie robi. Więc dlatego pana o to proszę.

Sołtys spojrział triumfalnie dokoła. Wiadomo. Nauczycielka, osoba uczona, poznała się od razu na jego rozumie! Jakże tu odmówić? Więc rzekł, przybierając znów ważną minę:

— Jakoż i prawda. Trzeba do lecznicy powiatowej. A tam z byle kim mówić nie zechcą!

— Właśnie! Właśnie! — pośpiesznie przytwierdziła panna Józefina. — Więc załóżcie zaraz konie. Wóz trzeba dobrze słomą wyłożyć...

— Wszystko będzie, jak potrza! Migiem zajadę!

Panna Józefina była uszczęśliwiona i natychmiast pobiegła do Krysi, by jej zakomunikować radosną nowinę.

Tymczasem kobiety zajrawszy do izdebki, w której mieszkała nauczycielka, zaczęły się między sobą naradzać i wszystkie zgodziły się, iż należy nauczycielce mieszkanie „wyszykować", boć to wstyd, żeby jak ten łazarz" mieszkała! Zaczęły więc znosić różne sprzęty i zapasy żywności, tak że mała izdebka w końcu pomieścić ich nie mogła, a spiżarnia została zaopatrzona na kilka miesięcy.

Patrzyła na to wszystko Niteczka, siedząca tym razem nie w kufrze, lecz na kufrze, i uśmiechała się figlarnie.

Oj, ludzie! ludzie! Ani wy nawet wiecie, ile w was jest dobrego! Tylko że tak rzadko po nie sięgacie!

Tak zapewne myślała sobie mądra Niteczka, ciesząc się, że raz jeszcze oddała przysługę swojej dorosłej przyjaciółce.

'zafrasować się - zmartwić się.' Łazarz - biedak, nędzarz (od imienia postaci biblijnej - Łazarza)

69

\* \* \*

Krysia ucieszyła się, że Dug pojedzie do lecznicy.

— Tam są mądrzy doktorzy! Oni mi uratują Duga, prawda, proszę pani? — mówiła, podnosząc z ufnością swe zapłakane oczęta na pannę Józefinę.

— O ile to jest możliwe, wyratują go! My zaś nic mu pomóc byśmy nie mogli.

— Ale ja też pojedę, prawda? — pytała znowu Krysia z obawą w głosie.

— Naturalnie! Sama go pod opieką lekarza w lecznicy zostawisz i możesz go tam zostawić z zupełnym spokojem: pilnować go będą starannie.

Zostawić Duga samego?! Nie! To niemożliwe! Krysia nie miałaby chwili spokoju, zamierałaby z trwogi, nie wiedząc, co się dzieje z jej przyjacielem!

Nie powiedziała jednak tego pannie Józefinie. Zresztą nie było nawet czasu na dalszą rozmowę, gdyż sołtys nadspodziewanie szybko zajechał i trzeba było ulokować chorego psa na wozie.

Licznie zebrani ludzie kiwali z politowaniem głowami, widząc bezwładnie zwisającą głowę biednego stworzenia.

— Już ta nic z niego nie będzie! Dobrze go uczęstował ten łobuz — szeptali między sobą, patrząc za odjeżdżającym wozem.

Krysia usadowiła się na słomie obok Duga, podtrzymując go, by gwałtowne podskakiwanie jak najmniej dawało mu się odczuwać, oraz układając jak najwygodniej łapy i bezsilny łeb.

Strwożonym, bezradnym wzrokiem spoglądała bezustannie, drżąc z obawy, czy nie zanikną ostatnie iskielki życia.

Lecz Dug żył i przetrzymał uciążliwą podróż.

Sołtys, zajechawszy przed lecznicę, meldował w kancelarii.

— A to pani nauczycielka przysłała mnie, jako najodpowiedzialniejszego z całej wsi, żeby się niby rozmówić o tego psa. Że to „rasowaty” i bardzo ważny, więc go trza wyratować!

Nie tyle może przemówienie sołtysa, ile widok wyjątkowo

70

pięknego psa wzbudził zainteresowanie doktora Walkowskiego, naczelnego lekarza lecznicy powiatowej. Bardzo więc troskliwie zajął się nim, natychmiast badając go i stosując zastrzyki, które miały podtrzymać nienackające życie.

W kancelarii tymczasem wynikła kwestia, kto poniesie koszt leczenia.

Na szczęście doktor Walkowski sprawę pomyślnie rozstrzygnął mówiąc:

— To zobaczymy później, jak się psa uratuje.

— A czy można go wyratować? — drżącym głosem pytała Kryśka, która nie odstępowała swego czworonogiego przyjaciela ani na chwilę, wkręcając się wszędzie tak jakoś zręcznie, cicho i nieznacznie, iż nikt jakby jej nie widział.

— Zrobię wszystko, co można — odparł doktor. — Ale stan jest ciężki. Rana głęboka, jedna kula nie wyjęta, przy tym duży upływ krwi... Ale jeżeli przetrzyma tę noc, może będzie żył.

Doktor Walkowski mówił to więcej do siebie niż do Kryśki, ale ta chwytowała jego słowa chciwie, targana na przemian to bezgraniczną rozpaczą, to znów ożywiona iskierką nadziei.

Po załatwieniu formalności w kancelarii sołtys, uważając, że spełnił wszystko, co do niego należało, wgramolił się na wóz, zamierzając wracać, gdy spostrzegł, że nie ma Kryśki.

— A gdzież znów zadziała się dziewczynina? — zafrasował się, ale zaraz pomyślał, że pewnie przy swoim psie została i nie należy jej wołać; zaciął więc konie i ruszył pośpiesznie w powrotną drogę.

Tymczasem Duga po założeniu opatrunków i daniu lekarstwa zanieśiono do przestronnej zagrody, czysto wyłożonej słomą, i ułożono wygodnie.

— Postawić mu wody i zaglądać do niego często. W razie, gdyby stan psa się pogorszył, dać mi znać! — wydał rozporządzenie doktor Walkowski, udając się do domu.

Dozorca, widząc zainteresowanie zwierzchnika pacjentem,

71

troskliwie krzątał się koło Duga, wreszcie odszedł, zamknąwszy zagrodę i chory pies został sam.

Tak się przynajmniej zdawało dozorczy. Ale się mylił, gdyż nie wiadomo jakim sposobem wsunęła się do zagrody Kryśka, postanowiwszy za wszelką cenę nie rozstawać się z Dugiem przez tę noc, która miała być decydująca.



Dziewczynka była zmęczona i głodna, lecz nie czuła tego, pochłonięta niepokojem i troską. Ułożywszy się na słomie koło psa, przez czas jakiś czuwała przy chorym stworzeniu, po czym zasnęła.

Zbudziło ją silne szarpnięcie, a gdy otworzyła oczy, zobaczyła przed sobą gniewną twarz dozorca, który, stosownie do polecenia lekarza, przyszedł sprawdzić, jak się miewa pacjent.

— Co tu robisz? — zapytał ostro.

— Jestem przy Dugu! — przerażonym głosem odparła Krysia. Objęła szyję wiernego zwierzęcia i pokornym, błagalnym głosem mówiła:

— Proszę mnie stąd nie usuwać! Ja muszę być przy nim. Może to jego ostatnia noc!

— Tu nie wolno nikomu zostawać na noc! — groźnie mówił dozorca. — Wyjdź stąd natychmiast.

Krysia jednak nie ruszała się. Dozorca byłby ją bez ceremonii wyrzucił, lecz obawiał się poruszyć psa, którego dziewczynka obejmowała ramionami.

— Puść psa i wychodź natychmiast, bo poskarżę doktorowi! — wołał.

— Pan doktor pozwolił! — bez namysłu skłamała Krysia, mimo że przez całe swoje krótkie życie nie kłamała nigdy.

— A masz kartkę od pana doktora?

— N... nie...

— Aha! Więc kłamiesz... No, wychodź!

I dozorca pochylił się, chcąc zaryzykować usunięcie dziewczynki siłą. Ale odskoczył natychmiast, gdyż Dug, który dotąd leżał

72

nieruchomo, uniósł nieco głowę i zawarczał groźnie, a błysk oczu świadczył, że mimo osłabienia może być niebezpieczny.

— Dug! Dug! — zawołała uszczęśliwiona Krysia. — Już jesteś zdrowy! Już będziesz żył!

Dozorca stał chwilę niezdecydowany, co robić. Naturalnie, można było dziewczynkę usunąć mimo groźnej postawy psa, ale trzeba by szarpać się z nim, co mogłoby psu poważnie zaszkodzić, a doktorowi zdawało się specjalnie na nim zależeć... Machnął więc ręką i zostawił parę przyjaciół w spokoju, ale nazajutrz, natychmiast gdy doktor Walkowski przyszedł, zameldował się w jego gabinecie.

— No, jak tam się miewa ten śliczny pies? — zapytał lekarz.

— Właśnie względem tego psa przyszedłem — rzekł trochę zakłopotany dozorca.

— Co! Może zdechł? — z niepokojem zapytał lekarz.

— Niby nie... Tylko że... jakieś dziecko przyplątało się...

— Gdzie? W lecznicy?

— Właśnie! Właśnie! Nie wiadomo, skąd się wzięła dziewczyna jakaś w klatce psiej... Powiada, że pan doktor pozwolił jej nocować — mówił pośpiesznie dozorca, chcąc co prędzej zwalić z głowy cały kłopot.

— Dziewczyna? Nikomu na nic nie pozwalałem... Ale... ale... Była przy psie jakaś dziewczynka — przypomniał sobie lekarz. — Więc, powiadacie, z psem nocowała?

— Atak!

— No, to trzeba było ją usunąć.

— Ba! Chciałem, ale pies zęby wyszczerzył i warczał. Bałem się go drażnić, żeby mu nie zaszkodziło.

— Warczał, powiadacie? To doskonale! Będzie żył! No, trzeba zobaczyć tę psią opiekunkę — mówił doktor Walkowski, a dozorca z tonu głosu zrozumiał, że nie jest rozgniewany.

Ale ponieważ był to dzień targowy i ruch wyjątkowo duży, a przy tym zdarzyło się kilka poważniejszych wypadków, więc

73

lekarz nieprędko mógł uchwycić swobodną chwilę, by zajrzeć do swego pacjenta i dopiero gdy załatwił najpilniejsze sprawy, udał się do Duga.

Doszedłszy do zagrody, w której leżał chory pies, doktor Walkowski zatrzymał się, uderzony obrazkiem, który się przedstawił jego oczom. Pies leżał spokojnie, z otwartymi oczami, którymi wpatrywał się z bezgranicznym przywiązaniem w śpiącą obok niego dziewczynkę.

Dziecko zaplotło szczupłe rączyny koło szyi psa, a jasnołote, obfite włosy, rozrzucone bujną falą, plątały się między łapami wielkiego doga.

Za nadejściem lekarza pies podniósł łeb i warknął groźnie, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Nie waż się budzić mojej pani!

— Cóż to za piękne stworzenie! — pomyślał lekarz, z przyjemnością patrząc na parę przyjaciół. — Ale i dziecko dziwnie wdzięczne... Wygląda jak Kopciuszek z bajki.

Dug widocznie miał się lepiej, był znacznie silniejszy, na co wskazywała obronna pozycja, jaką przyjął.

— A nie mówiłem panu doktorowi?! Pies nie daje przystępu do dziecka. I co teraz robić? — mówił dozorca, zupełnie już spokojny, że nie będzie odpowiadał za przekroczenie regulaminu.

— Trzeba obudzić małą. Zapewne pies będzie jej posłuszny — rzekł doktor Walkowski. — Hej, dziewczynko! Wstawaj!

Krysia poruszyła się niespokojnie, ze spieczonych warg wybiegł szept:

— Dug! Dug!

Pies pochylił nad nią łeb i pieścizotliwie polizał zwisającą rączynę.

— Dug! Obudź swoją panią! — próbował pośrednictwa psa pan Walkowski.

Dug znów zawarczał groźnie, a gdy dozorca usiłował zbliżyć się do Krysi, rzucił się ku niemu, szczekając głośno.

74

— Zuch! Będzie żył! — z zadowoleniem zawołał lekarz. Krysia się obudziła. Przerażonymi oczami powiodła wokoło

i trwoźnie przytuliła się do psa.

— Nie bój się, mała! Nikt ci nic złego nie zrobi. To ty wczoraj przyjechałaś z psem?

— Tak, panie doktorze! — ocknąwszy się już zupełnie ze snu, odparła dziewczynka.

— To twój pies?

— Mój.

— Więc ciesz się: będzie żył!

— O, panie doktorze! Naprawdę? O, panie doktorze! To pan go uratował! Dziękuję, bardzo dziękuję!

— Ale teraz musisz mi pomóc obejrzeć psa, bo nie daje nikomu dostępu do siebie.

— Ach! Dug jest bardzo łagodny, tylko bał się, żeby mnie kto nie zabrał. Dug! Pan doktor chce cię obejrzeć! — mówiła, zwracając się do psa, który jakby rozumiał słowa swojej małej pani, z całym spokojem pozwolił na dokładne oględziny i różne zabiegi lekarskie.

— Teraz trzeba go tylko wzmocnić dobrym odżywianiem i za kilka dni będziesz go mogła zabrać! — wesoło mówił doktor Walkowski.

Krysia ucieszyła się bardzo, ale zaraz z trwogą spojrzała na doktora. Co z nią zrobi dalej? Czy pozwoli jej zostać z Dugiem?

— Skąd jesteś, dziecko? — zapytał tymczasem doktor.

— Ze wsi Szczęśliwej.

— A czyjaś ty?

Krysia zawahała się. I po raz drugi wstyd jej było przyznać się, że jest „niczyja”, więc po chwili namysłu odparła:

— Starej Agnieszki.

— No i co ja z tobą teraz zrobię? Tu zostać nie możesz; do domu też nie możesz wrócić?

— O, panie doktorze! Proszę mi pozwolić zostać przy Dugu.

75

A jak wyzdrowieje, oboje wrócimy do wsi... Trafię na pewno, zresztą Dug mnie zaprowadzi...

— Nie, zostać tu nie można! Ale jakoś poradzimy. Chodź tymczasem ze mną! — zdecydował doktor Walkowski, rozbrojony wdziękiem, jaki roztaczała ta wiejska biedna dziewczuszka.

Zaledwie to powiedział, pożałował swych słów, gdyż przypomniał sobie swoją siostrę, pannę Teresę, która bardzo nie lubiła dzieci. A Krysia tymczasem pytała:

— Ale do Duga będę przychodziła?

— Naturalnie! I dziś jeszcze po obiedzie pójdziesz do lecznicy... A na noc wrócisz do mnie. Tylko, widzisz, trzeba, żebyś była bardzo grzeczna, cicha i spokojna, bo moja siostra... nieprzyzwyczajona jest do dzieci.

— O, pan doktor jest bardzo dobry! I bardzo dziękuję... Nikomu nie będę przeszkadzała... prześpię się gdzie w kąciaku... A najlepiej to, gdyby można, przy Dugu...

Doktor Walkowski zaczynał już żałować, że nie zostawił dziewczynki w lecznicy... Ostatecznie mogła przenocować u dozorczy... Ale było już za późno, bo oto stał przed swoim domkiem, a Jan otwierał drzwi, widocznie spostrzegłszy z daleka nadchodzącego.

— Pani czeka! Mamy gościa. Pan Grabowski ze Skarżysk przyjechał! — meldował służący, rozbierając swego pana i patrząc ze zdziwieniem na nieznaną dziewczynkę, nieco zalęknioną i trzymającą się blisko swego przygodnego opiekuna.

— A co to za dziecko? — szeptem zapytał, wskazując oczami Krysię.

— Słuchaj, Janie! — mówił pośpiesznie doktor Walkowski, któremu nagle przyszła doskonała myśl do głowy. — Odprowadzisz małą do twojej żony... Nie dokończył, gdyż drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich kobieta o siwiejących, krótko obciętych włosach i ładnych, choć bardzo surowych, prawie męskich rysach, ubrana według ostatniej mody.

Bystry jej wzrok padł natychmiast na Krysię.

76

— Co to? Co to za dziecko? — zapytała suchym, ostrym głosem.

— To... z lecznicy... Jest tam jej pies... śliczny... rasowy dog

— bąkał doktor Walkowski, czując coraz mocniej, iż pomysł przyprowadzenia Krysi był zupełnie niefortunny.

Krysia, która mimo nocy spędzonej na słomie przy Dugu zdążyła jakoś uporządkować sukienkę i włosy i miała wygląd bardzo schludny, dygnęła, grzecznie mówiąc:

— Dzień dobry pani!

Panna Teresa zmarszczyła brwi, a w oczach jej zamigotały gniewne błyski:

— Wytlumaczcie mi, co to wszystko znaczy? — zaczęła, lecz w tej chwili w otwartych drzwiach stanął mężczyzna dużego wzrostu szczupły, o bielutkich włosach, chociaż nie wyglądał na starego.

— O! Pan major! Witam! — zawołał pan Walkowski, rad niezmiernie, iż przerwie kłopotliwe pytania panny Teresy.

Lecz nadspodziewanie i pan Grabowski, który utkwiał zdziwiony, niemal przerażony wzrok w stojącej w kącie, coraz bardziej onieśmiałonej dziewczynce, zapytał dziwnie drżącym głosem:

— Co to za dziecko?

— Ach! Zaraz wam to wyjaśnię! Lecz chodźmy do pokoju. Janie, zabierzcie małą!

— Nie! Nie! Jeśli można, niech dziecko wejdzie do pokoju!

— pośpiesznie rzekł pan Grabowski. — To podobieństwo... to nadzwyczajne podobieństwo...

Panna Teresa patrzyła ze zdziwieniem na swego gościa, lecz nie protestowała, gdy Krysia, wciąż trzymając się blisko doktora Walkowskiego, weszła do pokoju.

— Jak się nazywasz, dziecko? — gwałtownie począł pytać pan Grabowski.

Krysia spojrzała na niego chmurnie. Czego od niej chcą właściwie? Dlaczego ciągle ktoś ją pyta, jak się nazywa i czyja jest? Co komu do tego! Że nie ma nikogo swojego, że jest znajda, to zaraz każdy ma wydziwiać?

77

- No, powiedz, mała, jak się nazywasz? — łagodnie powtórzył pytanie doktor Walkowski, a że Krysia miała dla niego specjalne uznanie za to, że uratował Duga, więc mruknęła:

— Krysia.

— A nazwisko? Jak się nazywają twoi? — gorączkowo pytał znów pan Grabowski.

Krysia znów się zacięła. Nie powie, że niczyja... Po co mają wszyscy wiedzieć o jej nieszczęściu. I po co ma to wiedzieć ten starszy pan?

— Jestem Agnieszkowa! Toć już mówiłam! — niechętnie burknęła.

— Ach! Więc masz rodzinę! — szepnął pan Grabowski, a wyraz cierpienia i rozczarowania rozlał się po jego wyrazistej twarzy.

Krysia, dawszy szorstkim tonem odpowiedź niezgodną z prawdą, pożałowała zaraz tego. Oczy starszego pana patrzyły tak smutnie i tak jakoś dziwnie. Dlaczego skłamała? Przecież zawsze mówi prawdę... Ale teraz już za późno, bo oto starszy pan zaczął się szybko żegnać.

— Przepraszam bardzo — mówił stłumionym, nie swoim głosem... — Muszę jechać... te rzeczy wytrącają mnie zawsze z równowagi... To podobieństwo... I znów zawód...

— Co masz zamiar zrobić z tą dziewczyną? — zabrzmiał zimny, ostry głos panny Teresy, gdy pan Grabowski wyszedł.

— No... widzisz... Trzeba ją przetrzymać kilka dni! Jan zabierze ją do siebie... Janowa zaopiekuje się małą... — objaśnił doktor.

— Ach! Tak! To dobrze. Janie! Możecie zabrać dziewczynę. Utrzymanie dla niej dostaniecie w kuchni.

Jan zbliżył się do Krysi i ujął ją za rękę, mówiąc łagodnie:

— Chodź! Pewnie jesteś głodna?

Ale Krysia szarpnęła się gniewnie. Dlaczego ją zabierają z tego widnego, dużego pokoju, gdzie jej jest tak dobrze? I dlaczego wyszedł ten starszy pan o smutnych oczach?

78

— Wyjdź! — ostrym, rozkazującym tonem rzekła panna Teresa, widząc, iż dziewczynka opiera się.

Krysia spuściła głowę i poszła posłusznie za Janem, ale owładnął nią jakiś niezrozumiały żal, jakiś palący smutek, który wycisnął jej z oczu dwie wielkie łzy...

A tymczasem w pokoju panna Teresa mówiła do brata:

— Nieszczęśliwy człowiek! Nie może się uspokoić po tych strasznych przejściach i bezustannie myśli, że znajdzie zaginione dziecko swojej jedynej siostry. Podobno ciągle i on, i pani Mirska upatrują jakieś nadzwyczajne podobieństwa, ciągle łudzą się, że są na tropie dziecka i ciągle spotyka ich zawód... Ot i dzisiaj! Na pewno wyobraził sobie, że ta dziewczynina jest właśnie tym dzieckiem.

— Przyznasz, że mała ma w sobie istotnie coś, co pozwala przypuszczać, iż nie pochodzi z wiejskiej chaty... — zauważył pan Walkowski.

— Ach! Co znowu! Typowe chłopskie dziecko! Nieufna, trwożliwa, a przy tym samowolna i kapryśna! — wydała wyrok panna Teresa.

Na tym się skończyło, ale dobry doktor nie zapomniał o dziewczynce i przez kilka dni jej pobytu w mieście otaczał ją opieką, jednocześnie bardzo gorliwie lecząc Duga, który z dniem każdym miał się lepiej.

— No, zuch z ciebie, mój piesku! Nie każdy potrafiłby się tak prędko wylizać z tej choroby! — chwalił Duga doktor Walkowski, który szczerze polubił pięknego psa i jego małą panią.

Krysia była uszczęśliwiona i oczekiwała z upragnieniem chwili, gdy będzie mogła wrócić do domu, a myśl jej krążyła bezustannie koło szkoły we wsi Szczęśliwej.

Co robi pani nauczycielka? Jak radzi sobie z dziećmi? Czy Petrek zdołał spłatać jakiegoś złego figla? — oto były pytania, które zaprzętały bezustannie głowę dziewczynki.

79

A panna Józefina również myślała o swojej małej przyjaciółce i aczkolwiek sottys, chcąc z siebie zrzucić odpowiedzialność za to, że nie przywiózł dziecka z powrotem, wytłumaczył, że w lecznicy nakazali Krysi zostać przy psie, niezupełnie była spokojna

O losy dziewczynki. Lecz w pierwszych dniach swej pracy miała tyle zajęcia, iż nie było nawet mowy o tym, by mogła się wybrać do miasta i dowiedzieć się czegoś o Krysi. Zresztą Agnieszka zapewniała, że Krysia mądrzejsza jest od niejednego starego i zawsze sobie da radę.

— Aż dziw, skąd to dziecko taki rozum ma! — mówiła. — Chyba już to Pan Jezus ofiarował, żeby jej sieroctwo wynagrodzić!

I rzeczywiście, Krysia dała sobie radę, gdy wreszcie przyszedł dzień, iż pan doktor pozwolił zabrać psa z lecznicy. Było to w dzień targowy, więc weselej było dziewczynce iść, spotykając coraz wóz jakiś lub mijających ją ludzi. Dni ostatnie były dość pogodne i ciepłe, więc droga się poprawiła trochę i małej wędrownicy nie groziło ugrzęźnięcie w błocie.

Dug, wypoczęty, doskonale odżywiony, wydawał się Krysi większy niż dawniej, piękniejszy, a nade wszystko jeszcze bliższy, jeszcze bardziej kochany!

Szła rażno, podśpiewując sobie, nie czując najmniejszego zmęczenia, pełna słonecznej radości i zadowolenia, a gdy z daleka zamajaczyły pierwsze chaty wioski, serduszko Krysi poczęło kołatać szybko, coraz szybciej i jakieś wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Po raz pierwszy w życiu była tak długo poza obrębem wsi i po raz pierwszy wracała do niej po dłuższym niewidzeniu.

1 rzecz dziwna! Dawniej wioska wydawała jej się brzydka, brudna, niemiła... Może dlatego, że tak wszyscy mówili o wsi Szczęśliwej? Ale teraz, gdy ją zobaczyła po kilku dniach niewidzenia, wszystko w niej wydało jej się dziwnie piękne i takie jakieś bliskie. I nędzne chaty z porozwalanymi ogrodzeniami, i powykręcane, połamane drzewa, i szary, pochylony krzyż przy drodze...

\_\_Krysia! Dug! — zabrzmiał tuż koło niej wesoły głos małej

Helki, która dreptała obok matki, uczepiona u jej spódnicy.

I nie wiadomo, czy to jej cienki głosik przebiegł po wsi, czy też ten dziwny telegraf bez drutu znajdujący się, nie wiadomo jakim sposobem, w każdej wsi, dość, że po jakiejś chwili ze wszystkich stron wybiegać poczęły dzieci większe i mniejsze, z radosnymi okrzykami otaczając Kysię.

— O... Dug! Patrzenie! Już zdrów! Krysia! Co robiłaś w mieście? Nie bałaś się tak sama? O... jak to dobrze, że Dug żyje! Wszyscy się o niego martwili! — jedno przez drugie mówiły dzieci, serdecznie witając dziewczynkę.

— A cóż pani nauczycielka? — spytała Krysia, gdy się dzieci nieco uciszyły.

— O... dobra ta twoja nauczycielka! O, jaka dobra! I mądra! Wszyscy ją bardzo lubią!

— A dużo dzieci chodzi do szkoły? — dopytywała dalej Krysia.

— Wszystkie!

— I starsi chłopcy też?

— A jakże! Chociaż nie wszyscy!

— A... Petrek?... — z pewnym wahaniem zapytała znów Krysia.

— E... Petrek to nie! O — on to całkiem zdziczał! Do chałupy prawie nie wraca... po lasach się włóczy ze swoją strzelbą.

Kysię przebiegł dreszcz trwogi. Bezwiednym ruchem schwyciła za szyję Duga.

— Nie bój się! — uspokajały ją dzieci. — Teraz już wszyscy Duga będą pilnowali. O! Nie damy mu zrobić krzywdy!

Krysia wdzięcznym wzrokiem ogarnęła otaczające ją dzieci i tak jakoś przyjemnie jej się zrobiło! Dobrze są dla niej te dzieci kochane, chociaż ona jest tylko biedną sierotą — znajdują.

— Krysia! A jak tam w mieście?

Dziewczynka zaczęła opowiadać o swoim pobycie w mieście, o tym, co widziała, co słyszała, co robiła i tak doszła wraz z całą gromadką do szkoły, z której właśnie wychodziła panna Józefina.

5 Wieś Szczęśliwa



— Ach! Krysia! Dug! Widzę, że zdrow zupełnie! — ucieszyła się młoda nauczycielka, serdecznie całując dziewczuszkę.

Krysia była uszczęśliwiona! Nie tylko dlatego, że Dug wyzdrowiał, lecz i z tego powodu, że doznała takiego serdecznego przyjęcia; wszyscy byli tacy dla niej dobrzy, tak się cieszyli z jej powrotu.

Jakoś tak się złożyło, że Krysia zakwaterowała się wraz z Du-giem w mieszkanku nauczycielki i stała się naprawdę dzielną pomocnicą panny Józefiny.

Drugą która wyśmienicie spełniała swoje zadania, była Niteczka!

Od chwili, gdy dzieci zobaczyły prześliczną lalkę, stała się ona przedmiotem ich marzeń, a dotknięcie Niteczki uważane było za największe szczęście. A wolno było oglądać ją tylko wówczas, gdy dzieci zachowywały się w szkole bardzo grzecznie i w taki dzień zawsze jedna z dziewczynek otrzymywała pozwolenie pobawienia się Niteczką.

Za to z chłopcami miała nauczycielka ciągle jeszcze kłopoty. Przypuszczała, że powodem tego był Petrek. Bardzo by chciała zetknąć się z nim, ale cóż, kiedy chłopak krył się i był wprost nieuchwytny.

Udało się wreszcie pannie Józefinie zawrzeć znajomość z osławionym Petrkiem, a to w następujący sposób.

Gdy młodziutka nauczycielka biedziła się nad tym, co by wymyślić, by wzbudzić zainteresowanie chłopców, starszych szczególnie, otrzymała pewnego dnia list od brata Marysieńki, pana Władysława, który w swój zwykły, żartobliwy sposób pisał:

„Wiem, że dzielna Fifinka poradzi sobie jakoś z tymi »dziku-sami« z owej wsi, najniesłuszniej zwanej Szczęśliwą. Lecz wbiłem sobie do głowy zamiar przyczynienia się do tego w jakiś sposób! No i wymyśliłem, zgadnij, Fifinko, co? Oto ni mniej ni więcej, tylko — radio! Nie wiem, czy to dobry sposób, ale spróbuj! Posyłam jednocześnie aparat i wszystko, co ci do założenia go będzie potrzebne, i książkę z dokładnym opisem, jak to należy zrobić. Niechaj to będzie „Niteczka" chłopców!"

82

Panna Józefina aż podskoczyła z radości:

— Władek miał zawsze wyśmienite pomysły! — przyznała w duchu. — A ten jest wprost nadzwyczajny!

Gdy przyszło z poczty zawiadomienie o nadejściu paczki, panna Józefina natychmiast wybrała się po nią. Wprawdzie do poczty było pięć kilometrów, a pogoda od kilku dni popsuta się znowu, lecz to nie zrażało nauczycielki.

— Jakoś przejdę! — tłumaczyła Krysi, która odwoziła ją od tego zamiaru. — Konie teraz zajęte w polu, więc nikt nie pojedzie, ale pilno mi odebrać paczkę, po której spodziewam się dużo dobrego.

Jednak dobrze się namęczyła, nim dobrnęła do poczty. Tam okazało się, że paczka była bardzo duża i ciężka\*, i mowy nie było, by panna Józefina mogła ją sama zabrać. Trzeba więc było poszukać jakiejś

furmanki, co okazało się jednak niezbyt łatwe, nikt bowiem nie chciał ryzykować jazdy po drodze szczęśliwieckiej. Dopiero po długich poszukiwaniach znalazł się jakiś gospodarz, jadący za swoimi interesami w tamtą stronę.

— Podwożę paniusią do samej wsi — a tam już paniusia musi sobie radzić, bo ja w bok skręcam.

— O... tam już dojdę... — mówiła wesoło panna Józefina, sadowiąc się na wiązce słomy zastępującej siedzenie i kładąc koło siebie drogocenną paczkę.

— No, trza tu zsiadać. Stanę wedle tego płotka... trochę tam niby suszej! — mówił po pewnej chwili gospodarz, zatrzymując konia.

— Dziękuję bardzo! — rzekła panna Józefina, sięgając do torebki, lecz gospodarz, spostrzegłszy ten ruch, rzekł dobrodusznie:

— Nie trza... Toć za swoimi interesami jadę — nie furmanię ...

\* Odbiorniki radiowe w tym czasie były duże i ciężkie, wymagały zamontowania anteny i uziemienia.

" furmanić - pracować jako furman; zajmować się przewożeniem towarów furmankami.

5 «

83

A paniusia pewnie dzieci uczy i pewnikiem do szkoły coś niesie? Toć by i wstyd było coś brać za drogę!

— A więc Bóg zapłać!

— Ostańcie z Bogiem!

Paczka była bardzo ciężka i jej waga utrudniała przebywanie błotnistej drogi, gdzie trzeba było to skakać, to znów czepiać się płotów lub przechodzić po wąskich kładkach, gdzieniegdzie przerzuconych przez niemożliwe do przejścia kałuże.

Panna Józefina dokazywała cudów zręczności i pokonywała przez pewien czas zwycięsko wszystkie przeszkody... aż nagle źle wymierzyła skok i zamiast znaleźć oparcie na wystającym kamieniu, noga jej zapadła się głęboko, w grząskim błocie, z którego z wielkim trudem zdołała ją wyciągnąć, lecz niestety — bez pantofla!

Panna Józefina stała bezradnie na jednej nodze, a drugą, bez pantofla, potrząsała rozpaczliwie, by wyzbyć się błota, grubo ją oblepiającego. O wydobyciu pantofla nie było mowy wobec tego, że oburącz trzymała paczkę, której nie miała gdzie złożyć. Rozglądała się więc za jakąś pomocą, aż wreszcie, usłyszawszy jakieś odgłosy z krzaków za rowem, zawołała:

— Hej! Jest tam kto? Potrzebuję pomocy!

Chwilę panowała cisza, po czym z krzaków wysunął się spory chłopak o potarganej czuprynie i zuchwałym spojrzeniu.

Panna Józefina widziała go pierwszy raz, lecz natychmiast domyśliła się, kogo ma przed sobą.

— To ty, Petрку? — rzekła pewnym głosem. — Może byś mi pomógł wyciągnąć pantofel z błota.

Chłopak zdawał się być trochę zdziwiony, usłyszawszy swoje imię; kilka razy spojrzął bystro w twarz młodej nauczycielki, po czym, spuściwszy oczy, jakby nie mógł znieść jej spokojnego, stanowczego wzroku, burknął posępnym głosem:

— A gdzie on jest?

— Ugrzązł tu, koło tego kamienia.

84

Petrek, nie omijając kałuż, poszedł we wskazanym kierunku, brnąc w błocie bosymi nogami często po same kolana.

— Bój się Boga, chłopcze! Zatoniesz w tym błocku! — krzyknęła panna Józefina.

— 1... On z tym dobrze znajomy! — zaśmiał się Józiek Gołąbek, który niespodziewanie wysunął się z krzaków. Za nim pokazywali się powoli inni chłopcy.

Petrek tymczasem dotarł do kamienia wskazanego przez pannę Józefinę i zaczął poszukiwania pantofla, przebierając błoto nogami. Po chwili nachylił się i kijem wydobył nieszczęsną zgubę, którą nadział na koniec i podniósł do góry niby błotnisty sztandar.

— Ładna historia! Toć ja tego nie mogę włożyć! — krzyknęła panna Józefina, która już zaczynała odzyskiwać swój zwykły humor.

— Ano, nie! — lakonicznie przytwierdził Petrek. — Trza iść na bosaka.

— Zdaje się, że nie ma innej rady! — zgodziła się panna Józefina. — Zresztą to już niedaleko.

— Trza iść za mną! — wciąż jednakowym głosem mówił Petrek. — A to to mnie dać! — dodał po chwili, sięgając po paczkę.

Teraz pokazała się cała banda chłopaków i wszyscy, ze świecącymi ciekawością oczami, przyglądali się tej scenie, niewiele z niej rozumiejąc.

Czemu Petrek pomaga nauczycielce? Dlaczego wyciągnął z błota jej pantofel? Dlaczego niesie jej paczkę? Czy może to wszystko tylko udane, żeby potem psotę jakąś wyrządzić? Ale jaką? Szeptem rzucane uwagi kotłowały się między chłopcami, a górowało w nich zdziwienie i jakieś niedowierzanie.

Petrek wysunął się naprzód i o ile przed chwilą nie unikał błota, o tyle teraz wymijał je z niezwykłą zręcznością, wskazując idącej za nim nauczycielce co bardziej suche miejsca.

— Dziwny chłopak! — myślała panna Józefina, obserwując idącego przed sobą chłopca, obdrapanego i brudnego. — Oczy ma złe, ale chwilami błyska w nich coś, co chwyta za serce. I skąd

85

Jl- f\*

ii cl \*1

э .D „ n n>

rro "±r\* —^ <—■ • \*-r. аз r-i- T\* ж \_

ts 'S

/ »fl'

Л о m n N

э 'iï Z S' s

• o

Г0 C3 N

o- o- a

. 345

o erg o' й S£. 5 o o g o. .8 «g

%%%vl

ca

«—7\* t-J tSi "˜" ^

er Ё 3 ■% §\* ffi.

-o o

lffe

ll-

9r >- °a- r-i

to ° N Я O

r^

mu przyszła do głowy ta uprzejmość? Przecież podobno buntuje przeciwko mnie chłopców?

To samo pytanie zadawali sobie chłopcy, zdumieni zachowaniem się Petrka. Co mu się stało? A może to był jakiś podstęp? Może urządzi w ostatniej chwili jakiś kawał?

Toteż posuwali się za Petrkiem, starając się być jak najmniej widoczni, kryjąc się za krzaki i opłotki, ale obserwując każdy ruch Petrka i nauczycielki!

Niemniej zdziwiona i trochę zastraszona była Krysia, gdy wyszedłszy przed dom zobaczyła na drodze Petrka dźwigającego jakąś paczkę, a za nim pannę Józefinę.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! A toż znów co takiego?

— szepnęła i w pierwszej chwili zrobiła ruch, jakby się chciała cofnąć do chaty, lecz opanowała się.

— I czegoż mam się bać?! Toć mnie nie zje... I Dug jest przy mnie!

Petrek spostrzegł już Krysię i nagle się zatrzymał.

— Teraz to już pani sama doniesie! — burknął, oddając pannie Józefinie paczkę.

— Dziękuję ci za pomoc! Zmęczyłeś się pewnie, bo to ciężkie...

— zaczęła panna Józefina, lecz nie zdążyła skończyć, gdyż Petrka już nie było.

W tej chwili nadbiegła Krysia, a za nią Dug.

— No i co? No i co? — wypytywała dziewczynka, pałającymi z ciekawości oczami wpatrując się w pannę Józefinę.

— No i nic! Twój Petrek wyratował mi z błota pantofel, no i pomógł przynieść paczkę! — śmiejąc się odparła panna Józefina. Krysia pokręciła główką.

— To do niego podobne! Zawsze zrobi coś, żeby wszyscy się dziwili... Jakby na złość: wy tak myślicie, a ja właśnie zrobię co innego! Taka to już natura. Ale proszę pani! On nie jest taki zły, jak się wydaje... Trzeba tylko umieć z nim mówić. Ot, pani nauczycielka to by potrafiła!

86

— Nie bardzo! Chciałam z nim mówić, lecz zniknął tak, że zanim się spostrzegłam, już po nim nie zostało ani śladu!

— On już taki. A szkoda go! — westchnęła Krysia.

— Żałujesz Petrka? A przecież to twój wróg największy? I Duga skrzywdził! — pytała panna Józefina, patrząc ze zdziwieniem na dziewczynkę.

— Et... trudno, żeby każdy każdego lubił. Widać mu nie dogadzałam. A z Dugiem to przecież nie wiadomo, jak było! Nikt nie widział, tylko tak się domyślają... Ludzie zawsze jeden na drugiego! — poważnym głosem dowodziła Krysia.

Panna Józefina pogładziła z uśmiechem jasną główkę dziewczynki.

— Może masz słuszość, dziecko. Ano, zobaczymy! Tymczasem bierzmy się do rozpakowywania paczki.

Krysia błyszczącymi z ciekawości oczami przyglądała się dziwnym przedmiotom, które panna Józefina wyjmowała z pudełka.

— Co z tego będzie? — dopytywała bezustannie.

— Będzie coś bardzo ciekawego! — odpowiedziała panna Józefina. — Jest to radioaparat, za pomocą którego będziemy mogli słyszeć piękną muzykę, ciekawe odczyty, różne przemówienia... i to z najrozmaitszych miast, w różnych językach... Zresztą objaśnię wam to dokładnie jutro na lekcji.

Krysia słuchała z zajęciem słów swej nauczycielki, ale wyraz niedowierzania odbijał się na jej twarzy.

Nazajutrz w szkole było wielkie poruszenie. Rozeszła się już wieść o takim nadzwyczajnym „pudełku”, w którym będzie „grało” i „gadało”. Ale to nie będzie gramofon taki, jaki ma Rybak, najbogatszy gospodarz sąsiedniej wsi, ale coś zupełnie innego... Pani na lekcji ma objaśniać, co to za pudełko... Wiadomo tylko, że nazywa się „radio”.

Z roziskrzonymi oczami słuchały dzieci objaśnień nauczycielki, oczekując z bijącym sercem, rychło li pani pokaże to cudowne pudełko.

87

Lecz pani nie pokazała radia, ale powiedziała, że będzie potrzebowała do pomocy przy założeniu anteny kilku chłopców... Kto się zgłosi na ochotnika?

— Ja! Ja! Ja!

Wszystkie ręce podnosiły się do góry! Wszyscy chłopcy wyrazili gotowość pomocy.

— O... Czy to tylko chłopaki umieją pomagać? A my to niby co gorszego? — dopominały się dziewczęta.

Ale nie tylko dzieci okazywały nadzwyczajne zainteresowanie radiem; gdy bowiem zapadł mrok i skończyły się zajęcia codzienne, do skromnego pokoiku nauczycielki wsuwać się zaczęli jeden za drugim gospodarze wsi Szczęśliwej.

— Pochwalony...

— Na wieki wieków... A co tam nowego?

— E... nic! Tylko wedle tego „radia” czy jak go tam zwać... Tak się zaczynała rozmowa z każdym kolejno.

— Bo to dzieciaki, jak to dzieciaki... Głupie, nie umieją wyrozumieć wszystkiego, więc dziwy jakieś plotą.

— A co mówiły?

— Et! Baję różne. Niby że tu będzie takie pudełko, w które przez druty będą gadać i grać — z samej Warszawy!

— Żeby tylko! Moja dziewczucha bajała, że i z innych krajów gadać będą...

— A jakże! A jakże! Z Anglii i Moskwy... i z samego Rzymu, gdzie Ojciec Święty mieszka...

— Tak! Tak właśnie opowiadają dzieciśka...

— A wy temu nie wierzycie?

Goście panny Józefiny zaśmiali się szeroko.

— Któż by zaś takim głupstwem wierzył! Nie pojęły dzieciaki, co pani nauczycielka mówiła i tyle!

— Otóż właśnie, że dzieci mówiły prawdę! Radio jest wielkim wynalazkiem, dzięki któremu możemy, siedząc u siebie w pokoju,

83

słyszeć muzykę, śpiew lub przemówienia z miejscowości, odległych o setki, czasem tysiące kilometrów...

Cisza zaległa w pokoiku nauczycielki. Mieszkańcy wsi Szczęśliwej spoglądali po sobie i skrobali się po głowach. W oczach ich malowało się niedowierzanie. Wreszcie jeden z nich, przezywany nie wiadomo dlaczego Sałatką, wystąpił nieco naprzód i zaczął mówić:

— Bez urazy paniusi... Ale coś tu jest nie w porządku. Wiem ja, że pani nauczycielka, choć jeszcze młodzieńka, mądra jest i uczona i ludziom w głowach kręcić by nie chciała... We wszystkie nauki pani nauczycielki uwierzę. Ale żeby po takim sobie zwyczajnym drucie jakiś tam Angliczanin ze swojego kraju tu do nas, we wsi Szczęśliwej, mógł gadać albo i śpiewać, albo grać — w to nigdy nie uwierzę!

— Ano! Przekonacie się! Przypuszczam, że już za kilka dni uda mi się złożyć moje radio! — z uśmiechem odparła panna Józefina.

— Głowę bym dał, że to się nie uda! — zawołał inny, zwany Chlebowcą, że to we wsi Szczęśliwej zwyczaj był taki, iż każdy prawie miał jakieś przezwisko.

— Co tam głowę! Ja tu pięć złotych kładę, że to się stać nie może! — krzyknął Prezes.

— 1 ja! I ja!

— No, co? Trzyma paniusia zakład? Jeżeli to „radio” czy jak go tam, będzie gadało i grało, po pięć złotych każdy przyniesie. A jeżeli nie — paniusia stawia nam wszystkim wódki! Zgoda?

Panna Józefina, ubawiona całą tą rozmową, wpadła na doskonały pomysł wykorzystania sytuacji.

— Na zakład się zgadzam! — rzekła wesoło. — Ale podam inne warunki. Jeżeli wy wygracie, wódki wam nie postawię, bo uważam wódkę za rzecz złą i szkodliwą, ale dostarczę każdemu dobrą książkę o gospodarstwie lub roli... Nie chcę też waszych pięciozłotówek,

89

jeżeli wygram... Ale będę od was żądała czego innego. Jeżeli radio przemówi do was żywym głosem, będziecie musieli doprowadzić do porządku wieś... Przekopiecie rowy, zasypiecie dziury i wyboje i rozpoczniecie w gminie starania o bruk.

— Z tym brukiem to już nas zaczepiali... Mówili, że jakby wieś nawiozła kamieni, to by bruk ułożyli...

— Tym lepiej! Więc zobowiązalibyście się do nawiezienia kamieni... Zgoda?

Nastąpiła chwilowa cisza, bo to ludzie wiejscy nigdy nie potrafili się na coś zdecydować, żeby nie pomedytować porządnie.

— A ja wam mówię, moi ludzie, że możemy się zgodzić bez obawy. Nikt tam nie będzie potrzebował rowów kopać ani kamieni wozić! Bo przecie taka rzecz — niby z tym radiem, całkiem jest niemożliwa! — zdecydował Sałatka.

— Więc przyjmujecie zakład? — przynagliła panna Józefina.

— Ano, przyjmujemy!

— Doskonale! — wesoło zawołała nauczycielka, wyciągając rękę do Sałatki, który w imieniu wszystkich obecnych zakład przyjmował.

Chlebowdawca ręce przeciął. Oj! Byłoż to, było gadania tego wieczora w chatkach wsi Szczęśliwej! Nigdy może nie spaliło się tyle nafty w małych, kopających lampkach i może po raz pierwszy w wieczornych gawędach nikogo nie obmówiono, nie powstała nowa ploteczka, nie przypięto łatki swoim najlepszym przyjaciołom! Wszyscy bez wyjątku zajęci byli radiem i całą uwagę pochłaniał zakład między nauczycielką a gospodarzami wsi Szczęśliwej.

I panna Józefina miała zaprzątniętą głowę radiem, nad założeniem którego rozpoczęła robotę zaraz na drugi dzień.

Na miejscu nasuwały się pewne trudności z uziemieniem i anteną, lecz wreszcie wszystko było gotowe i panna Józefina, zamknąwszy się w pokoju szkolnym, nie dopuszczając do siebie nikogo, nawet Krysi, po raz pierwszy próbowała aparatu.

90



Serce biło jej przy tym trwoźnie, a ręce drżały ze wzruszenia, gdy nastawiała po raz pierwszy aparat.

Bo radio we wsi Szczęśliwej to było coś więcej niż zwykła przyjemność słuchania pięknych koncertów lub zajmujących odczytów! To — wygrany zakład!

A wygrany zakład — to nie tylko wyreperowana droga! To coś znacznie więcej! To uzyskanie zaufania mieszkańców wsi, to możliwość kierowania nimi i prowadzenia ku lepszemu!

A przegrana? O! Młoda nauczycielka знаła mieszkańców wsi i wiedziała, jak trudno by jej było coś zrobić, gdyby próba jej się nie udała!

„Halo! Halo! Tu Polskie Radio Warszawa i wszystkie rozgłośnie

Polskiego Radia”.

— Hura! Zwycięstwo! — krzyknęła na cały głos panna Józefina, nie mogąc pohamować radości. — Krysiu! Krysiu!

Dziewczynka, która posłusznie siedziała w pokoju nauczycielki, skoczyła radośnie do drzwi.

— Gada? Gra? Śpiewa? — pytała zadyszczonym głosem.

O, bo Krysiu, mimo że wielu rzeczy nie mogła zrozumieć w tym nadzwyczajnym aparacie, całym sercem pragnęła, by jej nauczycielce udało się to, co chciała zrobić!

— Toż to dopiero ludziska dziwić się będą, jak w takiej zakopanej wsi muzyka będzie, granie i śpiewanie z Warszawy i z zagranicznych miast! Z innych wsi schodzić się będą! — myślała nieraz i wyobrażała sobie, z jaką to dumą mówić będzie:

— A co? Mądra moja nauczycielka? Oho! Ze świecą takiej szukać!

— Słuchaj! — mówiła panna Józefina, rozgorączkowana i zaczerwieniona z radości.

Dziewczynka słuchała. Początkowo ogarnęło ją wielkie zdumienie: więc doprawdy, doprawdy tu, z tego pudełka, z tej „trąby" wychodzą głosy ludzi, mówiących, grających, śpiewających gdzieś

91

tam, aż w Warszawie? I panna Józefina umiała sama to zrobić? Ach! Jakaż ona mądra!

I dziewczynka z niepomierłą dumą patrzyła na swoją panią, do której od razu przyłgnęło jej serduszko.

Ale po kilku chwilach uczucia te znikły, rozwiały się w coraz silniejszym zachwycie, który ogarnął Krysię. Duże jej oczy rozszerzyły się i błyszczały jak gwiazdy. Twarzyczka pobladła, a rozchylone usta drżały jakimś rozmodlonym szeptem:

— O! Jakie to piękne! jakie piękne!

Piękne, głębokie, pieściwe tony skrzypiec wypełniały izbę szkolną czystymi, jasnymi dźwiękami, które niby wonne płatki przedziwnie pięknych kwiatów zmieniały ją w jakąś zaczarowaną, przepiękną komnatę, w której wszystko lśniło złotem i diamentami. Miła, pogodna panna Józefina zmieniła się w jakąś przedziwną wróżkę w tęczy szatach, a Krysia — ach, Krysia była małą księżniczką w przepięknym pałacu, nóżki miała obute w złociste pantofelki, na główce złota przepaska...

— Krysiu!

Dziewczynka wzdrygnęła się, przetarła oczy.

— Krysiu! Co ci się stało? — pytała panna Józefina, patrząc z przestachem na bladą twarzyczkę dziewczynki.

— O... Dlaczego już nie grają?.. Dlaczego nie grają? — wybełkotała dziewczynka na pół przytomnie.

— Będą jeszcze grać! Teraz już co dzień będziemy słuchali muzyki — mówiła wesoło panna Józefina — O ile, naturalnie, dzieci będą grzeczne i będą się dobrze uczyły... No i droga przez wieś będzie zrobiona!

— Tak! Tak! — przytwardziła Krysia, ale myśli jej były jeszcze daleko, jeszcze nie mogła otrzeźwieć po tej muzyce, takiej pięknej, takiej innej niż wszystko, co dotychczas słyszała.

— Chyba tak grały te anioły, które zeszyły z obrazów, by sierotce dopomóc...

92

\* \* \*

Niepodobna opisać, co się działo we wsi Szczęśliwej, gdy zaproszeni przez nauczycielkę gospodarze po raz pierwszy usłyszeli, jak z czarnego pudełka wychodziła muzyka, która wędrowała do wsi Szczęśliwej aż z Warszawy! A potem — dziw nad dziwy! — rozległ się głos jakiegoś „Angliczanina” czy innego jakiegoś „cudzego”, który coś tam szwargotał nieznanym językiem!

— No! No! — kiwali głowami gospodarze, patrząc po sobie nieufnymi, trochę zdziwionymi i trochę rozradowanymi oczami.

Zawsze to przyjemnie coś takiego usłyszeć! Ale znów — licha wie, co to takiego?

Kobiety skłonne były nawet rzucić podejrzenie, iż w takim pudełku siła nieczysta mogła siedzieć i na pokuszenie ludzkie te śliczne śpiewki wyśpiewywać, ale energiczna Sychowa rezolutnie oświadczyła:

— A jakże! Toć przecież i ksiądz proboszcz takie samo radio sprowadza.

— Właśnie! Właśnie! — przytwardziły wnet inne i już nie było mowy o czarach czy złych siłach. Ale za to do późnej nocy gadali ludziska o tym dziwie, co może ludziom dużo radości dać.

— Powiedzta! Będziemy z miasta słuchać sobie różnych ciekawych rzeczy?

— I kto by to pomyślał! Ta nauczycielka —jeszcze dzieciuch, a taka mądra!

— A jak to wiedziała, czym ludzi sobie kupi!

— Aha! I ten zakład! Jak to z nim będzie, Sałatka?

— Ano, nie tylko ja tam byłem...

— Aleście namówili!...

1 kotłowało się tak koło tego grania, koło zakładu, koło tej drogi, co to jątrzą będzie naprawiać, ledwie że nie do pierwszego kura.

Panna Józefina musiała wyznaczać kolejkę, tylu było amatorów

93

/Uchania radia. A na niedzielę to nawet z innych wsi ludzie się /zraszali!

Dzieci szczęśliwieckie, wszystkie bez wyjątku, biegły teraz do sokoły z największą radością i prześcigały się w pilności i grzeczności, by zasłużyć na pozwolenie przyjsia „na radio”. O Petрку 1 Jego knowaniach nikt już ani mówił, ani myślał. Zresztą i sam etrek zniknął jakoś z oczu.

W chacie mało o niego dbali. Chłopak wychowywał się u stryja, Powieka starego, chciwego na grosz, na wszystko sobie i innym %jącego. Petrek dziedziczył po swoim ojcu połowę grantu i zabu-^wań, w których siedział jego stryj, Ślęzak — i słusznie należa-

mu się utrzymanie i przyodziewek, a także opieka, ale nie miał ^i jednego, ani drugiego, ani trzeciego!

Ła to miał swobodę! Nie było go po całych dniach w domu,

lepiej! Strawy mniej wychodziło, a o to przede wszystkim

^femu sknerze chodziło. Co robił, gdzie chodził, o to nikt się nie

troszczył.

Tak to rósł Petrek, prowodyr chłopaków wsi Szczęśliwej. Dziko,

-karnie, głodno, chłodno, ale w swobodzie zupełnej!

. Czy mu z tym dobrze było czy źle? Chyba że dobrze, bo nikomu

4&y się nie skarżył i zmieniać swojego życia nie chciał.

Ale samo się ono zmieniło, bez jego woli, a nawet przeciw eh

Cciom! Zaczęło ,się to powoli od czasu, gdy „znajda” podrastać

^Zęła. Małe to było, nędzne, chuchro takie, a na drodze mu nieraz ^Vało. A to nie rób tego! A to nie krzywdź słabszych! A to zostaw spokoju ptaszki! A to nie łap młodych zajączków! \* tak ciągle swoje trzy grosze wtrącała i dzieci, dotąd mu ślepo " Słuszne, buntowała! A dostępu do niej nie było przez tego psa Mąconego!

więc Petrek złość coraz większą miał do Krysi i odgrażał się, Jej kiedyś odpłaci za to!

Ale jeszcze więcej odmieniło się jego życie od przyjazdu tej ^czycielki! O! Petrek miał jakieś przeczucie, że z nią przyjdzie

94

do niego nieszczęście i dlatego tak się szykował, by jej obrzydzić pobyt we wsi! I gdyby mu się udała sztuka, tak sprytnie obmyślona, pewnie by jej nie było już we wsi Szczęśliwej.

Cóż, kiedy ta znajda wszystko popsuła! Petrek wzdygał się za każdym razem, gdy sobie to przypominał i ogarniał go okrutny, niepohamowany gniew, który kierował jego ręką, gdy strzelał do leżącego na progu Duga!

Ale znów od tej chwili stało się z nim coś dziwnego. Nie to, żeby złość zamarła, nie! ale powstała w nim niemoc jakaś i bezwola. Nie cieszył się z tego, że dokuczył znajdzie, lecz pragnął» by Dug nie zginął od jego kuli.

Dlaczego to zrobił, tego zrozumieć nie mógł. Nie rozumiał też, dlaczego pomógł nauczycielce, gdy jej pantofel ugrzązł w błocie.

Nie zrobił tego z przyjaźni, o nie! Całą duszą nienawdził tej młodej nauczycielki, która wprowadziła do wsi takie zamieszanie i jego, Petrka, usunęła od władzy. O, a teraz znów wymyśliła jakieś radio i nikt, ale to nikt nie troszczy się już o niego. Czasem tam który, gdy go wypadkiem spotka, zaczepi go, ale prawie zawsze zaczyna z tej samej beczki:

— Wiesz, Petrek! Pani nauczycielka to a to... Albo też nieśmiało:

— Petrek! Przyszedłbyś do szkoły... zobaczyłbyś, posłuchał... Wówczas Petrek zgrzytnąwszy zębami, zaklnie tak, że trudno

powtórzyć, pięścią pogrozi albo i przyłoży, jak się da, porządnego kuksańca chłopakowi i buch! w krzaki, że tylko bosa pięty widać!

Ale teraz silniejsze postanowienie dojrzało mu w duszy: rzucie wszystko i w świat wywędrować. Co się tu będzie gryzł i P° kątach chował, jak jaki zwierz dziki! Toć gospodarski synjest, a nie żebrak żaden.

I tak pewnego dnia, gdy stary Ślęzak był sam w izbie, stanął przed nim i spode łba patrząc, rzekł:

95

-A to potrzebne mi są pieniądze...

Stary sknera był tak zdumiony, iż w pierwszej chwili nawet nie wybuchnął gniewem, lecz jakimś ogłupiałym wzrokiem wpatrywał się w Petrka, ten zaś ciągnął dalej:

— Przyodziewku mi żadnego nie kupujecie... Obdarty jestem jak ten dziad pod kościołem... A toć należy mi się...

— Co ci się należy, ty nicponiu, ty darmozjadzie, ty leniu?! Baty ci się należą i tyle! Przyodziewy mu się zachciało nowej. Patrzcie go! A zapracowałeś to na nią? — pieniał się dotknięty w najczulsze miejsce Ślęzak.

Ale Petrek nie przestraszył się tego wybuchu.

— Należy mi się i strawa, i pomieszkanie, i przyodziewek, i pieniądze! — mówił ponuro, ale mocnym głosem. — Toć połowa gospodarstwa moja jest... Połowa gruntu i chałupy, i inwentarza...

Stary zeskoczył z ławy, na której siedział, i z zaciśniętymi pięściami podskoczył do chłopaka.

— A... ty... ty... Ja ci pokażę... Ja cię... — bełkotał, zsiniały z wściekłości.

Lecz Petrek i tym razem nie uląkł się.

— Co mówię, to mówię! i ludzie to wiedzą, i ja wiem. Zaprzeczyc mi nie możecie! — mówił tym samym ponurym, spokojnym głosem.

Ślęzak upadł na ławę, trzęsąc się z oburzenia, cały obłany potem.

— Nie dam, słyszysz? — grosza nie dam! Moje to wszystko! Moja praca! Mój trud! Moja krwawica! Nie dam! Nie dam!

Petrek powstał chwilę, patrząc złymi oczami na opiekuna.

— Dać musicie, bo to moje. A jak nie — sam wezmę! — burknął. Ślęzak znów się porwał i znów opadł na ławę. Piana mu wystąpiła

na zsiniałe wargi, bełkotał coś wściekle, ale Petrek już nie słuchał. Wykręcił się na pięcie i wyszedł z izby. Chociaż wiedział, że za nim jest słuszność i prawo, czuł, że nic tu nie poradzi; stary raczej

96

zarznąć się pozwoli, niżby miał dać mu pieniędzy. A przemocą brać nie chciał: toć to stryj i człowiek stary — nie można!

— O... Sam sobie dam radę! Zapracuję, uciufam... — postanowił chłopak i wyruszył w zarośla nad stawy, gdzie wprost roilo się od dzikich kaczek: tylko strzelać i brać! A strzelał Petrek wyśmienicie, na pewniaka, ze swej starej, powiązanej, gdzieś tam w tajemnicy kupionej dubeltówki.

— W mieście rozdrapią kaczki... Sprzedać mogę, ile zechcę — myślał chłopak, układając sobie plany na przyszłość. — Trochę się ogarnę i w świat pójdę, do Warszawy! A potem wrócę, na ojcowiznie osiądę i

pokażę dopiero, co to Petrek znaczy! — planował sobie, włóczęc się po grząskich, porośniętych sitowiem i tatarakiem moczarach i strzelając kaczki.

Za dawnych czasów całe gromady chłopaków uganiałyby się z Petrkiem po niebezpiecznych moczarach i trzęsawiskach, drąc ubrania, przemaczając buty, porzucając krowy na pastwiskach lub zbiegając od wyznaczonej im w domu roboty.

Obecnie jednak dzieciarnia nie myślała o niczym innym, jak o tym, jak by tu zasłużyć się najlepiej pani nauczycielce i otrzymać pozwolenie słuchania radia. A na to nie dość było sprawować się dobrze w szkole, bo pani nauczycielka pytała jeszcze, jak tam było w domu? Czy zrobili to, co do nich należało? A tak już jakoś weszło w zwyczaj, że żadne z dzieci ani pomyślało, by powiedzieć nauczycielce nieprawdę.

I może dlatego mniej jakoś było obecnie we wsi Szczęśliwej krzyków, wymyślań i przekleństw, a ludziska przyzwyczajali się do tego, iż można żyć bez ciągłej złości i pomstowań. Mniej też zajmowali się cudzymi sprawami, nie obgadywali się wzajemnie, a nawet największe plotkarki nie miały zbyt chętnych słuchaczy, gdy zaczynały opowiadać jakieś zmyślane historie.

O, bo nigdy nie było we wsi tylu różnych nowości, o których nie przestawano mówić we wszystkich chatach podczas coraz to dłuż-

## 6 Wieś Szczęśliwa

97

szych wieczorów jesiennych. A to nauczycielka, a to niezwykła lalka, a to postrzelenie Duga, a to znów to radio, no i ten zakład... Ba! Zakład, a właściwie przegrana, trochę niepokoił mieszkańców wsi Szczęśliwej. Jakże to? Drogę wyreperować? Toż nie lada praca, dużo zachodu, no i kosztów.

— Trza we gminie zameldować, że kamienie zwieziemy, na szarwark\* pójdziemy, a niech ta już resztę pan inżynier drogowy umyśli! — radzili praktyczniejsi gospodarze, którym uśmiechało się to, żeby droga była dobra, ale chcieliby to załatwić jak najmniejszym kosztem.

Co rozsądniej si gospodarze gotowi byli nawet ponieść jakieś ofiary, bo im już te błotniste topieliska gardłem wychodziły.

— Już nawet do kościoła trudno się dostać — uskarżały się gospodynie.

Mimo tego rozpaczliwego błota panna Józefina wybrała się w najbliższą niedzielę do kościoła, skorzystawszy z zaproszenia Sychowej:

— Niech ta pani nauczycielka pozwoli z nami do kościoła. Niedużo tam panienka zaważy, a koniska mocne — pociągną.

Kościół był w Boliszewie, wsi gminnej; utrzymany nadzwyczaj czysto i starannie przez dzielnego proboszcza, robił miłe wrażenie, mimo że był bardzo skromny, niemal ubogi, jak większość naszych kościołów wiejskich.

Wejście panny Józefiny wywołało w kościele pewne poruszenie. Ludzie tu znali się wszyscy i każda nowa twarz zwracała uwagę. Zaczęli więc trącać się łokciami i pytająco szeptać między sobą. Ale już przy wejściu zdążyła Sychowa szepnąć dość głośno:

— A to nauczycielkę z naszej wsi przywiozłam!

Więc zaraz między zebranim w kościele tłumem pobiegły szepty, towarzyszące pannie Józefinie przechodzącej środkiem.

\* szarwark - obowiązek dostarczania ludzi i sprzętu do robót publicznych, np. do budowy i naprawy dróg, nakładany przez państwo na ludność wiejską (zniesiony w 1958 r.), także praca w ramach tego obowiązku.

98

— O, patrzcie! Nauczycielka ze wsi Szczęśliwej! Jaka młodziutka! Dzieciuch prawie! Jak to to sobie radzi z dziećmi? Hale! Chłopaki ponoć nie chodzą do szkoły? Gdzie zaś! Wszystkie dzieci do szkoły chodzą! Podobno uczona bardzo? A jakże! A jakże! Radio założyła. Patrzcie ino!

Do panny Józefiny dochodziły te szepty, lecz mało co z nich chwyciła, gdyż myśl jej odbiegła w zupełnie innym kierunku.

Jakże dawno nie była już w takim skromnym, wiejskim kościółku! Ostatnim razem stała w tłumie tak, jak dziesiątki dzieciaków, trzymając się fartucha matuli, szepcząc pacierz, jak miała przykazane, lecz czarnymi, bystrymi ślepkami wodząc ciekawie wokoło! Była taka sama, trochę dzika, nieufna i głupiutka jak te dzieciaki przeprowadzające ją ciekawymi, przeważnie jasnymi oczami, i szepczące za swymi matkami:

— O... O! Nauczycielka ze wsi Szczęśliwej!

Rozległ się dzwonek; z zakrystii wyszedł ksiądz i stanął przed ołtarzem. Kilku chłopców w białych komeżkach klęczało na stopniach.

Panna Józefina dotarła do balustrady. Z oczami utkwionymi w obraz Matki Boskiej, wznoszący się nad ołtarzem, zaczęła się modlić żarliwie.

— Dopomóż mi, Panienko Przenajświętsza, w mej pracy nad tymi, z których wyrosłam i dla których tak gorąco bije moje serce. Pozwól, bym wydobyła z ich dusz wszystko to dobro, które drzemie ukryte i co z tych umęczonych pracą, znużonych ciemnotą ludzi może zrobić dzielnych, pożytecznych, świadomych swych obowiązków obywateli kraju!

Od chwili gdy we mnie, zahukanym, głupiutkim dziecku wiejskim, obudziła się świadomość, iż człowiek bez wiedzy, bez nauki zginie w wielkim świecie jak igła wetknięta w stóg siana, poprzysięgam sobie, iż zdobędę wiedzę po to, by ją nieść pod strzechy wiejskie, i oto, dzięki pomocy ludzi dobrych i szlachetnych, zdołałam dojść do wytkniętego celu. Znalazłam się między ludźmi,

6-

którym tak bardzo potrzebne jest światło wiedzy! Tyle, tyle tu zrobić można! Tak łatwo wypłenić zło, a zasiać dobro, które przyniosłoby stokrotne plony! Więc pomóż mi, Wielki Boże, w mojej pracy, pomóż, bym mogła z tej wsi, tonącej w błocie i ciemności, zrobić wieś, naprawdę — Szczęśliwą!

Zagłębiając w swej modlitwie, panna Józefina nie widziała nic koło siebie i obojętne jej były ciekawe spojrzenia, wciąż na nią zwrócone, lecz w pewnej chwili ocknęła się, usłyszawszy, jak gromadka kobiet podchwytywała zaintonowaną piękną, podniosłą pieśń: „Święty Boże!” Powoli przyłączały się do niej głosy męskie, trochę zachryple, leniwe. Podśpiewywały i dzieciaki. Każde w swoją stronę, jak najszerzej otwierając buzie, żeby każdy wiedział, że i one umieją śpiewać.

Aż nagle z fali surowych głosów wybił się jeden, dziecięcy, pozornie słaby, ale słodki i dźwięczny jak srebrny dzwoneczek, trafiający wprost do serca.

Panna Józefina z lekka przechyliła głowę w kierunku owego głosiku i uśmiechnęła się, gdy oczy jej napotkały miłą twarzyczkę Krysi, która, klęcząc obok starej Agnieszki, zapatrzona w jarzący się świecami ołtarz, śpiewała razem z innymi, uchwyciwszy właściwą melodię, majestatyczną i piękną.

Kilkoro dzieci ze wsi Szczęśliwej otoczyło Krysię i śpiewało z nią razem, starając się iść za jej głosem i w ten sposób wytworzył się jakby mały, oddzielny chór dziecięcych głosików, za którymi powoli zdawał się podążać i tamten drugi, dorosły. Pannie Józefinie oczy zaiskrzyły się radośnie. Coraz więcej przywiązywała się do dziewczynki, odkrywając w niej niezwykle zalety charakteru obok dużych zdolności i po prostu czuła się nieswojo, gdy Krysi koło niej nie było. Toteż wychodząc z kościoła, rozglądała się, by przywołać do siebie dziewczynkę.

— Moje uszanowanie pani! — rozległ się w tej chwili jakiś głos koło panny Józefiny. — Pani dziś sama, bez swej małej przyja-ciółeczki?

100

Nauczycielka poznała pana Stefana.

— Dzień dobry panu. Krysia była w kościele i dziwię się, że jej nie widzę. Widocznie poszła już...

— Ze starą Agnieszką? — przerwał pan Stefan z pewną jakby niechęcią w głosie. — Przecież ta rezolutna dziewczynka jest „Agnieszkowa”...

Panna Józefina chciała wyjaśnić, że właściwie Krysia jest tylko wychowanką starej Królaczki, lecz w tej chwili podjechała bryczka, zaprzęgnięta w parę ślicznych kasztanów, i pan Stefan zaproponował uprzejmie:

— Pani pozwoli, że ją odwiozę?

Pannie Józefinie uśmiechała się propozycja pojechania dobrym zaprzęgiem zamiast trzęsącym się wozem, ale bała się zrobić przykrość Sy chow ej, więc zaczęła się wymawiać:



— Zdaje mi się, że pan jedzie inną drogą? Nie chciałabym robić panu kłopotu.

— Ależ jedziemy w jedną stronę. Zboczę tylko trochę z drogi. Proszę, niech mi pani nie odmawia,

— Przyznaję, że chętnie bym pojechała ślicznymi kasztanami, ale nie chciałabym urazić gospodyni, z którą przyjechałam... — słabo broniła się panna Józefina.

Pan Stefan zaśmiał się wesoło.

— O... zapewniam panią, że nie będzie miała do pani pretensji. Panna Józefina już nie namyślając się, wsiadła do bryczki, lecz

przedtem rzuciła badawcze spojrzenie po tłumie, szukając Krysi.

Ale dziewczynki nie było nigdzie. Prawdopodobnie jest już w powrotnej drodze w gronie swoich rówieśniczek.

Lecz bystre oczy panny Józefiny omyliły się. Krysia, ukryta w fałdach spódnicy starej Agnieszki, śledziła z bijącym sercem każdy ruch nauczycielki i gdy spostrzegła jej błędzące spojrzenie, myślała radośnie:

— Szuka mnie! Zabierze mnie! Pojadę tymi ślicznymi końmi! Gdy jednak panna Józefina wsiadła do bryczki i konie ruszyły

101

dziarskim kłusem, serduszko dziewczynki ścisnęło się boleśnie, jakby ją spotkała jakaś ciężka krzywda.

Pojechały! Pojechały śliczne kasztanki bez niej! Pani nauczycielka zapomniała o niej!

C<sup>^</sup>żkie, gorzkie łzy zaczęły napływać do oczu dziewczynki, mimo że starała się powstrzymać.

^tara Agnieszka spojrzała parę razy na dziewczynkę i pokiwała smutną głową

~ Chodź, chudzino! Nie wypatruj ślepek za tymi ślicznymi końmi. Może ci kiedyś było sądzone takimi jeździć, ale widać Pan <sup>o</sup>S chciał inaczej i już ostaniesz taka biedotą, jak my wszyscy! <sup>o</sup>niła, gładząc jasną główkę Krysi.

O... nie patrzę wcale za tymi końmi! — rezolutnie zaprzeczyła KrySja? p<sup>o</sup>tykając ostatnie łzy, które już zdołała zdusić. ~ O<sup>t</sup>> tak tylko...

~ bobrze już, dobrze! Masz tu dwadzieścia groszy! Kup sobie c<sup>o</sup>erków i przybiegnij za mną. Ja idę już do domu.

u<sup>^</sup>ia Krysi rozpogodziła się. Rzuciwszy szybkie: „dziękuję!” P<sup>e</sup>lla w stronę kramiku z cukierkami, skinąwszy na Lotkę.

Chodź! Kupimy sobie cukierków! — zawołała wesoło, bo nigdy

długo smucić się nie umiała.

Włać jednak nie tylko Lotka usłyszała wołanie Krysi, gdyż Skądś Łjawify się i inne dzieci szczęśliwieckie, otaczając kołem swoją ŁryŁe Bajczarkę.

UziŁci wiedziŁły, że Krysia nigdy żadnego przysmaku sama nie zjadŁa, jecz rzetelnie się ze wszystkimi dzieliŁa, nie chciaŁy więc opuścić sposobności zjedzenia czegoś smacznego.

Ło Łrici wiejskie rzadko kiedy mogŁy sobie pozwolić najedzenie ciŁcier]f5Wj chociaŁby takich taniutkich, po groszu.

KrY5ia, stanŁwszy przed kramikiem, obrzuciŁa gromadkę ciekawym Wzrokiem:

jej! Tyle narodu! Czy aby starczy cukierkŁw!

102

I zaczęŁa liczyć, nie omijajŁc KaŁmirki, ktŁra choć znacznie starsza, czyhaŁa rŁwnieŁ na cukierka.

— Och! DwadzieŁcia dwoje! A cukierkŁw będe tylko dwadzieŁcia! — zmartwiŁa się Krysia.

— TakŁe zmartwienie! Nie dasz KaŁmirce! Bogata jest, moŁe sobie kupić.

— JadŁka teŁ moŁe nie dostać: taka duŁa! I gadaŁa na ciebie, ŁeŁ lizuch, Łe pani nauczycielce wszystko donosisz! — podszeptywaŁa jakaŁ inna dziewczynka.

Ale Krysia potrząsnęŁa przecŁaŁo gŁŁwkŁ:

— O... cukierki sŁ sŁdkie. Nie trzeba do nich gorzkoŁci! Jak wszyscy, to wszyscy!

I juŁ zamierzaŁa przepoŁowić dwa największe cukierki, by starczyŁo dla wszystkich, gdy wŁaŁcielka kramiku, ujeŁa miŁym wyglŁdem dziewczuszki, dorzuciŁa dwa cukierki.

— Na, masz! Teraz starczy i niech ci pŁjdzie na zdrowie!

— Bardzo dziękuje! — dygnęŁa Krysia, bardzo zadowolona, i caŁe towarzystwo w jak najlepszych humorach pobiegŁo drogŁ, ktŁrŁ ciŁgnęŁy juŁ do domŁw gromadki starszych.

Ale ledwie dzieci odeszŁy kawaŁek, rozlegŁy się ze wszystkich stron gŁosy:

— Krysiu, bajkę! Opowiedz, Krysiu, bajkę!

Krysia nie odpowiadaŁa. Jej błękitne oczy przywarŁy do koleiny, wyraźnie odznaczajŁcej się na błotnistej drodze. ByŁa szersza niŁ inne. To bryczka tędy jechaŁa i te śliczne kasztany...

Chwilowe oŁywienie, spowodowane kupnem i rozdawaniem cukierkŁw, minęŁo. ZrobiŁo jej się znŁw bardzo smutno. Łłociste kasztanki sŁ daleko, daleko... Ach! Jak prędko biegnęŁy, jak ślicznie potrząsaŁy zgrabnymi łębkami z biaŁymi strzaŁkami na czoŁach.

— Krysiu! Opowiedz bajkę. Tak dawno nie opowiadałaś nic! — prosiły dalej dzieci.

— O! Bajczarka nie ma teraz czasu na bajki! Toć ona cała

103

gospodyni u pani nauczycielki! — ze złośliwą nutą w głosie rzuciła Kaźmirka.

— Już ozorem mieiesz! A po cukierek to sięgałaś! — zgromiła ją ostro Lotka, a inne dzieci natychmiast przytaknęły.

— Bo i prawda! Jak do cukierków, to słodka! A jak co, to gada na Krysię niestworzone rzeczy!

Kaźmirka przymilkła, a dzieciaki znów w prośby uderzyły:

— Opowiedz! Do wsi kawał drogi, a jak będziem słuchać, to migiem droga przeleci!

— O królewiczu! O zbójach! O czarownicy! O sierotce! O Babie -Jadze — sypały się obstalunki\*.

Krysia zdawała się nie słyszeć prośb, a jej błękitne oczęta, utkwione przed siebie, jakby za czymś gonily, czegoś wypatrywały. A gdy zaczęła mówić, to więcej chyba dla siebie niż dla dzieci.

„Hej! Żyła sobie jasna królowna u swego tatula, króla wielkiego a możnego! Żyła szczęśliwie, kwiatki kochając, z ptaszkami się zabawiając, piosenki śpiewając i ludziom dobro świadcząc.

Żadnych trosk ni zgryzot nie miała, więc też ciągle się uśmiechała, a dla każdego dobre słowo miała.

Kochali ją też wszyscy, oj, kochali! A już najwięcej to sam stary król! Oczy za nią wypatrywał, a swoim słończkiem najmilszym nazywał i tylko myślał o tym, czym by swoją córuchnę najmiej szą ucieszyć, jak by jej dar najlepszy złożyć.

Więc bez liku miała królowna szat pięknych, drogich łańcuchów i pierścieni, zabawek przeróżnych, zamorskich ptaków i zwierząt przedziwnych. Ale królowna ponad wszystkie stroje, ponad kosztowności i zabawki miłowała swoje złote kasztanki, które od maleńkiego źrebięcia wyhodowała. I one kochały swoją królownę i znały ją tak, iż niechby ją daleka zobaczyły, zaraz rżały radośnie i ślicznymi, cienkimi nóżkami grzebały niecierpliwie!

Szczęśliwie, ach, jak szczęśliwie rosta więc sobie jasna królowna

" obstalunek - zamówienie.

104

na królewskim dworze. Ale ponoć nie ma na świecie szczęścia wiecznego, więc i dla małej królowny nadeszły ciężkie chwile!

Oto, gdy raz biegała po królewskim parku bawiąc się, nagle opadła na jej jasną główkę jakaś płachta, jakieś ręce pochwyciły ją i objąwszy uniosły, tak że nawet krzyknąć nie zdołała!

Gdy na zamku spostrzeżono brak królowny, wszczął się lament, krzyk i zamieszanie! Stu gońców rozbiegło się na wszystkie strony zaginionej szukać, a królewscy wystawnicy ogłaszali wielkie nagrody dla tego, kto by królownę odnalazł lub choćby ślad po zaginionej wskazał!

Wszystko jednak na próżno: królowna jakby w wodę wpadła i nikt nic o niej nie wiedział.

A królowna była w wielkich królewskich borach. W największym gąszczu, pośród moczarów niedostępnych mieszkała zła wiedźma. Ona to pochwyciła królownę i przyciągnąwszy do swej czarnej, brudnej chaty, na bartóg\* ją rzuciła, mówiąc ze złym śmiechem:

— Zdejmij swoje królewskie szatki, bo już nigdy królowną nie będziesz! W łachmanach chadzać będziesz i przy drodze siedząc rękę po grosz wyciągać! A jak mało zbierzesz, to ci i kija nie oszczędzę!

Biedna królowna, wystraszona, ledwie żywa, płaczem wybuchnęła, a wiedźma jej zaraz dzban gliniany podstawiła mówiąc:

— Płacz a płacz! Łzy twoje potrzebne mi do czarów! Sto takich dzbanów napłakać mi musisz, a wtedy cię z niewoli wypuszczę! A już ja potrafię cię zmusić, by ci dużo łez z oczu płynęło!

I płynęły, płynęły łzy z jasnych oczu biedaczki, w której wkrótce nikt by już ślicznej, strojnej, zawsze uśmiechniętej królowny nie poznał!

Nie ustawał stary król w poszukiwaniach, nie przestawał ogłaszać wysokich nagród, ale już mało kto miał nadzieję, że królowna

\* bartóg - nędzne, nieporządne poślanie.

105

się odnajdzie, a biedny król ze zmartwienia pochylił się ku ziemi i całkiem posiwiął.

Tęskniły za królowną i złote kasztanki; posmutniały, nie chciały nic jeść i w końcu tak zbiedniały, że aż przykro było na nie patrzeć. Więc kazał je król do końskiego doktora zaprowadzić.

Wziął Maciej, stangret królewski, kasztanki i pojechał. Przyszło mu jechać drogą, przez bór prowadzącą. A właśnie przy tej drodze leżała w rowie biedna, mała królowna, obecnie jak najbiedniejsza żebraczka obdarta, wychudła, zabłocona i szcerniała.

Leżała w rowie, bo już sił nie miała, choć sakiewka, z którą ją na żebrzy wiedźma wysyłała, jeszcze pusta była. A tu tylko patrzeć, jak się okrutnica jedna gdzieś z krzaków pokaże i nuż katować ją pocznie, że nic nie uzebrała!

Oj! Doloż, doloż nieszczęśliwa!"

Już między gromadką dzieci wszczęły się pociągania noskami a pochlipywania, co oznaczało, że bardzo się losami biednej królowny turbują\*.

Ale Kryśka, zwykle wrażliwa na zachowanie się słuchaczy, dziś nie zwracała na to najmniejszej uwagi i mówiła dalej, ciągle jakby dla siebie:

„...A tymczasem drogą leśną biegną złote kasztanki. Choć wychudłe i wynędzniałe, ledwie nogami ziemi dotykają, tak pędzą, a pędzą. Nozdrza rozdęte, uszy nastawione, jakby coś czuły, czegoś nasłuchiwały.

— A wam co się znów stało? — wołał Maciej, próżno starając się konie utrzymać. — Widać choroba tak je zмага i pędzi przed siebie! Byle ze zmęczenia nie padły, bo król jegomość nowe by miał zmartwienie!

Słyszy królowna, jako żebraczka w rowie leżąca, tętent jakiś i serduszko bić jej zaczyna, choć sama nie wie czemu. Toć przecie tak często jakiś pojazd przejeżdża, a nigdy jej to tak nie wzruszało.

\* turbować się - martwić się.

106

Z początku próbowała zachodzić drogę i zatrzymawszy konie, prosić o pomoc, opowiadając swą dolę, lecz nikt w obdarłej żebraczce nie poznał królowny, a mało kto mógł wyrozumieć, co mówiła, bo wiedźma naumyślnie mowę jej poplątała, żeby się nie wydało, że to właśnie zaginiona królowna.

Więc zaniechała w końcu, biedna, ludzi swoim losem wzruszać, jeno pokornie rączki wyciągała, o jałmużnę prosząc.

Ale teraz ten tętent wpadł jej do uszu, jakby muzyki jakiejś przepiękne granie! Z trudem wygramoliła się z rowu i przy drodze usiadła, oczy przed siebie wypatrując.

I nagle — Panienko Najświętsza! — co widzi? Tuman kurzu, a w nim — któż to pędzi? Koniki jej! Kasztanki złote!

Pędzą, pędzą. Są już blisko... tuż, tuż koło niej...

Chciała krzyknąć królowna, zawołać na swoje konie, ale jej mowę coś odjęło, za gardło ścisnąwszy, więc tylko ręce obie wyciągnęła na powitanie swoich miłych koników.

A te nagle zaryły się w ziemię i ani rusz z miejsca.

— Co je znów opętało? — dziwił się Maciej, a spostrzegłszy żebraczkę, krzyknął ostro: — Z drogi, mała, bo mi konie straszysz! Masz tu grosz i wynoś się co prędzej! A wy, kasztany, jazda!

I rzuciwszy grosz w wyciągnięte ręce niepoznanej królowny, śmignął batem nad kasztanami, żeby je postraszyć, bo nie wolno było uderzyć kasztanów królowny, ale konie nie ruszyły.

— Czy was co urzekło? — złościł się Maciej i śmigał batem, i lejcami szarpał.

A konie nic!

Więc wreszcie, że to raptus był, tak się rozeźlił, iż zapomniawszy o zakazie, z całej siły kasztany batem dzielił.

Nie znały, co to bat, królewskie kasztany! Dwie grube pręgi wystąpiły na złocistej skórze, a konie porwały się jak oszalałe i pognały, że i wichur by ich nie dogonił!

— Moje konisio! Moje kasztany złociste! — załkała królowna, a grube łzy, jakby sznury peret, po buzi jej się potoczyły.

107

A tu zaraz gdzieś zza krzaków wiedźma wyszła i dzbanek jej podstawiła

— Płacz, a płacz! Wiele mi twoich łez potrzeba, bo czarów dużo czynię! -^\_ sepleniała bezzębna baba, rechocząc złym śmiechem.

A kasztany gnały, ziemię kopytami rozpryskując i kurzu wielkie tumany Wzbijając, że jak w obłoku szarym całe były.

Ledwie utrzymać je mógł Maciej, zestraszonym głosem nawołując,

a Uspokajając, bo już mu i tchu brakowało.

— Koksio moje! Kasztany moje złociste! — zawodziła królowna, a wiatr szioch jej podchwycił i poniósł aż do szalejących w biegu koni.

Ludzie może by i nie zrozumieli tego wołania, że to królowna mowę pomyloną miała, ale kasztanom już głos znajomy do uszu wpadł i Znów, jakby je kto zaczarował, zaryły się kopytami w ziemię i stanęły, rżąc z cicha i nozdrza rozdymając.

— Ani chybi, ta mała żebraczka czar na nie rzuciła! — martwił się Maciej. — Gotowe mi paść po drodze!

Za uzdę je wziął, głaskał i pieściwymi słowami do spokoju namawiał, ale konie parskały, łbami rzucały i w tył się rwały, aż Maciej, całkiem już sobie rady nie dając, o pomoc wołać począł.

Na szczęście przechodzili właśnie ludzie, więc zaraz do koni skoczyli, po pięciu u każdego pyska się uczepiło i trzymają.

Kasztany łbami do góry rzuciły, jak gruszki z drzewa strząsając trzymająCyCn je ludzi. Potem zawróciły i jak wichur w powrotną drogę się puściły, że tylko złociste podkowy w słońcu błyskały.

A zła \wiedźma ciągnęła królownę w gąszcze nieprzebyte dogadując, a tykpiwając, rada, że z błękitnych oczu biedaczki łzy obficie do dzbana spływały.

— P^acz, a płacz! To jedno ci jeszcze zostało! Do ludzi nigdy me wróciSZi a choćbyś i wróciła, nikt cię nie pozna, tak cię niedola i zgryzota\* zmieniły!

zgryzotą - wielkie zmartwienie, troska.

108

— Konisie moje! Moje kasztany złociste! — zawodziła wciąż królowna.

— Wołaj, wołaj! Ani cię usłyszą, ani cię dopędzą! Prawda! One cię poznały, że to w zwierzu często serce czulsze jest niż w ludziach. Ale nie trafią one za tobą w te gąszcze! Nie przemkną pośród tych olbrzymów leśnych, co drogę co chwila przestępują! — rechotała złym śmiechem wiedźma.

Ale co to? Tętent jakiś gwałtowny, aż ziemia dudni, a trzask łamanych gałęzi rozlega się echem po całym borze.

Wiedźmie małe, złe oczka błysnęły niespokojnie. Szarpnęła królownę gwałtownie i pod krzak ją wepchnęła, a sama przy krzaku usiadła, płachtą go osłaniając.

Próżno wrywała się królowna, próżno chciała się spod krzaka wydobyć; wiedźma kościstą ręką trzymała ją mocno, żarzące jak ognie oczka na zwiady we wszystkie strony wysyłając.

Tętent się zbliżał! Wiedziała już królowna, że kasztany jej szukają. Wiedziała o tym i wiedźma, lecz pocieszała się, że konie nie dostrzegą ukrytej królowny i dalej pobiegną.

Gałęzie trzeszczały, ziemia dudniła coraz silniej, aż w gąszczu ukazały się dwa łby złociste i oto kasztany, przesadziwszy olbrzymi pień powalonego drzewa, stanęły przed wiedźmą, wyrzucając z nozdrzy kłęby pary, chrapiąc groźnie i tłukąc kopytami ziemię.

Baba sięgnęła do torby, chcąc wyjąć ziele czarodziejskie, siłę odejmujące, ale już jąpochwyciły silne zęby jednego z kasztanów, w górę uniosły i w bok odrzuciły.

W tej chwili królowna wyrwała się z oplatających ją gałęzi i ręce wyciągnąwszy, krzyknęła głosem, pełnym radości:

— Kasztany! Kasztany moje!"

Było to zwyczajem Krysi, że gdy bajkę opowiadała, zmieniała się w różne osoby, o których mowa, udając głos lub naśladowując ich ruchy.

I teraz ostatnie słowa krzyknęła głośno, jakby rzeczywiście zobaczyła owe kasztany złociste i wyciągnęła ręce przed siebie.

109

Dzieci powiodły oczami w tym kierunku i znieruchomiały z podziwu: na wprost pędziła para kasztanów, połyskując lśnącymi w słońcu złocistymi grzywami!

Po chwili dopiero, gdy się lepiej wpatrzyły, poznały, że nie są to owe konie z bajki Krysinej, lecz kasztany, którymi pojechała nauczycielka.

Pan Stefan, zobaczywszy skupioną gromadkę dzieci, zatrzymał konie.

— Czy jest tu z wami Krysia Agnieszkowa? — zapytał, rozglądając się po dzieciach.

— Krysia Bajczarka? A jest — odpowiedziały dzieci.

— Bajczarka? A dlaczegoż to tak ją nazywacie?

— Bo bajki opowiada.

— Tak? A ładne są te bajki?

— O!... — rozległ się pełen uznania zgodny chór głosów.

Tylko Kaźmirka, która śmiało wysunęła się naprzód, prezentując swe nowe buciki, wydeła wzgardliwie wargi, mówiąc lekceważącym tonem:

— Niezgorsiate! Jeno nie bardzo uczone. Wiadomo, nieedu-kowana, tyle co z siebie umie, że to znajda jest...

Ale pan Stefan nie usłyszał ostatnich słów, gdyż zobaczył już kryjącą się za dziećmi Krysię i zapytał:

— A gdzież się to chowała? Szukaliśmy cię z panną Józefina.

— Z Agnieszką byłam! — odparła Krysia cichym głosikiem.

— A szkoda! Chciałem cię przewieźć tymi kasztanami, które tak ci się podobały!

Pan Stefan pożegnał dzieci i odjechał, a Krysia stała ciągle jak urzeczona na tym samym miejscu. Szkoda! Ach! Szkoda.

— Chodź, Krysiu! — pociągnęła ją Lotka.

— Opowiadaj dalej. Co się stało z królowną? — dopominały się dzieci.

110

Lecz Krysia szła milcząca, zadumana i nie zważała na prośby swoich słuchaczy. Myślą była daleko, daleko...

Zbliżano się już do wsi. Droga stawała się coraz bardziej błotnista i trzeba było używać najrozmaitszych sztuk, by uniknąć zdradzieckich kałuż. Dzieci musiały bardzo uważać i dlatego zapewne przestały nalegać na Krysię, by opowiedziała dalsze losy królowny i jej kasztanów.

Nagle rozległ się strzał.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę niewielkich wzgórz, przed którymi rozciągały się niby łąki, a właściwie mokradła, poprzecinane groblami, okalającymi niegdyś stawy, które zajmowały całą tę przestrzeń.

— To Petrek!

— Pewno, że on! Całymi dniami i nocami włóczy się za kaczkami. Oj, nabił ich, nabił!



— A co on z nimi robi?

— Wiadomo. Wozi do miasta i sprzedaje. A za te pieniądze do miasta chce na naukę. Do Warszawy.

Krysia, która dotąd dość obojętnie słuchała, nastawiła uszu. Więc Petrek miał zamiar porzucić wieś Szczęśliwą? Do miasta na naukę chciał iść?

— Toć przecie Petrek niebiedny jest! Ma grunt i pół chałupy! — zauważyła jedna ze starszych dziewczyn.

— Ma za co jechać do miasta.

— To prawda! Ale co z tego, jak mu stary Ślęzak nic dać nie chce.

— Wiadomo! Skąpy jest! — z przekonaniem rzekła mała Florka, mająca minę dorosłej kobiety.

Krysia już nie słuchała dalszej rozmowy. Uderzyła w nią wiadomość, że Petrek wybiera się do Warszawy na naukę, i rozbudziła często pojawiającą się tęsknotę za dalekim, innym światem.

Szczęśliwy Petrek! On dopnie swego. A ona? Gdzież tam jej, małej, głupiej dziewczyninie marzyć o tym!

111

Dochodzili już do szkoły. Z daleka widać było stojącą w otwartych drzwiach nauczycielkę, wyglądającą na drogę.

— Czeka na mnie! — pomyślała Krysia i miłe ciepło napłynęło do serduszka, odgarniając wszelkie chmurne i niespokojne myśli.

— Kysiu! Kysiu! Chodź prędzej! — wołała panna Józefina, spostrzegłszy dziewczynkę. — Nie mogę sobie poradzić z Du-giem!

Krysia jednym skokiem była w izbie, w której niespokojnie rzucał się Dug, skowycząc cicho i żałośnie.

Straszna myśl przemknęła przez głowę dziewczynki: Dug jest chory, może otruty!

Podbiegła do psa, przemawiając doń pieszczotliwie:

— Dug! Pieseczku! Co ci jest? Czy cię kto skrzywdził? Dug! Co ci się stało?

Pies w odpowiedzi wysmarował szerokim językiem buzię dziewczynki, ale się nie uspokoił. Wyjął podbiegł do drzwi i zaczął w nie skrobać łapą.

— Nie wypuszczaj go! Jest taki podrażniony... Ucieknie!... — mówiła panna Józefina.

Ale Krysia pokręciła główką.

— Dug jest mądry. Nie ucieknie... Wygląda tak, jakby chciał coś powiedzieć.

— I ja ciągle miałam wrażenie, że chce coś powiedzieć. Patrzył mi w oczy, skomlał, dobiegał do drzwi, wracał. Jakby prosił, żeby iść z nim. Ale bałam się go wypuścić przed twoim powrotem.

— Trzeba mu otworzyć! — zdecydowała Krysia. — Zobaczymy, co zrobi.

Zaledwie dziewczynka otworzyła drzwi, pies rzucił się w nie i pobiegł przez pola w kierunku zarośli, poza którymi rozciągały się zapuszczone stawy, błota i bagniska.

— Otóż widzisz — uciekł! — rzekła panna Józefina.

— On tam czego szuka! — zaniepokojonym głosem odpowie-

112

działa Krysia. — Nie pamiętam, żeby Dug był kiedy tak niespokojny jak dzisiaj.

— Dug! Dug! — próbowała wołać za psem. Dug się nie zatrzymywał; sadził wielkimi susami prosto przed siebie, aż zniknął za krzakami.

— Warto by iść za nim! — rzekła panna Józefina.

— Ale! Gdzież tam! Nie możemy przecież iść tak na przełaj jak Dug. Ugrzęźłybyśmy w zoranej ziemi... A drogą daleko... Zresztą tam właściwie nie prowadzi żadna droga. Idzie się, jak kto potrafi... A po ciemku to nawet najlepiej znającemu te zarośla strach iść, bo rozmokłe i można się zapaść...

— Czy Dug kiedy odbiegał od ciebie na dłużej? — pytała panna Józefina, coraz bardziej zaniepokojona dziwnym zachowaniem się psa.

— Nigdy! I dlatego właśnie boję się! — drżącym głosem odparła Krysia.

— No, bać się nie ma czego! Przecież Dug nie zapadnie się w błoto i nic mu się stać nie może! — próbowała uspokajać dziewczynkę panna Józefina, ale i ona nie mogła się opędzić różnym podejrzeniom, które przebiegały jej przez głowę. A może Dug się wściekł? Pies przed atakiem wściekły ucieka od tych, do których jest przywiązany, by ich nie pokąsać!

— Chodźmy do domu! — rzekła, obejmując strapioną dziewczynkę. — Duga już nie widać, a robi się chłodno. To już jesień przecież; dni krótkie, wieczory zimne.

— Pobiegnę do Agnieszki! — szepnęła Krysia zdławionym głosem. — Może ona co zaradzi.

— Dobrze. Tylko wracaj, bo będę niespokojna. Najlepiej przyprowadź Agnieszkę tutaj. Razem może coś prędzej umyślimy.

Gdy Krysia pobiegła przed siebie, panna Józefina wróciła do swego pokoiku, starając się zająć cokolwiek, by zagłuszyć niepokój. Ale jakoś nie mogła nic robić. Wzięła do ręki książkę, lecz czytanie nie szło: co chwila między literami ukazywał się

7 Wieś Szczęśliwa

113

mądry łeb Duga, to znów migają wylęknione, błękitne oczy Krysi, a w treść zajmującej książki wplątywały się pytania: dokąd pobiegł Dug? czym był tak zaniepokojony?

Toteż ucieszyła się, gdy za drzwiami rozległy się jakieś szmery, szuranie nogami i pochrząkiwanie, nieomylny znak, że ktoś z mieszkańców wsi Szczęśliwej idzie w odwiedziny do pani nauczycielki.

Odwiedziny te nie były nigdy bez przyczyny, utarł się bowiem zwyczaj, iż do nauczycielki zwracano się z wszelkiego rodzaju interesami i sprawami. Czy to żrebak poranił się o drut kolczasty, czy prosiak zachorował, czy dziecko dostało gorączki, jak w dym do pani nauczycielki. A panna Józefina przywoływała w pamięci wszystko, co wiedziała o leczeniu zwierząt, błogosławiła w duchu niemal codziennie Dobrą Panią, która ją namówiła na uczęszczanie na kursy pielęgniarskie, i leczyła, radziła, wysłuchiwała skarg, godziła lub pocieszała.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków. A z czym to Pan Bóg prowadzi?

Gość milczał, lecz jego chytre oczy przebiegały szybko z przedmiotu na przedmiot, przeskakując z nich na twarz nauczycielki, to znów uciekając pod powieki z rzadkimi, prawie białymi rzęsami.

I panna Józefina pilnie przyglądała się swojemu gościowi, bo często z wyglądu już wnioskowała, z czym przychodził. Ten był u niej po raz pierwszy i robił niemiłe wrażenie. Ubrany dostatnio, był jednocześnie brudny, zarośnięty, a z twarzy biła chytra i nieufność.

— A to wedle\* szkoły ze skargą przyszedłem — rzekł po chwili, świdrując nauczycielkę byстрым spojrzeniem.

— Ze skargą? A na kogo?

— Niby na panią nauczycielkę...

— Na mnie? A o cóż to? — pytała zaciekawiona panna Józefina.

— A to niby tak. Jeżeli jest szkoła, to dzieci powinny do niej

\* wedle - według, tu: z powodu.

114

chodzić... A jeżeli nie chodzą, to znaczy, że pani nauczycielka jest winna.

— Jak to?

— Ano, prosto! Jak jest nauczycielka czy nie przymierzając nauczyciel, to powinien przypilnować, żeby wszystkie dzieciaki do szkoły chodziły. Na to my przecież za tę szkołę płacimy, na to ostatni grosz dajemy, od gęby sobie kawałek chleba odbierając! — mówił, łyskając oczami i śledząc wrażenie, jakie jego słowa zrobią na młodej nauczycielce.

Ale ta, zupełnie niezastraszona, spokojnym głosem zapytała:

— To wasze dzieci do szkoły nie chodzą?

— Ja tam dzieciaków nie mam. Jenó tego nicponia, Petrka... Nie mój on, tylko bratowy. Ale że sierotą się opiekuję, więc żałość mnie bierze, że chłopak się marnuje, do szkoły nie chodząc.

— Aha! Wy jesteście Ślęzak, Petrkowy stryj? Dobrze, że przyszlście, bo już dawno pora, żebyście wytłumaczyli, czemu to Petrka do szkoły nie przysyłacie.

— Jakże to? Ja go mam przysyłać? Ki ej on nie chce... poradzę mu ja to... Albo i moja to sprawa... Od tego jest pani nauczycielka... Ona moc mieć powinna, żeby dzieciaki do szkoły przywołać, żeby się nie bałamucyły\*. Słychana to rzecz... Chłopak do szkoły iść nie chce, a do miasta na naukę się wybiera... A niechby se tam poszedł, ale ten nicpoń pieniędzy chce, że to mu się niby należą... A wszystko bez to, że pani nauczycielka do szkoły go nie ściągnie... — rozgadał się Ślęzak, coraz to podnosząc głos, jakby chciał zastraszyć młodziutką nauczycielkę. — Więc ja tu po dobroci przychodzę, żeby pani nauczycielka na to zaradziła... Bo jak nie, to jakim dobry, ze skargą pójdę... — ciągnął dalej, coraz groźniej łypiąc oczami.

— Ze skargą? A dokąd to? — wciąż niezastraszona pytała panna

Józefina.

' bałamucić się - tu: marnować czas, próżnować.

115

— A do wójta... Albo i do samego pana starosty... Tak! Tak! Powiem, że taka nauczycielka, co dzieci do szkoły nie ściąga, nic warta; że jej nie chcemy i niech nam dadzą inną albo i nauczyciela, co twardą rękę ma — niemal już krzyżąc, mówił Ślęzak, bardzo rad z siebie, że tak wszystko dobrze wykoncytował\* i że tę „małą" zastraszył.

Jednak nauczycielka nie wydawała się zastraszona, tylko jej uśmiechnięte dotąd oczy pociemniały i jakieś ogniki w nich się zapaliły.

— Przede wszystkim proszę nie krzyżać! — rzekła nakazująco. — A po wtóre, proszę posłuchać: rodzice czy opiekunowie, którzy dzieci do szkoły nie posyłają, odpowiadają to i płacą karę. Więc nie pan na mnie skarżyć będzie, aleja zawiadomię, że chłopca do szkoły nie posyłacie...

— Jak to? I karę płacić mam?

— A naturalnie! Takie jest prawo.

Ślęzak łypał oczami na wszystkie strony. No, no! Ta nauczycielka, ten dzieciuch, twarda była i mądra! Zamiast ją nastraszyć, mógł biedę na siebie ściągnąć. Więc popróbowwał z innej beczki i przybierając żałośliwy wyraz twarzy, zaczął płaczkliwym głosem:

— Oj, ty chłopie biedny! Oj, ty wierzbino przydrożna! Każdy cię krzywdzi, każdy ci gałęzie łamie, a ty cierp, biedaku! Znikąd dla ciebie zmiłowania, a z każdej strony lezie nieszczęście i dalej po łbie walić! Oj, ty biedna, nieszczęśliwa drzewino!

Patrzył spod oka, spodziewając się, że jego żalosne przemówienie wzruszy nauczycielkę, ale ta śmiała się tylko i nic!

— Nie ma się na co uskarżać! Wierzbina — drzewo silne i trwałe: nic go nie zmoże! I chociaż niejedną gałąź jej odłamią, rośnie sobie i wciąż nowe pędy puszcza. A panu też żadna krzywda się nie dzieje!

— Jakże?! A z tą karą?!

' wykoncypować - żartobliwie: wymyślić, wykombinować.

116

— Toć jej jeszcze niema. Można by jakoś zaradzić...

— Oj, paniusiu najmiłsza! Więc radźcie! Nie darmo ludzie mówią, że paniusia choć taka młodziutka, mądra, jak sam król Salomon! — pokornym, przymilnym głosem prosił Ślęzak, znowu z innej beczki zaczynając.

— Widzi pan! Ja bym radziła chłopaka do miasta puścić... — zaczęła poważnym głosem panna Józefina, ale Ślęzak przerwał jej, zaperzywszy się jak indyk, gdy mu co czerwonego pokażą:

— To niemądra rada! Właśnie! Chłopaka do miasta! I pieniądz mu dać! Moją krwawicę! Mój pot krwawy! Niedoczekanie! — krzyknął, a twarz jego stała się czerwonosina.

— Czekajcie! Czekajcie! Nie gorączkujcie się! — spokojnie mówiła dalej panna Józefina. — Rozważcie sobie dobrze. Jak chłopak we wsi zostanie, ciągną biedę z nim mieć będziecie. Naprzód kara za nieposyłanie do szkoły... Potem z tą dubeltówką... Za nią to już kara duża... Kilkaset złotych za niedozwolone używanie broni.

— Co?... I niby ja miałbym to płacić?!... — jąkał zdławionym głosem Ślęzak. — Nie dam! Nie dam! Niech mnie zarzną! Niech zastrzelą! Nie dam!

— Nikt ani zarzynać, ani strzelać do pana nie będzie... Po prostu przyjdzie komornik i sprzeda konia, krowę...

— O, Jezu! Jezu! Za co mnie karzesz? — jęczał Ślęzak.

— Więc pomyślcie, czy nie lepiej chłopca puścić? Niewiele mu tam potrzeba na drogę i na przetrzymanie pierwszych chwil... Mogłabym dać list, to by mu dobrzy ludzie w mieście pomogli...

Ślęzak, nie przestając jęczeć, szybko kalkulował, a sprytny był i chytry na podziw.

Ta „mała” dobrze mówiła: pozbyć się chłopaka za psie pieniądze i koniec.

— Więc co? Wyślecie chłopca do miasta? — przynaglała panna Józefina widząc, że opiekun Petrka mięknie.

— Wyjścia żadnego nie mam, chudzinajeden! A już tam panienka

117

że by mi nie radziła... Jeno jeszcze przed obrazem Matki Boskiej pomodłę się, żeby mnie oświeciła. Że to Petrek sierota jest, a ja jego opiekun! — mówił układnie Ślęzak, do drzwi się cofając.

Panna Józefina nie zatrzymywała go, nie nalegając już. Po błysku oczu Ślęzaka zroszumiwała, że dziś nic pewnego o losie Petrka się nie dowie.

— Ślicznie dziękuję za radę! — kłaniał się tymczasem Ślęzak, drzwi otwierając.

W tej samej chwili rozległo się gdzieś daleko przeciągłe, przejmujące wycie, aż panna Józefina porwała się z miejsca.

— Co to? — zawołała przerażona.

— Ot, zwykła rzecz na wsi! Jakiś zgłodniały pies gdzieś tam się skarży. Albo i wilk, bo czasami głód ich tu zagna...

W tej chwili żałosne wycie powtórzyło się. Było jakby głośniejsze, jakby bliższe i coś znajomego uderzyło w nim pannę Józefinę.

— Czyżby Dug?

Ślęzak wyszedł już, zamknąwszy za sobą drzwi, lecz wycie mimo to wdzierało się do małej izdebki, napełniając serce dzielnej zawsze i bardzo odważnej panny Józefiny jakimś dziwnym uczuciem lęku.

— Gdyby choć Krysia przyszła! — myślała, kręcąc się bezmyślnie po izdebce.

Jakby na zawołanie w otworzonych gwałtownie drzwiach stanęła Krysia. Była bardzo zmieniona: zazwyczaj spokojna, pogodna buzia wykrzywiona była lękiem, a błękitne, zwykle śmiejące się oczy rzucały wokoło przerażone spojrzenia.

— To Dug, to Dug... Czego on tak wyje? Co mu się stało? — szeptała dziewczynka pobladyimi ustami.

— Ani chybi, jakieś nieszczęście! — przyciszonym głosem mówiła Agnieszka, która wsunęła się za Krysią do izdebki.

— Och! paniusiu! paniusiu! — wybuchnęła dziewczynka, rzucając się ku nauczycielce. — Boję się! Tak strasznie się boję!

— Uspokój się, dziecko! Nie ma się czego bać! — mówiła panna

118

Józefina, tuląc do siebie Krysię, lecz sama drżała mimo woli, ogarnięta coraz zwiększającym się niepokojem.

— Na śmierć tak wyje albo na inszą biedę! — dogadywała Agnieszka, aż panna Józefina krzyknęła na nią niecierpliwie:

— Nie straszylibyście dziecka! Czyście to nigdy nie słyszeli, jak psy wyją? Toć rzecz zwyczajna na wsi...

Agnieszka potrząsnęła głową:

— Ale! To wycie niezwykajne! — szepnęła, mimo że nauczycielka spoglądała na nią groźnie.

W tej chwili Krysię odsunęła się od panny Józefiny i zdecydowanym krokiem ruszyła ku drzwiom.

— Dokąd idziesz? — gwałtownie chwytając dziewczynkę za ramię, zawołała Agnieszka.

— Puśćcie mnie! Idę do Duga! — stanowczym tonem odparła Krysię.

— Oszalała! Jak mi Bóg miły, oszalała! Do Duga! Po nocy, na moczary! Czyś ty, dziewczyno, zmysły postradała?

— Muszę iść! Dug mnie woła! Agnieszka pobladała.

— Dziecko! Dziecko! Co cię opętało! Czy nie wiesz, jak niebezpieczne są moczary jesienną nocą? Nikt stamtąd żywcem nie wyjdzie. Chyba — „Zły”!

Ostatnie słowa wymówiła szeptem i natychmiast przeżegnała się pobożnie.

— Krysiu! Agnieszka ma słuszność! Nie możesz iść po nocy na moczary! — tłumaczyła łagodnie panna Józefina, serdecznym ruchem ujmując ręce dziewczynki.

— Muszę, proszę pani! Dugowi zdarzyło się jakieś nieszczęście, Dug ginie... Dug mnie wola... Muszę go ratować!

W głosie dziewczynki było tyle stanowczości, iż panna Józefina zaniechała dalszych perswazji\*.

\* perswazje - tłumaczenie, namawianie, przekonywanie.

119

— Czekaj więc! Skoro koniecznie chcesz iść, pójdę z tobą i weźmiemy do pomocy kogoś z sąsiadów — rzekła.

— O, nikt nie pójdzie! — z przekonaniem odparła Krysię, a Agnieszka potwierdziła wymownym ruchem głowy.

— Dlaczegożby nikt nie miał iść?

— Bo u nas już takie ludzie, że nikt nie nastawi pleców za cudzą sprawę, to po pierwsze. A znów po drugie, to...

Agnieszka zatrzymała się, patrząc niepewnym wzrokiem na nauczycielkę.

— Co po drugie? Mówcie.

— E, paniusia jest edukowana, to nie uwierzy i jeszcze śmiać się będzie...

— Nie! Nie! Tylko mówcie prędzej.

— A to ludzie bajają\*, że na moczarach kryje się duch pokutujący i czasami wyłazi z błota w postaci psa i — wyje! I teraz na pewno cała wieś drży w swoich chałupach i każdy boi się nosa wyścibić\*!

— A ty, Krysiu, nie boisz się? — zapytała panna Józefina, patrząc uważnie na dziewczynkę.

Opowieść o duchu pokutującym bynajmniej jej nie zastraszyła. Wiedziała, że nie ma w całej Polsce takiego zakątka, w którym nie istniałaby wiara w jakiegoś ducha, stracha itp.

— Ja wiem, że to Dug! Słyszę jego głos! Ach! Muszę iść, muszę zaraz!

— Więc chodźmy! A wy, Agnieszko, popilnujcie mieszkania i przygotujcie kolację! — mówiła panna Józefina, biorąc latarkę elektryczną i rewolwer.

— A toć ja was, dziecińcy moje, nie puszcę samych. Jak już taka wola boska, to niech i ja, stara, z wami zginę! — zawołała Agnieszka i owinąwszy się szczelnie chustką pierwsza otworzyła drzwi.

bajać - opowiadać fantastyczne historie; głądzić, pleść, wyścibić - wychylić, wysunąć.

120

Wpadł podmuch zimnego, złego wiatru, razem z rozpaczliwym wyciem psa.

— Panienko Najświętsza! Miej nas w swojej opiece! — jęknęła Agnieszka.

Panna Józefina, choć bardzo odważna, przystanęła na progu przejęta uczuciem grozy, która szła od huczącego wichru, czarnych, prawie nieprzeniknionych ciemności i dalekiego, rozpaczliwie zawodzącego głosu.

— Krysiu! Zaczekaj! Może jednak lepiej wziąć kogo z sobą... Spróbujemy... — wołała za biegnącą przed siebie dziewczynką.

— Nie pójdą! Tylko strata czasu! — odrzyknęła Krysią, nie zatrzymując się.

Nie było rady: panna Józefina, tym razem odpowiednio obuta w wysokie, nieprzemakalne buciki, puściła się za Krysią, oświetlając drogę latarką elektryczną i od czasu do czasu nawołując:

— Krysiu! Nie tak prędko! Krysiu! Poczekaj! Stracę cię zupełnie z oczu!



Wycie, brzmiące jak rozpaczliwe nawoływanie, nie milkło, lecz stawało się słabsze, choć przestrzeń dzieląca psa od biegnących była mniejsza.

— Dug słabnie! Może wpadł w bagno i tonie! — przebiegały myśli przez głowę Krysi, która skręciła teraz w rozmokłe pola i niebawem wydostała się na bagniste łąki, gdzie nogi grzęzły formalnie po kolana i wprost zrozumieć nie było można, jakim sposobem dziewczynka mogła biec tak szybko.

— Ależ to szaleństwo! — myślała nauczycielka. — Potoniemy tu wszyscy! Przecież to bagna! Trzęsawiska! Krysiu! Krysiu!

— Dziewczyninie nic się nie stanie! Zna te bagna i chodzi w nich, jak po twardej drodze. Zresztą tu jeszcze nie jest niebezpiecznie; dopiero dalej! — tłumaczyła Agnieszka, zadyszana, zziębnięta, cała ochlapana błotem.

— Dug! Dug! — rozległ się nagle w ciemnościach krzyk Krysi, która dawno już znikła ze smugi świetlnej, rzucanej przez latarkę.

121

Żaloszny głos umilkł, lecz już po chwili rozległ się znowu, ale tym razem radosny, triumfalny.

— Dug! Idę do ciebie! Dug! Dug! — dochodził ze znacznej odległości głos.

— Dug... Dug... Idę... Dug...

A potem umilkło wszystko: i głos Krysi, i skomlenie psa.

— Co się stało? Cierpić Krysi się nie odzywa? Krysiu! Krysiu! — z najwyższym niepokojem wołała panna Józefina.

— Krychna... Hej, Krychna... — zawodzącym głosem powtórzyła jej Agnieszka.

Nie było odpowiedzi. Tylko wiatr świszczął i huczał, targając sukniemi i tnąc drobnym, zimnym deszczem. Nagle w powietrzu zabrzmiał przerażony, rozpaczliwy krzyk:

— Ratunku! Na pomoc! Prędjiej!

— Panienko Najświętsza! Jezu Najmilszy! — zęgnęła się drżęca ze strachu Agnieszka.

— Co się stało? Krysiu?i Gdzie jeste? — nawoływała panna Józefina, daremnie starając się rozświetlić czarną ciemność nikłym promieniem elektrycznej latarki.

— Prędjiej! Prędjiej! Na pomoc! — brzmiał rozzierający głos dziewczynki, a wtórzyło mu słabe skomlenie Duga.

— Idziemy! Idziemy! — odpowiadała panna Józefina, wyciężając wszystkie siły, by jak najszybciej posuwać się po bagnistym gruncie. — Gdzie jeste, Krysiu? Odezwiij się!

— Tu... w bagnie... Prędeż... Ratunku!...

— Nieszczęście! Nieszczęście! — zawodziła Agnieszka. — Ani chybi „Zły” wciągnął w trzęsawiska psa, a przez niego i dziecko.

Panna Józefina, nawołując ciągle i kierując się głosem odpowiadającej Krysi, posuwała się naprzód, jak mogła najszybciej, a za nią śpieszyła dzielnie Agnieszka, nie przestając jęczeć i rozpaczać.

Po pewnym czasie \y smudze światła zarysował się jakiś cień, a za chwilę wyraźnie już można było dostrzec sylwetkę dziewcz-

122

czynki, pochyloną ku ziemi i jakby zmagającą się z czymś niewidzialnym.

— Krysiu!

— Prędeż! Już nie mam sił! I Dug także! — zachrypłym głosem wołała dziewczynka.

Panna Józefina rzuciła się naprzód.

— Ostrożnie! Tu można się zapaść! — ostrzegała dziewczynka nie zmieniając pozycji.

Oświetlając drogę i próbując gruntu, wolniej już zbliżała się panna Józefina do Krysi i nagle zlodowaciała ze zgrozy!

Na kępie twardego gruntu leżał Dug, a obok niego stała pochylona Krysia. Oboje trzymali jakiś kształt ludzki, zagłębiony już w znacznej części w błocie.

— Trzeba go wyciągnąć! Trzeba go wyciągnąć! — szeptała osłabionym głosem Krysia.

— Petrek! — wykrzyknęła panna Józefina, gdy się pochyliła, by pomóc Krysi.

— Tak! Ale on nic nie wie: jest nieprzytomny!

— Tym gorzej! Trudniej będzie go wyratować. No, Krysiu! Zbierz siły i krzyknij na Duga. Uważaj: na trzy szarpniemy razem. Raz... dwa... trzy!... Dobrze! Jeszcze raz! Dug! Dzielny piesku... Raz... dwa... trzy... Oprzyjmy się o ten pień...

— Oj... nie mogę już! W głowie mi się kręci... W uszach dzwoni...

— Trzeba, Krysiu! Jeszcze trochę...

Gdy wreszcie udało się z najwyższym wysiłkiem wyciągnąć Petrka z grząskiej topieli, i Krysia, i panna Józefina, i Agnieszka, i Dug byli zupełnie bez sił, dopiero po dłuższej chwili dziewczynka odezwała się:

— Proszę pani! Czy on żyje?

— Zdaje się, że jeszcze w nim duch kołacze... Lecz trzeba go ratować natychmiast! — odparła panna Józefina.

Przede wszystkim należy go zanieść do chaty... lecz czy mogą

123

tego dokazać same, bez pomocy? O tym nie było nawet mowy. Może jeszcze po gładkiej drodze zdołałyby tego dokonać, ale brnąć z takim ciężarem po trzęsawiskach!

— Trza go tu zostawić do rana... Może za dnia ludzie zechcą przyjść! — radziła Agnieszka.

— Ależ to niemożliwe! Umrze na pewno! — protestowała panna Józefina.

— O... Chłopak ma twardą naturę... A jak zamrze, to niewielka bieda! Nicpoń był i nikt tam po nim płakać nie będzie!

— Nie wolno tak mówić! — zawołała gwałtownie Krysia. — Toć człowiek jest! Musimy go ratować! O! panno Józefino! Niech pani coś poradzi!

— Uspokój się, dziecinko! Musimy coś zrobić. Zostawimy tu Petrka i pójdziemy do wsi sprowadzić ludzi, by go przenieśli.

— E... nikt się tam po niego fatygować nie będzie! już ja znam szczęśliwieckich ludzi — dogadywała Agnieszka.

— Muszą przyjść! Przecież nie dopuszczą by chłopak konał tu, wśród błota! Chodźmy prędezej; nie ma się co namyślać!

— Ja tu zostanę z Petrkiem! — stanowczo zdecydowała Krysia.

— Czyś ty oszalała, dziewczyno! Sama w tych ciemnościach, z tym błotnym topielcem! Nigdy na to nie pozwolę.

— Krysiu! To naprawdę zbyteczne; przecież on i tak jest nieprzytomny! — tłumaczyła panna Józefina.

— Musi przecież ktoś tu być, żeby go można było odnaleźć.

— Zostawimy Duga!

— Nie! Dug poprowadzi panią najkrótszą drogą do wsi! Proszę! Niech pani pozwoli mi tu zostać!

— To i ostań! Już jak ty się uprzesz, to i sam diabeł by nie poradził! — sarknęła\* Agnieszka. — Ale to musisz wiedzieć, że cię sama nie ostawię... Nie odejdę i ja stąd... Skaranie boskie z tym wszystkim.

\* sarknąć - głośno wyrażać niezadowolenie, narzekać.

124

Mądre psisko, zrozumiałwszy rozkaz dany przez Krysię, okazało się wyśmienitym przewodnikiem i poprowadziło pannę Józefinę jakąś znacznie krótszą i względnie suchszą drogą do wsi.

Tu już było cicho zupełnie; nigdzie światła w oknach, nigdzie znaku życia. Panna Józefina odważnie poczęła kołatać do drzwi pierwszej z brzegu chaty.

Po dobrej chwili dopiero odezwały się w niej jakieś odgłosy.

— Kto tam? Czego chce? — huknął przez drzwi męski głos.

— Otwórzcie! Pilna sprawa! To ja! Nauczycielka! Zabłyło światło, drzwi się otworzyły, kilka rozczochranych

głów wyjrzało spod wielkiej, kraciastej pierzyny. — Potrzeba mi kilku silnych ludzi... Petrek ugrzązł w trzęsawisku! — oznajmiła panna Józefina.

— Co? Jak? Po nocy? W taką ćmę? Po takim błocie? — rozległy się rozespiane głosy.

— Nie gadajcie dużo, tylko zbierajcie się! Ach! to ty, Władek! Wdziewaj buty i biegnij prędko zbudzić jeszcze ze trzech ludzi. A wy, Walenty, latarnię weźcie! — rozporządzała panna Józefina, a mówiła tak stanowczo, że nikomu do głowy nie przyszło protestować.

Władek tak szybko się zawiął, że po niewielkiej chwili cała ekspedycja ratunkowa, wraz z panną Józefiną ruszyła naprzód.

Na czele pochodu biegł Dug! Wielokrotnie już panna Józefina podziwiała niezwykłą inteligencję psa, ale tym razem była wprost zdumiona! Można było przypuścić, że mądre stworzenie specjalnie dla niej wybiera jak najdogodniejsze przejścia, a znów ze względu na swą małą panią śpieszy najkrótszą drogą! W chwilach, gdy panna Józefina wahała się w wyborze kępki, na którą trzeba było skoczyć, by uniknąć zapadnięcia się w grząskiej topieli, Dug podbiegał, poszczekiwał zachęcająco i wskazywał drogę, wskakując kilkakrotnie na to samo miejsce. Omal że nie przemówił:

— Tędy właśnie można iść bezpiecznie! To przecież ja prowadzę!

— A mówią że dogi są na ogół biorąc, głupie! — myśla-

125

ła, posłusznie idąc za psem. — Widocznie jest to wyjątek i to nadzwyczajny! Zresztą jego mała pani jest też niezwykła! W tym otoczeniu, wśród ludzi, może w gruncie rzeczy nawet niezłych, ale ciemnych, nieufnych i podejrzliwych, Krysię wyrasta jak kwiat na śmietniku.

I po raz nie wiedzieć który nasunęło się pytanie, skąd się to dziecko wzięło tutaj?

— Muszę to zbadać, gdy tylko załatwię najpilniejsze sprawy. Wprawdzie Agnieszka niechętnie mówi o tym, ale zdaje mi się, że wie więcej, niż chce powiedzieć!

Dalsze myśli przerwał pannie Józefinie mrukliwy głos Walentego:

— Dalekoż tam jeszcze? Toć człowiek w tej topieli życie zatracić może... Dla jakiegoś tam wisusa mordować się...

— Bo i prawda! — skwapliwie podchwycił Chlebowdawca.

— Nie gadajcie głupstw! — ofuknęła ostro panna Józefina. — Chrześcijanie jesteście chyba, przykazania Boże znacie... A nie wasza to rzecz sądzić, czy ktoś wart żyć czy nie! Ot, lepiej poświęćcie! Zdaje mi się, że to już niedaleko.

Rzeczywiście, po głośniejszym szczeknięciu Duga, które brzmiało jak zapytanie, odezwał się jeszcze dość daleki, lecz wyraźny głosik Krysi:

— Hop! Hop! Tu jestem! Kto idzie?

— To my! Jesteśmy już blisko! — wołała panna Józefina, chcąc dodać otuchy dziewczynce.

Walenty uniósł w górę latarnię, oświetlając drogę, a Chlebowdawca nie próbował już narzekać. Myśl o małym dziecku, z własnej woli czuwającym wśród ciemnej nocy na zdradzieckich moczarach, przy wyciągniętym z topieli chłopaku, dotarła widocznie do ich sumień i może wstyd im się zrobiło tego, co poprzednio mówili.

Po kilku chwilach dotarli do miejsca, gdzie leżał Petrek wciąż nieprzytomny, oblepiony błotem, straszny... Czuwająca obok Krysi, ze swajasnębuzią aureolą złotych włosów w migotliwym świetle latarni, wyglądała jak jakiś dobry duszek, wróżka lub

126

aniołek, a wrażenie to musiało być bardzo silne, gdyż mrużący jeszcze niedawno z niezadowolenia chłopci skwapliwie rzucili się na ratunek.

— Trza z nim prędzej do chaty! Sam ten ziąb może śmierć na niego sprowadzić!

— Jakby go tu wziąć? Ciężki jest, a w kilku po tym trzęsawisku nie przejdzie!

Chlebowdawca, że to chłop silny był i potrafił po korcu żyta pod każdą pachą dźwigać, podumał chwilę, potem nic nie mówiąc do chłopaka się zbliżył, uniósł go i na plecy sobie zarzucił.

— Ale ciężki, psia...

Urwał w połowie przekleństwa, bo właśnie w tej chwili spotkał się z oczami nauczycielki.

— Silny z was człowiek, nie ma co mówić! I zręczny! — chwaliła szczerze panna Józefina. — Czy tylko poradzicie tak długo?

— O... O!... — z przechwałką w głosie mruknął Chlebowdawca, rad bardzo z pochwały.

— Więc chodźmy!

Znów Dug wysunął się naprzód, przyjmując z własnej woli rolę przewodnika.

— Ależ mądry ten twój Dug! — podziwiała panna Józefina.

— O... Mądrzejszy od niejednego człowieka! I lepszy! Gdyby nie on...

Krysia wzdrygnęła się. Straszny obraz zagłębiającego się w błocie człowieka, znikającego wreszcie bez śladu w czarnej otchłani, przejął ją zgrozą!

Gdyby nie Dug, taki los spotkałby Petrka! Lecz skąd Dug wiedział, że chłopcu grozi niebezpieczeństwo? Czyżby z takiej odległości usłyszał głos, wzywający pomocy?

— Do chałupy Ślązaka trza go nieść... — mówił Walenty.

\* korzec - dawna polska miara objętości ciał sypkich (ok. 120 litrów) i ciężaru (ok. 98 kilogramów).

127

— Oj, nastraszy się i nazłóci Ślęzak, jak mu tyle błota do izby wniesiemy! — zachichotał Władek.

— Do śmiechu ci właśnie! Nie wiadomo, co niesiemy: błoto, człowieka, czy — trupa!

Chlebodawca dźwigał ciągle swój ciężar, choć już dyszał ciężko, a pot grubymi kroplami ściekał mu z czoła. Ale zluzować się nie dał! Co by sobie o nim pomyślała ta nauczycielka o wesolych, a takich nakazujących oczach? Jej pochwała wciąż mile głaskała jego ambicję i nie pozwoliłby za nic, żeby ktoś inny na nią zastąpił! Ale gdy stanęli przed Ś leżakową chatą, rad był niezmiernie, że się ta droga już skończyła.

Sporo mieli kłopotu z obudzeniem gospodarza, a jeszcze trudniej było doprosić się, by drzwi otworzył.

— A kto? A czego chce? A jaki swój?

I dopiero stanowczy, nakazujący głos nauczycielki skłonił go do otworzenia, chociaż robił to ociągając się i mamrocząc gniewnie. A gdy zobaczył dziwny pochód i Chlebodawcę dźwigającego na plecach jakiś wielki, błotnisty pakunek, krzyknął przerażony:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! A cóż wy mi tu do izby zwalacie?

— Prędeż, Ślęzak! Wasz Petrek o mało się nie utopił! Rozpalcie ogień, nastawcie wody. Trzeba go ratować! — rozkazywała panna Józefina.

Ale Ślęzak na widok bezwładnego chłopaka, którego złożyli na ławie, ostupiał i wodził przerażonymi oczami po wszystkich, mrużąc coś niewyraźnie.

Na żadną pomoc z jego strony liczyć nie było można, więc Agnieszka z Krysią zakrzętnęły się koło komina, a Władek z dwoma chłopakami ściągali z Petrka ubranie, pokryte grubą warstwą błota. Potem, za

wskazówkami nauczycielki, rozcierali go, myli, przewracali na wszystkie strony, wlewali do gardła jakieś krople, aż wreszcie powieki chłopca zadrgały, usta poruszyły się i wydobył się z nich żałosny jęk.

128

Po obmyciu Petrka z błota okazało się, że był cały potłuczony i pokaleczony. Największą ranę miał na lewej nodze i na rękach, z których miejscami zdarta była skóra.

Ślęzak powoli oprzytomniał, a początkowe przerażenie zmieniło się w złość.

— Gdzie się ten huncwot tak urządził! Panie Święty! Co mi ten chłopak znów narobił. Po nocy ludzie mi chatę nałóżą. Błota mi nanieśli całą izbę, rządzą się w chałupie jak szare gęsi... — myślał i oprócz złości, gdy tak patrzył na nieruchomą, okropnie zmienioną twarz Petrka, jakiś zły duch podszeptować mu zaczął:

— A niechby tam... Po co go ratować? Gałgan był i nikt po nim płakać nie będzie! I nikt by już nie miał prawa ani do chałupy, ani do ziemi! Po co go ratują?

Aż tu nagle jakiś żar w niego buchnął i oblał krwistą łuną od serca aż po czubki włosów! Bo oto jego płochliwe, kryjące się spojrzenie napotkało błyszczące, czarne oczy nauczycielki, w których malowała się wielka troska, serdeczna obawa i szczerą chęć niesienia pomocy.

— Obca mu ona... Obca nam wszystkim... Nikt jej tu nic dobrego nie zrobił... Skąd więc gotowość, gdy tylko jaka bieda się zdarzy... Taka sama ona nibyjakmy... zwieszniaczej chaty rodem... samaotymm rozpowiada... Czemu w niej serce inne... i rozum inny... i dobroć...

Kotłowały te myśli po głowie Ślęzaka wespół z tymi jakimiś podszeptami:

— Jakby Petrka nie było — twoja chałupa, twój grunt...

W tej chwili panna Józefina podeszła i widząc wzburzoną twarz starego, pocieszać go zaczęła:

— Nie bójcie się! Chłopak naturę ma silną! I Opatrzność nad nim czuwa, boć cudownym sposobemg0 ocalała!... Da Bóg, nic mu nie będzie. A może go ta ciężka przygoda odmieni na dobre?!

— Oj, panienko! Paniusiu! — wykrztusił Ślęzak z gardła, które mu jakby ktoś żelazną pięścią ścisnął.

— Jednak dobry z niego człowiek! Tak bardzo się przejął

8 Wieś Szczęśliwa

129

wypadkiem Petrka! — pomyślała panna Józefina, spoglądając na zmienioną twarz Ślęzaka.

A ten głowę w obie ręce ujął i bujał nią na wszystkie strony,

— Oj, ty chłopie biedny! Oj, ty wierzbino przydrożna! Wiatr tobąchwieje na wszystkie strony, a ty ani wiesz, gdzie się obrócić, gdzie twoje prawo, gdzie twoja powinność! — zupełnie szczerze tym razem skarżył się stary.

Petrek tymczasem coraz bardziej przychodził do siebie, a ułożony do łóżka, przykryty ciepłą pierzyną, napojony gorącą herbatą, zapadł w głęboki, mocny sen.

— Możemy już iść! Na razie nie grozi mu niebezpieczeństwo. Gdyby jednak nastąpiło jakieś pogorszenie, dajcie mi znać! — mówiła panna Józefina, zabierając się do odejścia, a ujmując Krysię za rękę, dodała: — No, pójdziemy, Krysiu, ty moja dzielna osóbk! Agnieszka zostanie z wami, jeżeli chcecie!

— Bóg zapłać! Bóg zapłać panieniusi! Bóg zapłać i wam, dobrzy ludzie, coście trudów nie szczędzili — żegnał odchodzących Ślęzak, aż Walenty i Chlebodawca zaraz za progiem dziwić się zaczęli:

— A cóż to mu się stało? Nie gderał, nie złościł się, nie narzekał, ale tak całkiem po ludzku dziękował?

— Hej! Widzi mi się, że ta nasza nauczycielka to nie tylko naszym dzieciom litery pokazuje, ale i nas niejednego uczy! — rzekł w zadumie Chlebodawca; a Walenty przytaknął zaraz:

— Ano! Ano!

\* \* \*

Było też, było o czym gadać tego roku we wsi Szczęśliwej! Ciągłe jakieś nowiny, ciągle coś niezwykłego! Nie dziwota, że kobiety zapomniały o obmowie i swarach\*, że to co innego do gadania było!

\* swary - kłótnie, sprzeczki, spory.

130

Ale wiemy, że były we wsi takie zawodowe plotkarki, co wytrzymać nie mogły, gdy we wsi było cicho i zgodnie, i z każdej okazji korzystały, by jak największe zamieszanie robić.

Dziubkowa plotła byle pleść, co jej ślina do ust przyniosła, bo żyć bez tego paplania nie mogła. Ale Nowacczycha swój cel miała, gdy tak od chaty do chaty z językiem biegała. A teraz, gdy stał się wypadek z Petrkim, miała nadzieję, że coś na tym zarobić będzie można.

Wykombinowała, że przede wszystkim trzeba pójść do chaty Ślęzakowej, żeby coś wyciągnąć ze starego sknery.

Ślęzak siedział zgarbiony przy kominie, przykładając coraz gałązkę do skąpego ognia. Pomarszczona twarz wyrażała troskę i zgryzotę.

— Martwi się, że chłopaka wyratowali! — pomyślała Nowacczycha, bystrym wzrokiem obrzuciwszy i gospodarza, i izbę. — Nie dziwota! Rad by stary wszystko zagarnąć po bracie, a Petrek mu na przeszkodzie.



Skradając się na palcach, podeszła do gospodarza i przymilnym głosem zaczęła:

— Oj! Że też los nie wie, co robi! Jednemu wszystko jak po maśle, a drugiemu jak po grudzie...

Był to początek bardzo przebiegły, bo go i tak, i tak można było tłumaczyć, a Nowacczycha wołała dla pewności grunt wypróbować. Ślęzak milczał, więc kobieta z innej beczki zaczęła:

— Przyszłam, żeby wam co pomóc, zaradzić... Różne sposoby znam... Chłopaka można obejrzyć?

Ślęzak kiwnął głową. Nowacczycha ciekawie zajrzała do łóżka, na którym pod kraciatą pierzyną leżał chłopak. Czerwony był, żar buchał od niego. Oczy miał zamknięte, a przez spieczone wargi wyrwały się jakieś beładne słowa.

— Żle z nim — mówiła Nowacczycha, nie przestając przyglądać się chłopcu. — Nie wylize się on tak prędko albo i wcale...Wiecie, że...

131

Urwała nagle i pochyliła się nisko nad chłopcem, a jej chytre oczy rozbłyły ciekawością.

— Szukaj... Krysiu... Papiery... Dug... Moczary... — bredził gorączkowo chłopiec, rzucając się po łóżku.

Po czym, otworzywszy oczy, krzyknął przeraźliwie, zrywając się do połowy.

— Precz! Nie ruszać! To jej! Nie dam nikomu!

— Odstąpcie go! — mruknął Ślęzak. — Trza mu spokoju. Ale Nowacczycha zdawała się nie słyszeć tych słów. Krwiste

rumieńce wypełzły na jej suchą, żółtą twarz, a oczy omal nie wyskoczyły z głowy.

— Co gadasz? Jakie papiery? Gdzie są? — szeptała, potrząsając chłopcem.

— Odstąpcie, mówię wam! — krzyknął gniewnie Ślęzak — Nic tu po was. Idźcie plotkować gdzie indziej!

Nowacczycha zaniemówiła przez chwilę ze zdumienia: nikt nigdy nie ośmielił się tak do niej przemawiać.

— Patrzcie no! Cóżem to wam taka krzywa? Cóż to? Wasz Petrek hrabia jaki, że się do niego zbliżyć nie można? Albo może nie chcecie, żeby go ratować! — zjadliwie wołała piskliwym, złym głosem.

— Idźcie no! I nie plujcie złością, bo to wstyd i obraza boska. Sami mówicie, że chłopak ciężko chory... A jutro przyjdźcie: ćwiartkę" grochu dostaniecie!

Nowacczycha nic już teraz nie rozumiała: stary sknera daje jej ćwiartkę grochu, ale ją wypędza? Co to znaczy?

— Pod wierzbą... Dug znaj dzie... Krysiu!... Szukaj! — urywanym głosem wołał Petrek.

Nowacczycha rzuciła się znów do łóżka, ale w tej chwili chwyciły ją silne ramiona i wypchnęły za drzwi.

\* ćwiartka- tu: miara będąca czwartą częścią jakiejś innej miary, np. korca, litra, kilograma; naczynie o takiej pojemności.

132

— Mówiłem — odstępście! — syknął przez zęby Ślęzak, zatraskując drzwi.

Nowacczycha stanęła pośrodku błotnistej drogi, zupełnie ogłupiała: ten dziad wyrzucił ją za drzwi! Ale to nic w porównaniu z tym, co usłyszała z ust rzucającego się w gorączce chłopca! Jakaś tajemnica! Może pieniądze? I to miałyby być tej znajdy?!

Chłopak wykrzykuje o tym głośno, ktoś inny także usłyszy, rozejdzie się po wsi... będą szukali... znajdą...

... A gdyby tak ona?

Po głowie świdrowały różne myśli, szybkie, ostre... Jedna goniła drugą, kłębiły się, wirowały... aż wreszcie żółta, sucha twarz rozpromieniła się triumfalnie i Nowacczycha, nic sobie z błota nie robiąc, wielkimi krokami rzuciła się do nadchodzącej właśnie Dziubkowej.

— Ale! Ale! — wołała z daleka Nowacczycha. — Toć powiadają, że Petrka „Zły” na moczary wciągnął, niby mu jakieś skarby obiecując?

Dziubkowa nie dała po sobie poznać, że jest tą nowiną zaskoczona:

— Prawdziwie! Ja to zaraz mówiłam! Godziwym sposobem nikt by się po moczarach nie włóczył.

— A pies też do spółki ze „Złym”. Naumyślnie chłopaka z błota wyciągnął, żeby innym o tym rozpowiadał i żeby co głupszy poszedł szukać tych niby skarbów...

— I na zatracenie pewne szedł! A to sprytna sztuka! Ale już ja mu tę robotę popsuję... Oho! Niedoczekanie twoje, żebyś ludzi gubił!

I nie żegnając się z Nowacczycha, Dziubkowa pomknęła z powrotem, wpadając do każdej chałupy i opowiadając z coraz to większymi szczegółami historię o tym, jak to „Zły” ludzi w zasadzkę chce wciągnąć, jak do tego wziął Petrka na pomocnika i jak to ona wszystko przejrzała.

O to tylko chodziło Nowacczysze! Teraz już nikt nie ośmieli się

133

pójść na moczary i ona będzie mogła swobodnie szukać skarbów.

Ale sądzone widać było, żeby we wsi Szczęśliwej działy się ciągle jakieś niezwykle rzeczy. Bo oto nazajutrz, ledwie rozpoczął się ruch poranny we wsi, gruchnęła wiadomość, że Petrek zniknął.

Stary Ślęzak, wypytywany, niechętnie o tym mówił. Opowiadał tylko, że gdy się przebudził, znalazł łóżko puste. Ale to było najdziwniejsze, że nie wiadomo, którędy chłopak mógł wyjść. Okno w izbie było zabite na mur. Drzwi zamknięte, a klucz sterczał w zamku od wewnątrz!

Tu dopiero obydwie wiejskie plotkarki miały używanie! Co chwila to jakąś inną historię wymyślały, starając się jedna drugą przelicytować fantastycznymi pomysłami, a rozsądniejsze głosy zupełnie nie były słuchane.

Aniby się spodziewał Petrek, że jego osoba tyle hałasu narobi! Nikt go tam we wsi ani lubił, ani o niego dbał i nie o niego też ludziom chodziło, tylko o ciekawość, co się z nim stać mogło.

Jedna tylko istota w całej wsi o samego Petrka się troszczyła, to Krysia! Dziewczynka nie mogła sobie znaleźć miejsca, targana strasznym niepokojem. I ona, i panna Józefina przypuszczała, że chłopiec wyszedł z chaty w ataku gorączki i może teraz gdzieś umiera z głodu i pragnienia bez żadnej pomocy.

— Chodźmy go szukać! — szepnęła nieśmiało, patrząc błagalnie w oczy nauczycielce.

— Ależ, dziecko! To niemożliwe! Dzień taki krótki, noc zaraz zapadnie... Nikt nie zechce pójść z nami, a same nic nie poradzimy — szczerze zmartwiona odpowiedziała panna Józefina.

— Dug pójdzie z nami! On nas poprowadzi. Zobacz pani, że on znajdzie Petrka.

Ale Dug zawiódł oczekiwania Krysi. Mimo kilkakrotnego rozkazu nie okazywał najmniejszej chęci opuszczenia izby, najwyżej wyszedł na próg, obejrzał się leniwie i zawracał z powrotem.

— Dug! Co to znaczy? Dlaczego nie szukasz Petrka? — gniewała

134

się Krysia, a pies lizał jej ręce, patrzył w oczy pełnym uwielbienia wzrokiem i znów wracał do izby.

— Nie upieraj się, Krysiu! Dug jest najmądrszym psem, jakiego kiedykolwiek znałam. Widocznie jest jakiś powód jego nieposłuszeństwa — tłumaczyła panna Józefina i wreszcie zdołała uspokoić Krysię i namówić, by poszła spać. Sama zaś zasiadła, by napisać list do swoich przyjaciół z Warszawy, gdy nagle usłyszała pukanie do okna... Tak jej się przynajmniej zdawało.

Nastłuchiwała przez chwilę; pukanie powtórzyło się.

Panna Józefina spojrzała na Duga: spał spokojnie, nie poruszając się. A więc nie było się czego obawiać! Pies był bardzo czujny i gdyby to był ktoś obcy, od razu zacząłby warczeć i szczekać.

Zastukano znowu, a panna Józefina, nie namyślając się już, otworzyła drzwi i zaraz wykrzyknęła ze zdziwienia:

— To Ślęzak? Czy stało się coś nowego?

Ślęzak starannie drzwi za sobą zamknął, a potem mówić zaczął przyciszonym głosem:

— Ja tu do panienki... Jeno\* że nie chciałbym, żeby kto widział... Chciałbym coś powiedzieć, ale tak, żeby nikt nie słyszał.

Ślęzak był niepewny siebie, zakłopotany, a z oczu zniknął mu zwykły przebiegły wyraz.

— Niby to o chłopaka, tego Petrka... — zaczął znowu. Panna Józefina zapewniła go, że może mówić spokojnie.

— Ale gdzież on jest teraz? Co się z nim stało?

— Niby wiem, ale tak, jakbym nie wiedział. Bo to tak było: chłopak wczoraj wieczór zupełnie do przytomności wrócił i jak tylko ostaliśmy sami w chałupie, na łóżku się podniósł i mówi: „Sami widzita: nic tu po mnie! W świat muszę!” A patrzył twardo i źle, jakby na wroga najgorszego. Myślał widać, że mu przeciwny będę. Ale takem sobie wykalkulowałem z tego, co mi panienka

\* jeno - tylko. " wykalkulować sobie - dojść do jakiegoś wniosku.

135

powiadała, że lepiej będzie i dla chłopaka, i dla mnie, jak go wstrzymywał nie będę, więc powiadam: „Ano, wola Boża! Jeśli już tak bardzo chcesz, to idź! Jeno do zdrowia przyjdiesz!” A Petrekną to: „Zdrów jestem! A pójść muszę, bo teraz tylko bym się na pośmiewisko ludzkie ostał. Pójdę, choćbym miał z głodu zdychać!” Co miałem robić? Nie pozwolę — i tak pójdzie. A przecież chłopak nie żebrak: swoją ojcowiznę ma. Miałem trochę grosza — dałem mu na drogę.

— Jakże to? Toć upierał się pan, że złamanego szeląga nie da? — z uśmiechem zauważyła panna Józefina.

— E... człowiek przecież nie kamień! To paniusia, taki jeszcze, z przeproszeniem, dzieciuch, mogła po nocy łązić po moczarach, by obcego chłopaka ratować. A ja na to patrzący miałbym rodzonego krzywdzić? Toć bratowe dziecko! —z przekonaniem rzekł Ślęzak, a potem dodał uroczyście: — Boja zawsze mówię: chłop to jak ta wierzbina przydrożna! Przechodzą koło niej; ktoś może skubnie albo złamie. Ale niech no taki niechący na dobrą gałąź trafi, śliczną z niej pieśń wydobędzie!

— Ale co to ja jeszcze chciałem powiedzieć? — dodał już zwykłym głosem. — Aha! Petrek w gorączce coś tam prawił... Może w tern jest odrobina prawdy... A to, że jakieś tam papiery w skrzynce pod wierzbą są... ponoć Krysini!

— Co wy mówicie? — zawołała panna Józefina, zrywając się z miejsca.

— Tak gadał. Po prawdzie chłopak moczary zna jak nikt. Może tam co i znalazł? Toć wiadomo, że kilka lat temu jakąś kobietę tam znaleziono... Może po niej co ostało?

— Nie trzeba, Ślęzak, o tym ludziom mówić! — rzekła po chwili namysłu nauczycielka, zdając sobie sprawę z tego, ile krzywdy mogłaby zrobić taka wieść, gdyby się dostała do ludzi łatwowiernych, spragnionych łatwego wzbogacenia się.

— To się wi! — rzekł Ślęzak i począł się żegnać. Po wyjściu Ślęzaka panna Józefina zadumała się.

136

Krysia! To dziecko stanowczo znalazło się we wsi Szczęśliwej przypadkowo. Czyżby słowa nieprzytomnego Petrka stanowiły nitkę do rozwiązania tajemnicy pochodzenia dziewczynki?

Myśli młodej nauczycielki pobiegły do warszawskich przyjaciół. Może oni pomogą rozwikłać tę zagadkę? Może im opisać ostatnie zajścia i prosić o radę?

Lecz nie! Takie rzeczy inaczej wyglądają na papierze, a inaczej w żywym słowie!

— Do Bożego Narodzenia nie tak znów daleko! Pomówimy wówczas o tym.

Oczy panny Józefiny rozbłyły radością! Mimo że była bardzo przejęta swoją pracą, coraz silniej odczuwała tęsknotę za Warszawą: za nieskończonymi rozmowami z Marysieńką, za serdecznym ciepłem kryształowego serca Dobrej Pani, nawet za dyskusjami z Władkiem, pełnymi docinków, sprzeczek i śmiechu!

— Ach! Gwiazdka upragniona! Nadejść prędeży! — niemal głośno zawołała panna Józefina i naraz, spojrzawszy na zegar, załamała ręce. — Jak późno! A to przecież jutro dzień roboczy!

Ani noc, ani dni następne nie przyniosły uspokojenia we wsi Szczęśliwej. Kotłowało się wszystko koło zniknięcia Petrka i coraz to fantastyczniejsze wieści krążyły po wsi. W to, żeby Ślęzak pozwolił chłopakowi iść do miasta i dał mu na to pieniądze, nikt nie wierzył. Za to najrozmaitszym bajdom wierzyli wszyscy. Przedostały się też, wbrew woli Nowacczychy, jakieś pogłoski o skarbie ukrytym na moczarach, a strzeżonym przez złego ducha; mówiono już o tajemniczych postaciach, snujących się koło starej wierzby, a może niejeden postanowił w duchu próbować szczęścia i iść na poszukiwania owej szkatuły pełnej złota?! I nie wiadomo, kiedy by się te opowiadania skończyły, gdyby nie wypadek, który znów zwrócił uwagę wiejskich kumoszek w inną stronę.

Oto pewnego dnia na drodze szczęśliwieckiej pojawiła się bryczka, zaprzęgnięta w parę tęgich koni, i zatrzymała się przed szkołą.

137

1\

Rwetes\* się zrobił we wsi, że nie daj Boże!

Czyje konie? Czyja bryczka? Kto przyjechał?

Ale w pierwszej chwili wiadomo było tylko, że na bryczce był wójt i dwóch nieznanomych panów. Powoli dowiadywano się więcej: bryczka i konie były ze starostwa... jeden pan — z dozoru szkolnego, drugi — sam pan inspektor szkolny\*\*.

Po co przyjechali? — tego już żadną miarą nikt nie mógł wymiar-kować i dopiero Nowacczycha z miną pewną siebie oznajmiła:

— Ani chybi! Nauczycielkę precz odwołują! I nie dziwota: dzie-ciuch prawie. Gdzie jej tam innych uczyć!

— Więc, powiadacie, nauczycielkę zabiorą? — dopytywać zaraz zaczęły kobiety,

— A zabiorą! Cóż wy myślicie? Jak tam jeden z drugim powie, że nauczycielka zła, że dzieci się nie uczą, to zaraz przyjeżdża pan inspektor, tak i tak — powiada — i koniec! — prawiała Nowacczycha, a skupiona koło niej gromadka słuchała, nie śmiać przeczyć, ale i nie potakując jej słowom.

— Szkoda by jej było! — odezwała się nieśmiało któraś z kobiet. — Dzieciska się przyzwyczały, no i nam ona nie krzywa\*\*\*.

— Boi dobrze! — przytaknęły zaraz inne. — Po co nam znowu jakaś nowa?

A tymczasem inspektor szkolny, bo to on był rzeczywiście, po godzinie spędzonej w szkole patrzył z podziwem i jakby pewnym niedowierzaniem na młodziutką nauczycielkę.

Dzieci kończyły właśnie śpiewać prostą, łatwiutką piosenkę. Śpiewały czysto, zgodnie, a dźwięczny sopranik\*\*\*\* Krysi, wybijający się z ogólnego chóru, nadawał piosence jakiś specjalny wdzięk i urok.

' rwetes - hałas połączony z bieganiną, pośpiechem; zamieszanie.

" inspektor szkolny - urzędnik państwowy stojący na czele dawnego urzędu nadzorującego szkolnictwo podstawowe na terenie danego obwodu szkolnego.

\*\*\* nie (jest) krzywa - tu: nie jest niechętna, nieprzyjazna, wroga. "" sopran - najwyższy głos kobiecy; śpiewaczka o takim głosie.

138

— Wierzyć mi się, doprawdy, nie chce — mówił inspektor, gdy po skończonych lekcjach wraz ze swoimi towarzyszami znalazł się w pokoiku nauczycielki — że pani potrafiła w przeciągu dwóch miesięcy tyle zrobić!...

— Widocznie materiał miałam dobry! — odparła wesoło panna Józefina.

— O, nie! Jestem w tej okolicy od lat kilku. Byłem sam przez jakiś czas nauczycielem w sąsiedniej wsi... Znam doskonale tutejszą ludność! Na ogół dzieci są mało zdolne, a rodzice bardzo niechętnie posyłają je do szkoły. U pani tymczasem z dziennika widzę, że większość dzieci w wieku szkolnym uczęszcza na lekcje.

— Mam od pewnego czasu komplet — z pewną dumą w głosie odparła panna Józefina.

— Podobno pani jest za ciężko? — wtrącił się do rozmowy pan z dozoru szkolnego.

— Za ciężko? Ależ bynajmniej! Czuję się tu doskonale i radzę sobie, zdaje się, dobrze.

— Nie tylko dobrze, lecz wyśmienicie! — zawołał szczerze inspektor. — Wprost żał pani wyjątkowych zdolności do tej szkoły. O ile pani zechce, przeniesiemy panią na lepsze stanowisko.

— O nie! — żywo zawołała panna Józefina. — Nie mam zamiaru porzucać wsi Szczęśliwej tak długo, aż stanie się ona naprawdę — szczęśliwa!

Inspektor serdecznie uściskał rękę dziewczęcia.

— Takich nam więcej potrzeba! — szepnęła, a zwracając się do wójta, rzekł ironicznie: — No! Jak tam, panie wójcie, z raportem?

— Ano! Niby tego: wszystko w porządku! — bąknął zmieszany dostojnik wiejski.

A panna Józefina, która domyśliła się, komu ma zawdzięczać wizytę inspektora, zawołała wesoło:

— O, nie wszystko, panie wójcie! Bo, na przykład, drogi nie są w porządku!

— To nie należy do szkoły! — nasrożył się wójt.

139

— Właśnie, że należy! Bo proszę tylko pomyśleć, panie inspektorze, czy podobna, by dzieciaki codziennie tonęły w błocie, by dostać się do szkoły?

— Słusznie! I jakkolwiek to nie mój dział, zwrócę uwagę inżynierowi drogowemu.

— Ach, szczerze będę panu wdzięczna! — zawołała radośnie panna Józefina.

— Raz jeszcze wieszczę rezultatów pracy — zegnał serdecznie młodziutką nauczycielkę inspektor, gdy nagle wszyscy zamilkli, przysłuchując się jakimś hałasom i krzykom, które rozlegały się przed szkołą.

— Czy to dzieci tak krzyczą? — zapytał zdziwiony inspektor.

— Nie! Dzieci puściłam do domów. Musiało się coś stać — szepnęła zaniepokojona nauczycielka, spiesząc wychodząc z chaty.

— Co się stało? — pytała strwożona, widząc tłum kobiet, mężczyzn i dzieci, tłoczący się koło szkoły.

— Co to jest? Co to za zebranie? — niepokoił się wójt. Tłum był widocznie czymś poruszony. Szeptano między sobą,

wypychano naprzód dzieci, załęknięte jakieś, niektóre zapłakane. Na pierwszym miejscu stała Krysia. Różowa jej buzia była biała jak kreda, a wielkie oczy, rozszerzone przerażeniem, wydawały się jeszcze większe.

— Krysiu! Może ty powiesz, co się stało? — pytała nauczycielka, coraz bardziej zatrwożona.

— Mów, mów, Krysko! — rozległy się zachęcające szepty, a baby z dalszych rzędów popychały dziewczuszkę naprzód.

— Powiedz dziecko, o co chodzi? — łagodnie zapytał inspektor, nic nie rozumiejąc z całej sceny.

— Mów Kryska! Proś!

— A to, proszę pana inspektora szkolnego! — wybąkała dziewczynka, tłumiąc dławiące ją łkanie. — Niech nam pan inspektor nie zabiera... pani nauczycielki... o...

I w bek!

140

A reszta: kobiety, dzieci, mężczyźni nuż wołać:

— Niech nam pan inspektor nie zabiera nauczycielki! Nie damy naszej pani! Nie chcemy żadnej zmiany!

A między okrzykami rozlegały się coraz pochlipywania i szloch, bo to dzieci i baby mocno rozżalone były!

— Nic nie rozumiem! — rzekł inspektor, zwracając się do panny Józefiny.

— Ani ja! Lecz spróbuję porozumieć się z nimi!

— Cicho! — krzyknęła nakazująco.

Dzieciaki, przyzwyczajone służyć głosowi nauczycielki w szkole, zamilkły natychmiast, a za nimi starsi.

— A teraz niech ktoś jeden powie porządnie, o co chodzi — rozporządzała nauczycielka.

— Prezes! Prezes! — rozległy się nawoływania w tłumie. Wystąpił chuderlawy człeczyna, nieco na nogę utykający. Jako

żywo nigdy prezesem nie był, ale przekpiwni ludzie szczęśliwiec-cy tak go przezwali, że to się przechwalał ze swą wymową i raz opowiadał, że jak zaczął w Towarzystwie Kredytowym gadać, to sam prezes języka w gębie zapomniał!

— Panie inspektorze szkolny! Zeszliśmy się tu wszystkie ludziska szczęśliwieckie, żeby powiedzieć, że naszej pani nauczycielki zmieniać nie chcemy. Jak tu stoimy, każdy po kolei może zaświadczyć, że dzieci nasze już galanto\* się poduczyły i grzeczniej sze są, a i stary człek też skorzysta bez to radio, co nam pani nauczycielka sprawiła!

— Prawda! prawda! — przytakiwano zgodnie.

Prezes chciał mówić dalej, ale odsunął go Chlebowdawca, też mówca niezgorszy.

— Skargi ponoć szły, że pani nauczycielka jest za młoda! — zaczął podniesionym głosem, wymownie patrząc na wójta. — Ano że młoda — to prawda. Ale młodość felerem" nie jest, jak z nią

\* galanto - tu: elegancko, porządnie. " feler - wada, usterka, brak.

141



w parze rozum idzie. A nasza pani nauczycielka mądra, bo mądra! Bajki to dzieci uczyć, ale nas, starych, do rozumu doprowadzić, to nie byle kto potrafi. A ona potrafiła. I mało wiele, a we wsi Szczęśliwej nie będzie głupich ludzi!

— Prawda! prawda! — z zachwytem przytakiwał tłum. Inspektor otwierał usta, by coś powiedzieć, ale już wystąpił

Ślęzak, znany z tego, że był wyga, jakich mało i językiem otumanić potrafił.

— Panie inspektorze! — zaczął, a głos jakoś mu drżał. — Toć to młodziutkie paniątko (z przeproszeniem pani nauczycielki) do serc ludzkich trafić umie jak nikt! Jaśniej nam jakoś i weselej, odkąd po naszej zabłoconej, nędznej wsi chodzi nasza nauczycielka! Nie krzywdźcie nas i nie zabierajcie jej!

Kobiety, że zawsze ponoć oczy w wilgotniejszym miejscu mają, nuż pochlipywać, nosy ucierać, a do inspektora się garnąć, powtarzając:

— Nie zabierajcie nam! Nie zabierajcie!

Inspektor widząc, że nie dojdzie do głosu bez pomocy nauczycielki, zwrócił się do niej, prosząc o ucieszenie gromady.

— Ci... i... cho!... — zawołała panna Józefina, ale głos jej brzmiał miękko i słabo, bo ją coś dziwnie ścisnęło za gardło.

— Widzę, że jesteście rozumni, skoro poznaliście się na waszej nauczycielce i nie chcecie jej puścić — zaczął inspektor. — Wprawdzie należałaby się jej lepsza szkoła... Bo ta i ciasna, i mała, i niska, i źle zaopatrzona, a pomieszczenie pani nauczycielki całkiem kiepskie...

— My już rządujemy, jak tylko wiosna nadejdzie! Niech tam paniusia tymczasem nami nie gardzi! — zabrzmiały błagalne głosy.

— ...i drogi okropne... — mówił dalej inspektor.

— Naprawi się! Rowy pokopujemy! — huknęli mężczyźni.

— ...ale cóż? Pani nauczycielka od was odejść nie chce!

Powstał krzyk i hałas, ale już teraz radosny. Posypały się błogosławieństwa, podziękowania, a dzieciaki z Krysią na czele dopadły do panny Józefiny, otaczając ją zwartym kołem.

142

— Jest pani zaprawdę czarodziejką! I sądzę, że wieś Szczęśliwa, dzięki pani, będzie naprawdę szczęśliwa! — rzekł inspektor wzruszonym głosem.

Za nim cisnął się wójt. Zmieniony był, nos mu poczerwieniał, a oczy zwilgotniały.

— A wedle tej drogi — zaczął bąkać — to niech tylko pani chłopów przy dusi, żeby kamienia zwieźli, to się zrobi...

Ale Chlebowdawca, który jego słowa usłyszał, przystąpił doń, pod boki się ujął, głowę zadarł, a chłop był pokaźny i nosić się umiał.

— Nie trza nas przyduszać! Obiecalim, zrobim! My już takie ludzie, że jedno słowo znamy! A i nie ścierpim dłużej, żeby nasza pani nauczycielka obuwie w błocie niszczyła — rzekł z godnością, a pomruk zadowolenia poszedł po tłumie:

— Honorny nasz Chlebowdawca!

Bryczka odjechała, ludzie zaczęli się rozchodzić: spokojni jacyś, cisi, zgodni.

A panna Józefina?

Stała jeszcze w progu, z rozjaśnioną twarzą, szepcząc do siebie:

— Oj, ty wierzbino przydrożna! Jakże piękną pieśń potrafisz wyśpiewać, gdy cię dotknąć umiejętną, serdeczną ręką!

Ale panna Józefina zbyt dobrze znała wieś i jej mieszkańców, by sądzić, że wszystko odmieni się od razu i ludzie zmienią się na poczekaniu. Wiedziała, że czeka ją jeszcze duża praca i że przede wszystkim tej pracy nie trzeba przerywać. A przerwą dużą były Święta Bożego Narodzenia, które miała spędzić u swych przyjaciół w Warszawie. Postanowiła więc zrezygnować z wyjazdu i urządzić mieszkańcom wsi Szczęśliwej — Gwiazdkę!

Rozpoczęła więc od razu przygotowania, robiąc z dziećmi szkolnymi ozdoby na choinkę i przygotowując drobne podarki, które dzieci miały wręczyć swoim rodzicom.

Gorliwie też zajęła się uczeniem dzieci kolęd, które miały być odśpiewane na Pasterce.

143

Ze zdwojoną energią i niewyczerpaną wesołością wzięła się panna Józefina do pracy, a niektóre dzieci pomagały jej z zadziwiającą zręcznością. Tylko Krysia zawiodła oczekiwania. Pierwsza, gdy chodziło o śpiewy, pojętna i pilna w nauce, do robótek nie okazywała najmniejszego zainteresowania ani zręczności.

— Taka już ona była od małości — objaśniała Agnieszka. — Nijakiego sprytu do igły nie miała. Toć jąchciałam uczyć, jako że sama igłą coś niecoś dorobię. Ale nic i nic!

Przed samymi świętami spadł obfity śnieg, pokrywając wszystko srebrzystym kobiercem i strojąc tak pięknie, iż nawet biedna, zaniedbana wieś wyglądała ślicznie. Zamarznięta droga ukryła pod puszystą bielą swe błotniste kałuże i zdradzieckie doły, biała pierzyna wygładziła powykrzywiane dachy, powywracane płoty, wybieliła brudne podwórza i z każdego zaniedbanego, odrapanego domostwa zrobiła miłą dla oka, przytulną chatę.

I nie wiadomo, czy to przez ten śliczny, biały śnieg, czy przez co innego, lecz jakoś milej, przytulniej było tego roku we wsi Szczęśliwej. Były po chatach jakieś przygotowania, jakieś szepty tajemnicze, jakieś ukradkowe uśmiechy i radośnie błyszczące oczy! Dzieci były rozpromienione i nie do poznania zmienione. W domu ich ani utrzymać: ciągle w szkole, ciągle jakieś zajęcia z nauczycielką, a na pytania: co robią? — w odpowiedzi przymilne minki, figlarne spojrzenia i ciągle to samo:

— Zobaczycie, matusiu, jak się Dzieciątko Boże narodzi! Matki niby to gniewały się i ofukiwały dzieci:

— Patrzcie no! Smarkule jedne! Sekretów jakichciś im się zachciewa!

Ale w grancie rade były, bo to i dzieciaki jakieś lepsze, grzeczniej-sze były, i im na duszy weselej i milej się robiło, że ktoś o nich się troszczy, ktoś myśli, by im zrobić przyjemność i niespodziankę.

— A to i Gwiazdkę będzie wieś miała, nie przymierzając jak w wielkim mieście! — niby podkpiwały, ale trochę były z tego dumne, i jak się dało, chlubę sobie z tego robiły.

144

Ale gosposie szczęśliwieckie były ciekawe, więc coraz któraś z kobiet do pani nauczycielki wpadnie. Ale i to na nic się nie zdało, bo do izby szkolnej panna Józefina nie wpuszczała nikogo, a okna wieczorem, gdy się światło paliło, były szczelnie pozastłaniane!

Wiadomo było tylko, że jakaś wielka paka przyszła z Warszawy dla pani nauczycielki i że Walenty raz woził nauczycielkę do miasta po jakieś zakupy.

A tymczasem kobiety zaczęły coś tam sobie kombinować i nuż napastować gospodarzy, że to niby i dzieciakom coś się należy na tę kolędę i że nijako będzie, żeby obdarte na Gwiazdkę poszły.

Zaczęły się więc po izbach przygotowania: matki szyły, łątały, przerabiały, a gdy które z dzieci wchodziło do chaty, chowały swoją robotę.

— Macie wy swoje sekrety, mamy i my swoje! — śmiały się, a dzieciakom oczy z ciekawości płonęły.

— Matusiu! Toć nam nie wolno! Dopiero na Gwiazdkę.

— No, to i my na Gwiazdkę! — śmiały się matki.

I pełno było wesołych przymówek, dobrych, ciepłych słów i jasnych uśmiechów, zamiast dawnych przekleństw, pomstowań i plotek!

W dzień Wigilii raniutko przywiózł Walenty piękny świerk, który został ustawiony w izbie szkolnej, i od tej chwili wstęp do niej zamknięty był dla wszystkich dzieci, nawet dla Krysi.

— Zobaczysz jutro! — odpowiadała na wszystkie nalegania i prośby panna Józefina i zamknęła się w izbie szkolnej z Agnieszką i Sychową, które ofiarowały swoje usługi przy ubieraniu choinki.

Kryśka widząc, że nie uda jej się wślizgnąć do tajemniczego zakątka, jakim był w tej chwili pokój szkolny, otuliła się wielką chustką Agnieszki, gwizdnęła na Duga i wyszła na drogę. Wszędzie było biało i lśniący, jakby ktoś świat cały brylantami zasypał.

— Ach! Jak pięknie! — szepnęła oczarowana Kryśka, bo chociaż codziennie widziała to samo, dziś jakoś szczególnie piękna wydała jej się wieś w tej śnieżnej szacie.

## 9 Wieś Szczęśliwa

145

Nagle wzrok jej padł na stojącą obok szkoły na pół rozwaloną obórkę, koło której żwawo krzątali się: Chlebowdawca i Ślęzak.

— A co robicie? — zapytała, podchodząc bliżej.

— Ho! Ho! Jaka mi ciekawa! A tyś to mówiła, co w szkole robicie na odwieczerz\*? — zaśmiał się Chlebowdawca.

Wszędzie to samo! Tajemnice takie jakieś miłe. I ludzie tak miłe się uśmiechają!

Jak dobrze! Toć Dzieciątku Bożemu przyjemniej na ziemię schodzić, gdy wkoło wszystko się uśmiecha i dobre słowo ma na ustach.

— Jak dobrze! — powtarzała sobie dziewczuszka i uśmiechnięta biegała z Dugiem po skrzypiącym śniegu.

— Kryśku! Gdzie jesteś?

Głos panny Józefiny brzmiał niecierpliwie, więc dziewczynka przyspieszyła kroku, lecz wciąż jeszcze oglądała się za siebie.

— Gdzież to chodziłaś? Nie zimno ci było? — dopytywała troskliwie panna Józefina.

— Trochę biegałam z Dugiem... W domu nie miałam co robić! — odparła dziewczynka.

— Za to teraz jesteś mi potrzebna! — wesoło mówiła panna Józefina. — Musimy szykować wilię".

W żadnej chyba wsi w całej Polsce nie było takiego radosnego gwaru i niecierpliwego wyczekiwania, jak we wsi Szczęśliwej! Już tam nie chodziło o wieczerzę wigilijną, bo chociaż w niektórych chatkach szykowano i barszcz z grzybkami, i śledzie, i kluski z makiem, ale mniej dziś o jedzeniu dzieciaki myślały niż o Pasterce!

Nauczycielka tak się z rodzicami umówiła, że zabierze wszystkie dzieci do kościoła. Nawet najmłodsze miały się ciepło pookrywać i pojechać.

Więc otwierały szeroko oczy, by czasem nie zasnąć, że to

\* na odwieczerz - wieczorem. " wilię-wigilię.

niezwyczajne były tak długo po nocy siedzieć. A tymczasem szykowano dwa wozy na zajdkach\*, zaprzęgnięte w parę koni. Nawet dzwoneczki się znalazły i oto po skrzącym się, białym kobiercu mkną konie, unosząc uszczęśliwione dzieciaki, nieczujące nawet z wielkiej radości mrozu, szczypiącego je w policzki i noski.

Krysia, przytulona do panny Józefiny, to wznosi swe wielkie, modre oczy do nieba, to wysyła je przed siebie w śnieżną dal i szepce od czasu do czasu z zachwytem:

— Jak pięknie! Jak dobrze!

Co chwila jakaś gromadka ludzi, śpieszących do kościoła, pozdrawia jadących życzliwymi głosami:

— Niech będzie pochwalony!

— Dzieciatko Boże! Jakżeż piękna jest Twoja noc! — szepce Krysia, a zwracając się do panny Józefiny, mówi z przekonaniem: — Prawda, że w taką noc nawet najgorszy człowiek nie ośmieli się zrobić nic złego?

A jednak, gdy wieś Szczęśliwa prawie zupełnie się opróżniła i chaty stały puste, milczące i opuszczone, po drodze przesuwiał się jakiś człowiek, skradając się do szkoły.

Panna Józefina z pośpiechu zapomniała zamknąć drzwi. Zresztą nie było to nic nadzwyczajnego, bo komuż przyszłoby do głowy okraść szkołę! Co prawda, zdarzało się we wsi Szczęśliwej, że jeden drugiemu coś ukradł, ale nauczycielka mogła zostawić otworem drzwi i okna i nikt by nic nie ruszył, choćby złoto na wierzchu leżało.

Już taki swój honor mieli szczęśliwiacy!

Więc chyba obcy skradał się do mieszkania nauczycielki w tę cudną, wigilijną noc? Lecz nie! Jakkolwiek szedł ostrożnie, znać było, że drogę zna dobrze, a żaden pies nie szczeknął na niego.

Tylko Dug, który został w domu, trochę się zaniepokoił. Szczekać nie szczekał, ale powarkiwał wahająco, jakby się zdecydować nie

" wozy na zajdkach - wozy na płozach, sanie

9-

mógł: wróg czy przyjaciel? w dobrych czy złych zamiarach przychodzi?

— Dug! Dug! — rozległ się przytłumiony głos.

Pies się wahał, wreszcie podszedł do drzwi, umiejętnym pchnięciem nosa otworzył je i stanął w progu, obejmując pytającym spojrzeniem stojącą przed nim postać chłopca, jakby ją poznał. Był to Petrek.

— Nie bój się, Dug! Nie skrzywdzę cię tym razem. Przyszedłem do ciebie po pomoc... Raz wyratowałeś mnie od śmierci. Teraz pomóż zrobić dobrą rzecz! — przemawiał chłopiec do psa, jak do żywego człowieka.

Dug patrzył wciąż na niego, jakby chciał zapytać:

— Czego chcesz ode mnie?

Wiedział już, że nie ma przed sobą wroga, lecz jeszcze nie był pewien, czy to jest przyjaciel.

— Dug! Pomóż mi odnaleźć to blaszane pudełko. Już raz o mało życiem nie przypląciłem, żem go szukał. A dziś muszę je odnaleźć! Tak sobie postanowiłem.

To mówiąc, chłopiec wyciągnął kawałek jakiejś płachty i dał ją psu do powąchania.

Dug dotknął ją kilkakrotnie nosem, widocznie zaniepokojony, a potem zaskowyczał i chciał ją wyrwać z rąk chłopca.

— Nie! Nie dam ci! Może uda mi się przez ciebie odnaleźć tę puszkę. Ona na pewno należy do Krysi!... Tam są jakieś papiery.

Dug słuchał. Zdawać się mogło, iż rozumiał, co doń mówił chłopak.

— Chodź ze mną! — nawoływał chłopiec, trzymając wciąż w ręce szmatę, ku której wyrwał się Dug.

Pies widocznie wahał się, co robić, aż gdy Petrek odszedł od chaty wciąż nawołując, pobiegł za nim, poszczekując i warcząc.

Chłopiec i pies biegli w stronę moczarów, a właśnie porwał się wiatr, napędził chmur na pogodne dotąd i gwiazdziste niebo

148

i wszczęła się zadyмка, pokrywając wszystko śnieżysto-mglistą zasłoną, w której zniknęli obaj.

Dzieci zdążyły zajechać przed kościół jeszcze za pogody. Wyskakiwało dziecięce bractwo z wozów gwarno i hałaśliwie, śpiesząc się, przytupując i pocierając zziębnięte policzki. Ale panna Józefina zaraz zaprowadziła porządek i oto parami, młodsze na przedzie, starsze za nimi, weszły dzieci do kościoła.

Pełno tu już było ludzi, tak że zdawało się w pierwszej chwili, że nie będzie miejsca dla przybyłej gromadki. Ale ledwo panna Józefina z pierwszą parą weszła w próg, zaraz ludzie zaczęli się rozstępować, robiąc przejście pośrodku, a po kościele poszły szepty:

— O... Nauczycielka ze wsi Szczęśliwej. I szkołę ze sobą przypro-wadziła. O, ile ich jest! Ajakje wymusztrowała! Idą jak żołnierze!

Nie brakło dzieci w kościele, ale uczone u spódnic matczynych, rozsiane między starszymi, niewidoczne były i nic niezna-czące, gdy tymczasem szczęśliwiecka gromadka, maszerująca środkiem kościoła, wszystkie oczy ku sobie ciągnęła.

Kościelny wyszedł z zakrystii i doprowadził dzieci do dębowej bariery, robiąc im przy niej miejsce.

A tu już organy zaczęły grać i rozległy się z góry śpiewy.

Krysia lubiła te śpiewy i była niezmiernie szczęśliwa, gdy w pewnych momentach mogła przyłączyć swój głos do innych. Ale dziś z niecierpliwością oczekiwała chwili, gdy „szkoła” zacznie śpiewać kolędy.

Chwili tej oczekiwała również panna Józefina, ale z pewną trwogą. Czy się uda? Czy dzieci nie zląkną się i nie zaczną fałszować? Czy słabe głosiki nie znikną w dużej nawie kościelnej? Te obawy tak ją pochłaniały, że ledwo widziała, co się wokoło dzieje. Mignęła jej tylko twarz pana Stefana, z daleka uprzejmie ją zapraszającego do ławki, którą zajmował z jakąś bardzo piękną, bladą panią i starszym panem; dochodziły ją uwagi o niej i o dzieciach,

149

lecz wszystko to mało ją obchodziło wobec dręczącego pytania, czy śpiew dobrze wyjdzie.

Wreszcie kościelny, który z ważną miną chodził po kościele i coś ludziom szeptał, podszedł do panny Józefiny, mówiąc po cichu z życzliwym uśmiechem:

— Już zara! Przykazywałem ludziom, żeby się nie darli, jak „szkoła” będzie śpiewała!

Pannie Józefinie serce załopotano, a obok niej tłukło się niespokojnie, lecz i radośnie serduszko Krysine.

— Uważać, dzieci! — szepnęła panna Józefina. Wszystkie oczy: piwne, czarne, niebieskie i szafirowe, przyczepiły się do jej ust w oczekiwaniu.

Organy zagrały kolędę:

„Wśród nocnej ciszy Głos się rozchodzi”!... Na znak dany przez pannę Józefinę Krysia podchwyciła melodię, a reszta dzieci za nią.

W niektórych miejscach rozległo się kilka głosów, próbujących śpiewać, ale je uciszono:

— Cicho! „Szkoła” śpiewa!

Po chwili trwogi dzieci, doskonale wyuczone, śpiewały śmiało, czysto, dźwięcznie. Świeże głosiki wypełniły świątynię radosnymi dźwiękami, aż się ludziom raźniej w sercach robiło.

Ale już po krótkiej chwili wybił się z ogólnego chóru niezwykle silny, dźwięczny głos Krysi. I ona sama, dotąd jako większa klęcząca za innymi, została przez dzieci, uważające ją w śpiewie za swoją przewodniczkę, wysunięta naprzód.

Krysia lubiła śpiewać! I już teraz nic dla niej nie istniało; znikły wszystkie twarze, znikły otaczające ją dzieci, nawet — panna Józefina.

„Bóg się rodzi, Moc truchleje...”

150

Podniesione w górę oczy przyłgnęły do obrazu Dzieciątka Jezus, które trzymała na rękach Najświętsza Matusia. Dzieciątko zdawało się uśmiechać...

— Dla Ciebie śpiewam, Dzieciątko Boże! — szeptała dziewczuszka.

Zdawało się Krysi, że Dzieciątko wyciągnęło rączkę, jakby błogosławiąc tłum.

Wtem powstało zamieszanie w jednej z ławek. Śliczna pani, która siedziała razem z panem Stefanem i starszym panem, od chwili gdy Krysia wysunęła się naprzód, wpatrywała się w nią prawie z przerażeniem.

— Stefanie! Czy widzisz?... To... dziecko?... — szepnęła wreszcie cała drżąca, a blada twarz stała się jeszcze bledsza. — Tak by wyglądała Hanusia! Tak ją sobie właśnie wyobrażałam! Ach! Co to za dziecko?

— Uspokój się, Marylko! To wiejska dziewczynka... Ma starą matkę... Ależ, Marylko!

Blada pani osunęła się bezwładnie.

— Dzieci! Śpiewajcie dalej! — dyrygowała panna Józefina, nie chcąc powiększać zamieszania, jakie powstało, gdy wynoszono z kościoła zemdloną panią.

Ale Krysia już nie śpiewała. Oczy jej spotkały się najedną chwilę z wielkimi, smutnymi oczami nieznajomej, a potem zobaczyła ją, opadającą bezwładnie na ławkę, i jakieś dziwne uczucie ścisnęło ją jak kleszczami za serce.

— Śpiewaj, Krysiu! — zgromiła ją panna Józefina.

— Ale ona nie umarła? — trwożnie pytała dziewczynka.

— Nie! Zemdląca. Lecz śpiewaj! Bez ciebie dzieci się myślą. Na szczęście była to ostatnia kolęda, bo już by Krysia śpiewać

nie mogła, tak ciągle myślała o bladej twarzy zemdlonej pani.

Koło wychodzącej dziatwy zrobił się tłok. Cisnęły się matki, ojcowie. Cisnęli ludzie z innych wsi.

— A niechże panienkę Pan Bóg błogosławi! — prawiała jakaś

151



kobiecina, patrząc na pannę Józefinę załzawionymi oczami. — Człowiekowi się zdawało, że w niebie jest i aniołki mu śpiewają.

— Że też paniusia potrafiła te szczęśliwieckie głąby tak wyuczyć — dziwowała się jakaś inna.

A znów szczęśliwiec — ludzie i baby, i chłopy ledwie z radości i dumy wytrzymać mogli.

— Niechże paniusi Pan Jezus i ta Panienska Najświętsza wynagrodzi... Tyle nam pani chwały przyczyniła... Że to wieś Szczęśliwa, co to dotąd najgorsza była, górą!...

I mimo silnej zadymki, prawie zwiewającej ludzi z drogi i zasypującej ich miałkim, zimnym śniegiem, z wesółym gwarem powracali szczęśliwiacy do domów, a kobiety gadały, że im się usta ani na chwilę nie zamykały.

\* \* \*

A musiały widać nie tylko tak sobie rajcować w tej powrotnej drodze, ale i nad czymś radzić, skoro na drugi dzień, niemal od świtu jedna przez drugą po chałupach biegały, coś tam prawiąc, sprzecząc się, kłócąc, czasami do oczu sobie doskakując, po kilka razy do tej samej chaty wracając, aż widać swoje zrobiły, bo przed nadejściem trzeciej godziny, o której miała się w szkole odbyć choinka, już zupełny spokój zapanował.

Ledwo, ledwo pomieścić mogła duża izba szkolna wszystkich gości. Tłoczyli się i w sieni, i w pokoju nauczycielki, a niektórzy to nawet przed chatą stali.

W izbie szkolnej dzieci z otwartymi buziami stały koło prześlicznego drzewka, żarzącego się niezliczonymi światełkami, obwieszonego przeróżnymi cackami.

Czegoś podobnie pięknego nie widziały nigdy w życiu!

— No, dzieci, zaśpiewamy sobie kolędę, a potem...

— Za przeproszeniem paniusi! — przerwał Prezes, występując z gromady. — Zanim dzieciaki zaczną się zabawiać, chcielibyśmy

152

coś powiedzieć! A to świąt pięknie wieszujemy i że to taki zwyczaj, żeby uczcić Narodzenie Chrystusa Pana jakim podarunkiem, to my, niby cała wieś, prosiaka przyprawiliśmy!

— Na początek gospodarstwa!

— Żeby się paniusi dobrze chował!

— I kartofli dla niego przynieśli!

— I szafliczek\*, bo takiego statku\*\* panienska pewnikiem w swo-jem obejściu nie ma!

— Niech panience służy!

— Święt pięknie winszujemy!

Panna Józefina stała zaskoczona tym nieoczekiwanym prezentem.

Ale nie był to jeszcze koniec: to, co nastąpiło później, było jeszcze mniej oczekiwane.

Do panny Józefiny przystąpiła Kowalczykowa, najgorsza z całej wsi pijaczka, lecz kobieta wygadana jak nikt. Ale tym razem kobiecina była wzruszona i trudno jej było zacząć.

— Gadajcież! Toć was wyuczyliśmy! — dodawały jej odwagi inne kobiety.

— A to tak! Prosiak prosiakiem! Zwyczajna rzecz! Ale takie śpiewanie w kościele — niezwykajna rzecz! Płakali ludziska jak te bobry! Mało za takie śpiewanie prosiaka! Jeszcze coś trza dodać! Do serca nam a do sumienia wpadły te głosy naszych dzieci, co je panienka tak pięknie wyuczyła! A i one same, chudziny, też się namęczyły i nam, niby całej wsi, chwały przysporzyły! Jakże my ich za to krzywdzić będziemy? A krzywdzimy ich, jak gorzałę\*\*\* pijemy! Pieniądz, co na przy odzie wę by dla nich poszedł, na to paskudztwo wyrzucamy! A potem często gęsto i bijemy smyków

\* szaflik - okrągłe naczynie, zwykle drewniane z jednym lub dwoma uchami, używane m.in. w gospodarstwie wiejskim do karmienia świń. " statki - naczynia, narzędzia, przybory potrzebne do wykonywania jakichś czynności. \*\*\* gorzała - wódka.

153

po pijanemu, a pomstujemy. To, jakeśmy to śpiewanie usłyszeli, powiedzielim: ślus\*! Więcej wódki nie pijemy!

— Nie pijemy! Nie pijemy! — zakrzyczała cała gromada.

— Że panienka w szkole dzieciom gadała, że wódki pić nie trzeba, to my, baby szczęśliwieckie, taką kolędę pani nauczycielce przynosimy! — Zaprzysięgamy wódki nie pić! — krzyczały kobiety, a za nimi i mężczyźni.

— Zaprzysięgamy!

— Jak to? Wszyscy? — nie mogąc uwierzyć własnym uszom, pytała panna Józefina z rumieńcami radości na twarzy.

— A wszyscy! U nas to tak: albo nikt, albo wszyscy!

— Moi wy ludzie! Toć mi taką radość sprawiliście, że nawet podziękować wam nie potrafię! zaczęła panna Józefina i naprawdę uszczęśliwiona, idąc za odruchem serca, chwyciła Kowalczykową za ręce i mocno w oba policzki pocałowała.

O... ale czym to Kowalczykową lepsza od innych? Dalejże jedna przez drugą kobiety z panią nauczycielką się całować, aż dzieciaki piszczały z radości i już bez komendy śpiewać zaczęły.

Biedna panna Józefina, wycelowana, spocona, próżno starała się wyrwać otaczającym ją ścisłym kołem kobietom i nie wiadomo, jakby wyszła z tych czułych opatów, gdyby nie jakaś wrzawa, która pociągnęła ku sobie uwagę obecnych.

— Petrek... O!... Petrek! — wołały dzieci, tłocząc się do okien. Rzeczywiście, do chaty zbliżał się Petrek w towarzystwie

Ślężaka. Chłopiec był zgarbiony, skulony, a gdy podniósł głowę, ukazała się twarz zbiedzona, wychudła, o zapadniętych, błyszczących gorączkowo oczach.

— Tu idzie?... Do szkoły?... Wejdzcie czy nie wejdzcie? — niepokoily się dzieci.

Weszli obaj. Ślężak nisko się przed panną Józefiną pokłonił.

— Niech będzie pochwalony... A tom tu chłopaka przyprowadził. Jakowąś sprawę pani nauczycielce przedstawić chce.

\* ślus, szlus - ( z niem. Schluss) koniec.

154

— Do mnie, Petрку, masz interes? — z pewnym zdziwieniem zapytała panna Józefina.

— Tak! Do pani samej... Chciałem coś powiedzieć... — cichym głosem, nie podnosząc oczu, rzekł Petrek.

— I to tak zaraz? Coś pilnego?

— Zaraz! Pilne! I tak za długo czekałem! — mruknął chłopak.

— Dobrze więc! Zabawiajcie się trochę sami, moi goście mili! Krysiu! Śpiewaj z dziećmi kolędy... Ja zaraz przyjdę.

Gdy panna Józefina znalazła się w swoim pokoiku z Petrkiem, chłopak, obejrzawszy się wokoło, wyciągnął zza kurtki płaskie, blaszane pudełko, zawinięte w jakąś zbutwiałą szmatę, i podał je nauczycielce.

— Co to jest?

— Niech pani zobaczy... Znalazłem to kiedyś, włócząc się za kaczkami, w spróchniałym pniu starej wierzby rosnącej na moczarach. Powinienem być zaraz to pokazać komuś, ale raz

— nie było komu, bo mało kto we wsi Szczęśliwej czytać umie... A potem... potem już przez złość. Krysia w drogę mi wchodziła, Dug zawsze mnie pokonywał, mnie, którego wszyscy we wsi się bali!

Nienawidziłem jej i jej psa! Jakże miałem przyczynić się do jej wywyższenia! — mówił ponuro Petrek. — I dopiero potem... jak pani przyjechała... wtedy, gdy psa mało nie zabiłem, coś się we mnie odmieniło...

Chciałem pani przynieść te papiery, ale tak je gdzieś schowałem, że sam znaleźć nie mogłem. Aż raz, szukając ich, wpadłem w grzęzawisko, z którego wyratował mnie Dug.

— Mądre, wierne psisko! — szepnęła panna Józefina, drżącymi rękami wyjmując poczerńiałe papiery z zardzewiałego pudełka.

— Przeczuł, że chodzi o Krysię.

— Tak! I ja tak myślałem, gdy się nad tym zastanawiałem tam, w Warszawie, przymierając głodem i chłodem — mówił Petrek.

— Toć i teraz, gdyby nie Dug, nie doszedłbym do miejsca, gdzie ukryłem pudełko. To on mnie zaprowadził.

— Ach! — krzyknęła panna Józefina. — Ależ to, oczywiście,

155

dotyczy Krysi. Wprawdzie jest to metryka maleńkiej Hanusi Mirskiej... i dowody na złożone w banku pieniądze... Ale wszystko wskazuje na to, że to o Krysię chodzi! Lecz jakim sposobem znalazło się to na moczarach?

— Podobno znaleziono kilka czy kilkanaście lat temu w pobliżu starej wierzby zamarznąłą starą kobietę... Zdaje mi się, że to ona właśnie, czując, iż nadchodzi koniec, ukryła papiery, a wierny pies wyratował dziecko... — mówił cichym głosem Petrek.

— To możliwe! Teraz można będzie odszukać krewnych Krysi... — mówiła gorączkowo panna Józefina. — Jeżeli to się uda — twoją to będzie zasługą, Petрку!

— Dałby Bóg! Bo Krysia, proszę pani, dużo dobrego mi zrobiła... Toć ona jedną bajką — serce mi odmieniła!

Panna Józefina spojrzała uważnie na Petrka, lecz chłopak spuścił oczy i ku drzwiom ruszył.

— Słuchaj, chłopcze! Teraz nie mam czasu, ale gdy się dzieci rozejdą, przyjdź do mnie, pogadamy.

— I... nie warto... Sam muszę sobie radzić!... Jeżeli coś wart, to bez niczyjej pomocy wyjdę na ludzi. A nie — to lepiej, że zginę marnie! — rzekł twardo chłopak, ujmując za kławkę.

Panna Józefina nie zatrzymywała go. W oczach chłopca malował się upór i jakaś zaciętość; jeszcze nie wszystko zło w nim stopniało, jeszcze do niego przystępu nie było!

— No, dzieci! Teraz pokażcie wasze upominki! — zawołała panna Józefina, wróciwszy do swych gości.

Lecz był to doprawdy dzień ciągłych niespodzianek, gdyż nagle zadźwięczał przeciągle głos janczarków\* mknących po drodze sanek, które zatrzymały się przed szkołą.

Obecni spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, a potem ku drzwiom się rzucili.

— Jacyś goście do pani nauczycielki!

\* janczarki - tu: dzwoneczki u upręży.

156

— Któż to by mógł być? Czyżby z Warszawy? — przemknęło przez głowę panie Józefinie.

Krysia spostrzegła przez okno śliczne, złote kasztany i klasnęła radośnie w dłonie.

— O... pan instruktor przyjechał po mnie! Obiecał mi przecież!... W radosnych podskokach wybiegła przed chatę, przepychając

się przez zdziwiony tłum, i stanęła oczarowana! Jakie piękne sanki! A konie, okryte błękitną siatką, pobrzękując dzwoneczkami, jakże ślicznie wyglądały!

Pan instruktor wysiadł z sanek wraz ze starszym panem, który wydawał się Krysi znajomy.

— Przepraszamy za najazd! — mówił pan Stefan, spostrzegłszy stojącą w progu pannę Józefinę.

— Mój stryj, major Grabowski, a to owa dzielna osóbka, która ma zamiar ucywilizować wieś Szczęśliwą, panna Józefina — przedstawiał, gdy weszli do izdebki nauczycielki, a widząc jej zdziwienie, nad którym nie mogła zapanować, szybko dodał:

— Nie będziemy pani zabierali dużo czasu, bo jak widzę, ma pani jakąś uroczystość w szkole.

— Tak! Przystąpimy zaraz do rzeczy! — przerwał major, widocznie zdenerwowany i jakby niezadowolony. — Moja siostra zobaczyła wczoraj dziewczynkę, która ją bardzo zainteresowała... Siostra opłakuje dotąd stratę córeczki.

Właściwie kuzynka nie wierzy w to, że maleństwo nie żyje i wciąż poszukuje dziecka, które z piastunką wysłała do swojej matki, a wojna potem rozdzieliła je i odtąd nie miała o swej córeczce żadnej wiadomości.

Otóż ta mała, którą siostra wczoraj zobaczyła, podobą jej się nadzwyczajnie. Wyobraziła sobie, że tak właśnie wyglądałaby jej córeczka... — objaśniał pan Grabowski.

— Krysia jest rzeczywiście nadzwyczaj wdzięczną dziewczynką — mówił pan Stefan. — Ja też zwróciłem na nią uwagę od razu, gdy ją zobaczyłem.

157

— Tak, ale nie możemy przecież w każdym miłym dziecku upatrywać zaginionej! — szorstko zauważył pan Grabowski.

— Lecz co się stało? Widzę, że pani jest bardzo wzruszona?

— dodał, spoglądając ze zdziwieniem na nauczycielkę.

— Nic! Nic! Tylko ten zbieg okoliczności... — mówiła panna Józefina drżącym głosem. — Krysia jest dzieckiem znalezionym

— raczej przyniesionym przez swego wiernego przyjaciele-psa.

— Psa? — wyszeptał major, poblądłszy silnie. — Wierny Cezar pobiegł za piastunką, której siostra powierzyła dziecko.

W tej chwili drzwi się otworzyły.

— Przepraszam... Ale proszę pani, co mamy robić dalej? — pytała, stając na progu, Krysia.

Za nią ukazał się wielki łeb Duga.

— Cezar! — krzyknął major, zrywając się z miejsca.

Pies wbiegł do izby, niespokojnym spojrzeniem obrzucając obecnych, niezdecydowany, jakby szukając w swym mądrym łbie dalekich wspomnień.

— Cezar!

Tym razem pamięć przeszłości odżyła i pies z radosnym skowyttem rzucił się do majora.

Krysia stała w progu, ze zdumieniem patrząc na tę scenę. Za nią tłoczyły się dzieci i ich rodzice.

Już coś przez zamknięte drzwi dotarło do nich, już jakieś wieści mgliste, niepewne przedostawały się do mieszkańców wsi, już szeptano, domyślano się, zgadywano.

— Ani chybi — jakaś ważna sprawa... Petrek na moczarach skarb wykrył! Krysin on jest...

Szeptano, domyślano się, radzono... a kto żyw, tłoczył się, by najwięcej nowin pochwyć.

Panna Józefina drżąca, z wypiekami na policzkach, chwyciła Krysę za rękę i wciągnęła do swej izdebki, zamykając drzwi za sobą.

158

— Oto Krysia, panie majorze! — mówiła. — Dug jest jej własnością.

— To twój pies? Skąd go masz, dziecko? — pytał gorączkowo major, wpatrując się badawczo w dziewczynkę.

— Od maleńkości go mam... On mnie przyniósł do Agnieszki... — objaśniała Krysia, nic nie rozumiejąc z tego, co się wokół niej dzieje, ale czując, że dzieje się coś bardzo ważnego.

— Aha! — przypomiwała sobie — to ten sam pan, co był u doktora.

— Przyniósł cię ten pies? Cezar? — z rosnącym wzruszeniem mówił major.

— Dug, proszę pana. Ale skąd mnie przyniósł, to nikt nie wie, nawet Agnieszka. A wtedy, u doktora, jak pan pytał, czyja jestem, to powiedziałam, że Agnieszkowa, bo się wstydziłam przyznać, że jestem — znajdu! — szybko mówiła Krysia, chcąc z siebie zrzucić ciężar popełnionego kłamstwa.

— Ostrożnie! Ostrożnie! — mruzczał do siebie major. — Żeby nie popełnić omyłki, bo biedna Marylka nie wytrzymałaby takiego ciosu!

— Ależ, stryju! Nie ulega wątpliwości — gorączkował się pan Stefan, lecz major przerwał mu szorstko:

— Cicho bądź! Trzeba wszystko zbadać dokładnie... Nie wolno nam się omylić.

A zwracając się do panny Józefiny, zapytał:

— Czy mógłbym zobaczyć ową Agnieszkę, do której pies przyniósł dziecko?

— Owszem — odparła panna Józefina. — Lecz może przedtem obejrzy pan dokumenty, które jeden z tutejszych chłopców znalazł na moczarach.

To mówiąc, panna Józefina podała majorowi zawartość blaszanego pudełka, znalezionej przez Petrkę.

Obaj panowie formalnie wyrwali jej z rąk papiery i zaczęli czytać.

159

— Wielki Boże! To metryka Hanusi! — wykrzyknął major. — Lecz skąd się te papiery tu wzięły?

— Prawdopodobnie ukryła je w starej wierzbie, gdzie je znaleziono, stara kobieta, która zmarła na moczarach. Pies — mądry, wierny Dug, wyratował dziecko! — objaśniała panna Józefina.

— Ach! więc instynkt matki nie zawiódł! — wykrzyknął radośnie pan Stefan, a chwytając dziewczynkę za ręce, dodał: — Jesteś więc moją siostrzyczką, a kasztany, które tak ci się podobały, zawiozą cię do twojej mateczki!

Krysi zdawało się, że jakaś przepiękna bajka dzieje się koło niej w ten słoneczny, wyiskrzony dzień Bożego Narodzenia...

Słowa brzmiały koło niej jak cudna, radosna muzyka, lecz mało co z nich rozumiała.

Była jak we śnie, gdy ją zawinięto w futra, wsadzono w piękne sanie, a złociste kasztany poniosły ją po usypanej brylantowymi gwiazdkami drodze.

— Dzieciątko Boże! Tobie wczoraj śpiewałam, a Tyś mi zesłało złociste kasztany, jak w bajce! — szeptała, mknąc w śnieżną dal, ku złocistemu, promiennemu szczęściu!

160

## EPILOG

Minęło kilka lat.

Porządnie wybrukowaną drogą długim sznurem ciągnęły wozy, zaprzężone w tęgie, dobrze utrzymane konie. Na pokrywanych wzorzystymi kilimami siedzeniach barwią się wesołymi kolorami chustki, spódnice, fartuchy kobiet i jasne sukienki dzieci.

Wesoły gwar, radosne głosy rozbrzmiewają dokoła i rozlegają się het, het, daleko po polach, wieszcząc wszędzie, że dziś we wsi Szczęśliwej wielkie święto!

Za wozami śpieszą tłumy pieszych, odświętnie, uroczyście przybranych. Swoi, szczęśliwiacy, pośpieszają, by przybyć wcześniej, gdyż za nimi po nabożeństwie tłumem idą sąsiedzi z innych wsi, by na własne oczy obejrzeć to, o czym aż się trzęsie w całej okolicy.

— Patrzcie no, patrzcie, kumo, jak się to teraz szczęśliwe kobiety noszą! Głowy do góry zadzierają!

— A jedna w drugą wózkami do kościoła zajeżdża! — poszep-tywały z pewną zazdrością kobiety z innych wsi.

A szczęśliwieckie tylko błyskały rozradowanymi oczami i gadały, a śmiały się, a zapraszały:

— Przyjdźcież, przyjdźcież! Obaczcie!

Więc szli ludziska i jechali, jak kto mógł, z ciekawości więcej niż z serdeczności, zobaczyć, czym się tak szczęśliwiacy przechwalają, z czego się tak cieszą!

Kto nie był we wsi Szczęśliwej przez kilka ostatnich lat, rozglądał

10 Wieś Szczęśliwa

161

się na obie strony drogi i nadziwić się nie mógł: wieś niby ta sama, a zupełnie inna. Stoją chałupy na swoich miejscach, ale powyprosto-wywały się jakoś, a jedna w drugą wybielone, porządnie ogrodzone, z kwiatami kwitnącymi w oknach i ogródkami dokoła, wyglądają, jak na obrazku.

— Ho! Ho! Wzbogacili się ludzie we wsi Szczęśliwej! — poga-dywano sobie z zazdrością.

— A wzbogacili się i to nie wiedzieć z czego! Jakie ci to krowy mają, aż miło patrzeć! — opowiadał jeden z gospodarzy z najbliższej, sąsiedniej wsi.

— Wiedzieć, to wiadomo! — głośno, wyraźnie w jego stronę dogadując, rzekła jakaś dziarska kobiecina.

— Wódki nie piją, grosza marnie nie wyrzucają!

— Ponoć zaprzysięgli swojej nauczycielce, że pić nie będą! — opowiadała inna.



— I dotrzykali, bo to naród honorowy, choć tam z innymi sprawami różnie bywało u szczęśliwiaków! Toć i złodziejstwem się trudnili niektórzy z nich! — przypomniał znów ktoś.

— To było dawniej. Od kilku lat o żadnych złodziejstwach u nich nie słyhać.

Tak sobie pogwarzali w różnych gromadkach śpieszących przez wieś. Ale gdy się zbliżyli do krańca wsi, umilkły wszystkie szepty i uwagi, a oczy wybiegły naprzód, omal z głowy nie wyskakując.

Było, bo było na co patrzeć!

Na samym końcu wsi stał śliczny, duży budynek, jasny, wesoły, z wyraźnym napisem:

„Szkoła powszechna wsi Szczęśliwej, wystawiona staraniem jej mieszkańców”.

— No! No! A to ci szkołę ufundowali! — dziwiły się przeróżne kumoszki.

— I to własnym kosztem. Grosza złamanego z gminy nie wzięli. Nic i nic! „Sami wystawim”! — upierali się.

— Twardzi ludzie, zawzięli się i na swoim postawili!

162

— A to wszystko dla tej nauczycielki!

— Bo i warta tego, oj, warta! Toć ona jak jaki minister o wieś stoi!

Lecz znów przycichły uwagi, bo oto nadjechał ksiądz proboszcz, a za nim sunął rząd bryczek z gośćmi z gminy, starostwa i okolicznych szkół.

— Ale parada, bo parada! Uczcili, bo uczcili dzisiaj wieś Szczęśliwą! — poszły znów szepty.

Uwagę ogólną zwróciła wysmukła, śliczna panienka o długich warkoczach, którą przywiozły złociste kasztany. Obok niej szła piękna pani, a dalej stara Agnieszka odświętnie ubrana.

Przed panienką biegł wielki, pręgowaty pies.

— To ta Krysia, co ją dzieci nazywały Bajczarką! Choć w mieście teraz mieszka, nie zapomniała o tych, co ją przygarnęli w ma-leńkości. Stara Agnieszka przy niej święte życie prowadzi, a ze wszystkimi dziećmi, z którymi się wychowała, jak z siostrami i braćmi jest! — objaśniała jedna z kobiet szczęśliwieckich, patrząc z rozrzewnieniem na młodą panienkę, wesoło i serdecznie witającą się ze stojącymi przed szkołą dziewczętami.

— Już się zaczyna! Ksiądz będzie zaraz święcił! — przebiegł szept.

Jakże radośnie biły serca, jakim szczęściem promieniały twarze, gdy skończywszy święcić, ksiądz prostymi, serdecznymi wyrazami przemówił do zebranych, wskazując, co dobrego może zrobić solidarny, szlachetny wysiłek i podkreślając zmiany, jakie zaszły we wsi Szczęśliwej w ciągu ostatnich kilku lat.

Aż tu wysunął się Ślęzak i trochę drżącym ze wzruszenia głosem zaczął mówić:

— Kiej tu tak stoimy i na tę nową szkołę patrzymy, trza, w piersi się uderzywszy, prawdę rzec, nieuczoną, ale taką, co to od serca pochodzi. Gdzieby nam zaś było do tego przyjść, żeby szkołę stawiać, żeby nie nasza nauczycielka, co ją nam Pan Bóg miłosierny zesłał, nie tylko żeby dzieci nasze uczyła, ale żeby i nam, starym,

163

światła do zakutych łbów wpuściła? A co najważniejsze, żeby nam serca pozmieniała. Ja tak miarkuję, że sam pan minister nie namówiłby nas, żeby bez nakazywania szkołę my z własnego grosza wystawili. A jeżeli to zrobili, to tylko dlatego, że ta nasza nauczycielka, choć gdy do nas przyjechała, to prawie dzieciuch była, oświeciła nas i do dobrego nawróciła. Niechże kochani goście, co się tu dziś zjechali, i wielmożny nasz proboszcz ją za tę szkołę uczczą, jako się jej to należy! A my modlić się będziemy, żeby wszystkim wsiom nadarzyło się takie szczęście, żeby taką nauczycielkę miały!

Żaden najświetniejszy mówca nie potrafiłby wzbudzić takiego entuzjazmu, jak Ślęzak swoim przemówieniem!

— Prawdziwie! Prawdziwie! — wołali z przekonaniem szczęśliwiacy, a zebrani goście podchodzili kolejno do panny Józefiny, ręce jej ściskając, winszując i wychwalając.

Z kolei wystąpili inni mówcy, a potem dzieci zgodnie i dźwięcznie zaśpiewały kilka piosenek, aż na samo zakończenie pan Stefan poprosił, by mógł słów kilka powiedzieć, i oto jak zaczął:

— Prawda to, że wieś Szczęśliwa szkołę ma porządną i inaczej zupełnie wygląda. Ale wiem, że wasza nauczycielka jeszcze nie całkiem jest zadowolona.

Ludziom trochę nieprzyjemnie się zrobiło i spoglądali po sobie zaniepokojeni.

O cóż to chodziło? Czego zaniedbali zrobić? — zastanawiali się. A pan Stefan ciągnął dalej:

— Bo to, jak słusznie powiedział gospodarz Ślęzak, wasza nauczycielka nie tylko o dzieciach myśli, ale i o starych. Dzieci mają piękną szkołę, ale zdałoby się coś dla was, dla całej wsi! Wiem, że panna Józefina marzy, by kiedyś we wsi Szczęśliwej stanął — Dom Ludowy!

— A!... — rozległo się w tłumie.

Czy to było uznanie czy zdziwienie, czy potakiwanie — trudno było wymiarkować.

164

Pan Stefan kończył:

— I oto, chcąc uczcić dzień dzisiejszy, zapoczątkowuję składki na ten cel!

To mówiąc, położył przed panną Józefiną kilka banknotów.

Zrobiło się poruszenie; zebrani goście tłumnie podążali do stolika, składając przed nauczycielką hojne datki, tak że wkrótce zebrał się spory stos banknotów.

Poszedł szept między ludźmi szczęśliwieckimi, jakby jakieś narady, jakieś namowy, aż wystąpił Chlebowdawca i grzecznie się na wszystkie strony pokłonił, czapką prawie ziemi sięgając.

— A to my pięknie państwu dziękujemy — ale widzi mi się, że ten nasz Dom Ludowy to już prawie całkiem gotów, a my niewiele się do niego przyczynić będziemy mogli. Ano! Goście pośpieszyli z darami, to i my pośpieszym z resztą! Więc pewni, że swego dokażem, pięknie się kłaniamy i prosimy za rok na poświęcenie Domu Ludowego we wsi Szczęśliwej!

I poszło przez wieś Szczęśliwą nowe życie, lepsze, piękniejsze, jaśniejsze, a dzieje o tym, jak to z nieszczęśliwej wieś stała się szczęśliwa, opisała w ślicznych opowieściach młodzieńca autorka Kryśka Bajczarka.

Ale chyba najpiękniejszą ze wszystkich jej książeczek była opowieść o wiejskim chłopcu, w którym się dusza odmieniła.

A zaczynała się ona od słów:

„Oj, ty chłopie polski! Oj, ty wierzbino przydrożna! Drzewoś ty silne, a niezmożone. Mocno się korzeniami wparłoś w ziemie swą ukochaną i choćby cię łamano, choćby cię ścinano, nie giniesz, lecz nowe bujne pędy puszczasz. A niechże cię dotknie umiejętna, a serdeczna ręka, o jakże piękną pieśń wyśpiewać potrafisz!”

KONIEC